

ZBIORY OŚRODKA KARTA

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1988

wydanie krajowe

MYSŁ

INSTYTUT



LITERACKI

Paweł Morga:	<i>Ó przemianach i niezmienności</i>	3
Bogdan Czaykowski:	<i>Lwowska szkoła inżynierii dusz</i>	12
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Oko Opatrzności</i>	39

ARCHIWUM POLITYCZNE

Elisabeth W.:	<i>Dialog polsko-niemiecki</i>	53
Andrzej Nadziejca:	<i>Sprawy polsko-holenderskie</i>	60

K R A J

Aleksander Świeżykowski:	<i>Czyż żyje wieś? (dok.)</i>	67
J.B.:	<i>Najboleśniejsza „biała plama”</i>	73
Józef Szrett:	<i>Sprawy KUL-inarne</i>	78
—	<i>Komunikat Społecznej Raiv Wydawnictw Niezależnych</i>	82
—	<i>Konkurs na plakat</i>	83

SPRAWY I TROSKI

—	<i>Ankieta „Kultury”: Dlaczego jestem na Zachodzie</i>	85
—	<i>Monachijski Klub im. Juliusza Mięroszewskiego</i>	92
—	<i>Konfiskata „Słowa Ojczystego”</i>	93

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

W. Lamentowicz:	<i>Katolicyzm w kulturze politycznej Polski</i>	95
—	<i>List pasterski synodu biskupów Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego</i>	109

SAŚIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	113
Aureliusz M. Pędziwol:	<i>Czechosłowacki Ośrodek Dokumentacji Literatury Niezależnej</i>	119
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i>	123
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	127

CI, CO ODESZLI

Bronisław Baczek:	<i>Odszedł historyk</i>	132
-------------------	-----------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Mikołaj Ruszkowski:	<i>Nowości literatury krajowej</i>	137
M. Broński:	<i>Nihilizm po amerykańsku</i>	147
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151

—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	153
---	--------------------------------------	-----

A. J. Chilecki, B. Jabłońska, J. Klincz, A. Micewski, St. Wygodzki:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1988

wydanie krajowe

MYŚL

© Copyright na kraj by NOWA

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA), po raz 66-ty — \$ 100,00	F. 560,00
Dla uczczenia pamięci Janiny Kauczyńskiej, zmarłej w styczniu 1988 roku w Stanford (USA) — dzieci i wnuki (nadesłał Leszek J. Wolfram) — \$ 500,00	F.2.800,00
Tadeusz Kadenacy, Londyn — dla uczczenia pamięci śp. prof. Wiktora Sukiennickiego, w piątą rocznicę Jego śmierci ..	F. 100,00
W. Łuszczak, Thunder Bay, ON (Kanada), po raz 13-ty	F. 100,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci Stefanii Lauterbach-Mussa, zmarłej w Los Angeles w lutym 1988 roku — \$ 25,00	F. 140,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada) — za miesiąc marzec i kwiecień br. — \$ US 200,00	F.1.120,00
Anna Usovicz, San Francisco, CA (USA) — \$ 30,00	F. 168,00
A. Waroczewski, Etobicoke, ON (Kanada), po raz 34-ty — \$ c. 50,00	F. 220,00

DZIEKUJEMY!

WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ZEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym w Kraju z przemocą komunistyczną — DM 10,00	F. 33,50
Dla uczczenia pamięci Matki śp. Marii Emilii Strzembkowej, ur. w Kołomyji i zmarłej w Legnicy — w 25-tą rocznicę Jej śmierci — na pomoc dla prześladowanych za walkę o wolność i sprawiedliwość w Polsce — córka Krystyna (USA) — \$ 25,00	F. 140,00
Kazimierz Gazda, Hamburg (RFN) — na pomoc dla prześladowanych w Kraju — DM 30,00	F. 94,50
Zamiast kwiatów na grób zmarłego tragicznie 12 września 1987 r. Janusza Rychlewskiego, żołnierza Powstania Warszawskiego, korespondenta Radia Watykan, członka Polskiego PEN-Clubu (nadesłała Janina Czajkowska, Francja)	F. 100,00

WPLĄTY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

M. Biedul-Kornilowicz, Albany, NY (USA) — \$ 30,00	F. 168,00
Wojciech M. Szczygielski, Markham, ON (Kanada) — \$ c. 30,00	
+ \$ c. 30,00 razem: \$ c. 60,00	F. 265,00

WPLĄTY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Anonimowo z RFN	F. 33,36
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu, MB (Kanada) — sumę zebraną podczas mszy św. w dniu 31 stycznia 1988 r. w kościele pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli — \$ c. 240,00 (nadesłała Anna Howiecka) ..	F.1.049,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

○ przemianach i niezmienności

Przed paroma jeszcze miesiącami można było usłyszeć: zwolnieniem więźniów politycznych władze obezwładniły „Solidarność” skuteczniej, niż najostrejszymi prześladowaniami. Teraz to już nieaktualne: znowu są więźniowie polityczni i z każdym miesiącem ich przybywa. Zaczęły się spory: czy „Solidarność”, czy my wszyscy nie reagujemy na to zbyt słabo? Właściwą reakcją byłby gwałtowny i ciągły protest. Jak jednak gwałtownie i ciągle protestować, kiedy tych więźniów jest niedużo (było przecież znacznie więcej) i kiedy umiarkowanemu wsadzaniu towarzyszy umiarkowana liberalizacja — choćby w cenzurze, choćby w zagłuszaniu zagranicznych rozgłośni, którego jak wiadomo na razie zaniechano (na RFI wciąż, co prawda, włązą jakieś sowieckie fale).

Wśród rozmaitych spekulacji na temat przyczyn wyłączenia zagłuszaczek, jak nacisk wolnej opinii w kraju i zagranicą, ograniczenia w dostawie prądu, nie wymienia się przyczyny moim zdaniem najistotniejszej: władze musiały ocenić, że wpływ zagranicznych rozgłośni na krajowego słuchacza zmalał i mogą sobie na ten efektowny gest pozwolić. Inna sprawa: czy mają rację? Czy nie jest to z ich strony kolejna próba zaklinania rzeczywistości, jakie uprawiają od dziesięcioleci.

Charkot zagłuszaczek, ten czysty język realnego socjalizmu, był zawsze — to prawda — czymś wyjątkowo obrzydliwym. Jednak chwalić komunistów i uśmiechać się do nich, bo już nie charczą w eter — to jakby okazywać wdzięczność komuś, kto latami pluł nam co dzień w zupę — i nagle tego poniechał.

Nastał teraz w Polsce czas szczególny; jednym wyda się on czasem nadziei, innym — beznadziejności właśnie. Ktoś powie, że nie jest tak źle, skoro wiceprezydent USA spotyka się oficjal-

nie z Wałęsą a rządowe gazety jakoś jednak o tym informują. Co ciekawsze: telewizja nagle nas powiadomiła, że Wałęsa podszedł do jakiegoś milicjanta i coś mu powiedział, a nawet nadała wywiad z tym milicjantem. W wywiadzie nie mówi się o Wałęsie niczego złego, ani niczego dobrego, tyle, że się w ogóle mówi. Niektórzy uznali to za wydarzenie polityczne. Jeśli nawet tak jest, wydarzenie to nie pociąga za sobą żadnych trwałych konsekwencji, nie na przewodniczącego „Solidarności” każe zwrócić uwagę, lecz na dobroczynność władz i ich telewizji.

Prawda to banalna, że „liberalizacja” i „demokratyzacja” to zabiegi kosmetyczne, dokonywane na systemie, który w istocie stanowi przeciwieństwo demokracji i liberalizmu. A zabiegi służą temu właśnie, by istota pozostała niezmienna. W tej chwili komuniści w Rosji i Polsce robią wszystko, by tę niezmienną za pomocą kosmetyki uchronić, zakamuflować, pociągnąć po wierzchu pstrymi farbami. Wszyscy to w gruncie rzeczy widzą, rozumieją charakter tych usiłowań i kibicują im, mając tylko nadzieję, że komunizm zmuszony do udawania, że komunizmem nie jest — jakoś się w tej grze sam pogubi i zapomni czym jest naprawdę.

W co nie wierzę. Komunizm — to nic innego, jak interesy komunistów, ich władza, ich wille, samochody, przydziały, poczucie bezpieczeństwa zapewnione przez nomenklaturę, dacje, placówki zagraniczne, dostęp do wszelkich dóbr PRL-u poza kolejką, często poza cennikiem. Jeśli się to wszystko ma — zapomnieć o tym trudno.



Nie przypuszczam, by na pytanie: zmieniło się coś wokół nas w sposób zasadniczy, czy się nie zmieniło? — można było odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Sądzę, że tego po prostu nikt nie wie. Są powody, by się niepokoić tym, co przyniesie rok 1988, przy czym chodzi o niepokoje całkiem prozaiczne: jak wysoko pójdą w górę ceny? Jedni zastanawiają się w związku z tym, czy będą mieli co do garnka włożyć, inni — czy na drukowane przez nich w podziemiu książki znajdą się nabywcy, zważywszy, że papier podrożeje o sto procent, i w ogóle podrożeje wszystko. Obie te troski, pozornie różne, są częściami tego samego poczucia grozy, które nas wszystkich ogarnia: gmach peerelowskiej gospodarki trzeszczy i wali się. Czy nas przygniecie? Czy będzie można tu i ówdzie na ruinach coś zbudować?

Nie są to egzaltowane metafory. Wystarczy popatrzeć na wymiecione półki sklepów, obłędne ceny towarów, które na nich pozostały, posłuchać jak ludzie mówią o nadchodzących podwyżkach, fantazjują na temat ich rozmiarów — aby przekonać się,

że takiego niepokoju społecznego i poczucia niepewności dawno już u nas nie było.

Zawsze jednak znajdują się tacy, którzy zamiast obserwować, co się dzieje na ziemi, zwracają głowy ku górze i tam wypatrują znaków jakie chcą zobaczyć. Pierwszy numer pisma *Res Publica* ukazał się już pół roku temu, jednak artykuły programowe w nim zawarte nadal chyba wyrażają przekonania redaktorów „RP”. Czołowy dział pisma nadal nazywa się „Inny kraj”, co ma wskazywać, iż kraj się zmienił, przy czym w artykule wstępnym redakcja podała samą siebie jako jeden z przykładów i dowodów owej metamorfozy PRL (wraz z Radą Konsultacyjną, która ma być innym dowodem i przykładem na to samo). Narcyzm.

To pewne, że jest (i ma być) *Res Publica* dowodem, iż na oficjalne otwarcie prywatnego pisma i w ogóle na koncesje ze strony władzy „realiści” mają teraz szanse, podczas gdy „nieugięci” — nie. Z tym trudno się nie zgodzić. Dodam, że eksperyment pn. „*Res Publica*, Sp. z O.O.” uważam za interesujący; więcej, dopuszczam, że po jakimś czasie będzie to pismo przynosić nam radość, zaś urzędnikom i cenzorom zgrzyzoty. Na razie jednak pod pewnymi względami redaktorzy jego zachowują się w sposób, który nie budzi zazdrości: oświadczyli na przykład, iż „uobywatelnieniu społeczeństwa” nie sprzyja „uwielbienie dla zdemokratyzowanej masy” (co da się w obecnej chwili odczytać tylko jako położenie kreski na „Solidarności”); zaczęli od kpín — bardzo, niestety, nieprecyzyjnych — z czegoś, co nazywają „narodową twierdzą” i z jej mieszkańców. Zachwalają „realizm”, ganią „radikalizm”, który „będąc użyteczny w pewnych okolicznościach utrwała się w sytuacji, gdy rzeczywistość jest już odmienna” a więc „jego niegdysiejsza skuteczność może zamienić się w przeciwną”, zaś związana z nim „manichejska choroba... w rezultacie pozbawia zdrowia wszystkich: i chirurgów, i pielęgniarzy, i pacjenta”. (*Res Publica* nr 1, str. 28-29).

Znowu ta pewność, że „rzeczywistość jest już odmienna” i nastał czas, by się od radykałów odciąć, jak od zarażonych nieładną chorobą, która pozbawia zdrowia wszystkich naokoło, głównie zaś utrudnia prowadzenie interesów. Władze stosują starą technikę „salami” — odcinania opozycji po plasterku — a „historycy idei” z *Res Publica* radośnie sami wychodzą temu naprzeciw.

Od połowy lat siedemdziesiątych zaczęła powoli umacniać się wiara, że to nie musi tak być, że fundamentalna niezgoda na komunizm — w tym opuszczanie obszarów objętych państwową kontrolą i cenzurą — ma głęboki sens wyzwalający, nie zaś frustrujący. Że to początek wielkiego procesu odzyskiwania niezależności, psychicznej i materialnej. A teraz zjednoczone siły rządowych i opozycyjnych „realistów” wywyższaniem

kunktatorstwa kosztem przyzwoitości znów nas wpędzają w poczucie niemocy, w nawyki pokornego ciełęcia, co dwie matki ssie.



Udało mi się zobaczyć film Andrzeja Pałki „Mieszkanie w bloku” — dokument, który nie został odesłany na półki, ale też i nie skierowano go do eksploatacji. Nie mówi bowiem o stalinowskich pochodach i prześladowaniach, egzotyce masowych pieśni i czerwonych krawatów, lecz o dzisiejszych nieszczęściach komunizmu — konkretnie o braku nadziei na mieszkanie. Zwidzamy jedno z robotniczych osiedli w Lublinie. Autor jest dyskretny, nie pokazuje nam piekła, w którym ludzie siedzą sobie na głowie, gdzie rozpacz zawsze prowadzi do swarów i otępienia. Mieszkańcy osiedla ujęci są w konwencji portretu rodzinnego, statycznie. Przerazającą wymowę ma tylko ilość osób i ciasnota przestrzeni, jaką zajmują. Ponure są też ich opowiadania o perspektywach (żadnych) i marzeniach, takich na przykład: robotnica, która od dawna już śpi na jednym tapczanie z córką i wnuczką, w nogach, mówi: „Tak bym chciała choć na starość mieć własną wersalkę”.

Nic nie poradzę, lecz dla mnie realia to nie połuzowanie cenzury, utworzenie rady z ćwierć-opozycjonistów, lecz właśnie takie życie w robotniczym osiedlu. To dwadzieścia lat oczekiwania na mieszkanie, to młode małżeństwa, nie mające żadnych szans, by się połączyć. Takie realia mają dopiero swój ciężar, naprawdę coś znaczą, nie można ich obejść, zignorować, i wiadomo, że prędzej czy później coś się z nimi musi stać. I zapewne stanie, znowu zaskakując obie strony przymierzające się do dialogu jak Polak z Polakiem.

Wyniki referendum były tu — sędzę — znakiem poważniejszym niż się może wydawać. Prawdziwe wyniki; jak bowiem mówi się w kołach kościelnych, na podstawie obserwacji proboszczów, frekwencja wahała się w granicach 20-25 %, w wielu wsiach nie przyszedł prawie nikt.

Oczywiście, ludzie są skołowani; w kolejkach plują na rząd a zarazem co chwila powołują się na telewizję („w telewizji powiedzieli...”). Jednak zmęczenie, przerażenie przyszłością, beznadzieja powoli zamieniają się we wściekłość i determinację. Żeby nie pójść na referendum, przełamać apatyczny nawyk głosowania na wezwanie, przeciętny obywatel musi się zdobyć na determinację i odwagę, które to po raz pierwszy w historii komunistycznych państw przyniosły komunistom wyborczą porażkę. Tyle, że to jest opór bierny, głuchy i na jego sformułowanie i ukierunkowanie chyba się w najbliższym czasie nie zanosi. Zgadzam się z Aleksandrem Paszyńskim, który pisze (*Tygodnik Mazowsze nr*

231): „Wynik referendum jest ewenementem, nawet w porównaniu do wyborów sprzed dwóch lat. Tylko, niestety, społeczeństwo nie ma partnera po stronie opozycji. Dzisiaj szczelin, w które można by się próbować wciskać, jest sporo, ale za mało jest ludzi, którzy to robią i pociągają za sobą innych”.

Oto jedna z prób „wciskania się w szczelinę”, na razie nieudana, strażnicy komunistycznego gmachu mają bowiem swój rozum i wiedzą, że jak coś zapaści korzenie w szparę w murze, przyspiesza to rozpad. Chodzi o sprawę zrzeszenia prywatnych producentów, na którego zarejestrowanie pod nazwą „Towarzystwo Gospodarcze” wszyscy oczekiwali jak na coś pewnego, niemal dokonanego. Założycielom wręczono w magistracie odpowiedź na wniosek o rejestrację.

Nie jest to niby odmowa, a jedynie wymóg wprowadzenia do statutu szeregu poprawek. „Towarzystwo” nazywałoby się „Warszawskie Towarzystwo Gospodarcze”, nie mogłoby więc mieć zasięgu ogólnokrajowego. Co tłumaczy się tym, że już w innych miastach istnieją podobne stowarzyszenia (coż stąd, że tylko w Krakowie, i że wcale nie podobne?) — nie trzeba więc ich dublować, nie trzeba rozpraszać społecznych inicjatyw. Dalej: „Towarzystwo”, które pragnie wspierać wysiłki osób prowadzących działalność gospodarczą na prywatny rachunek, które chciałoby stać się dla nich biurem porad (w tym — prawnych) oraz organizatorem zaplecza, musi zrezygnować z tego wszystkiego, z wszelkiej działalności — poza dyskusyjną (doprawdy, gadać dziś można dowoli!). Oprzec się ma też na pracy społecznej członków, nie może zatrudniać fachowców, którzy są właśnie jego członkom-biznesmenom potrzebni.

Najciekawiej prezentuje się poprawka dotycząca członkostwa: należeć mieliby do „Towarzystwa” nie tylko — jak to wynikało z jego idei — przedsiębiorcy prywatni, mający do siebie nawzajem zaufanie (przyjęcie wymagałoby rekomendacji dwóch członków i zgody pozostałych), lecz — demokratycznie — wszyscy, którzy popierają idee zawarte w statucie. A że poprzec je może cała partia i oba stronnictwa — nic nie stoi na przeszkodzie, by w razie czego organizacje te wprowadziły do „Towarzystwa” tylu ludzi, ilu zechcą.

Jeden z autorów wniosku o rejestrację wyraził się, że to tak, jakby komuś, kto ma ochotę na kawę z koniakiem, pozwolono się co prawda napić, lecz tylko wody z rycyną.

A więc *Res Publica* — tak, „Towarzystwo Gospodarcze” — nie. Warto przytoczyć jeszcze jeden przykład na nie, by lepiej

uświadomić sobie, gdzie ustawiono bariery dla społecznych inicjatyw.



Kilku młodych ludzi z „Teatru Nowego” w Łodzi stworzyło bardzo udaną formułę teatru domowego. W spektaklu bierze udział jeden aktor oraz różne kukielki i przedmioty. Teksty — to na początek „Kabaret Kici-Koci” Mirona Białoszewskiego. Rzecz utrzymana w tradycji „Teatru na Tarczyńskiej” wymaga bardzo bliskiego kontaktu aktora z widownią, czyli trzeba grać w mieszkaniach prywatnych. Co też ma miejsce — sam widziałem, podziwiałem. Ale nielegalnie, bo choć teksty zostały zatwierdzone przez cenzurę, władze na istnienie teatrzyku zezwolenia nie wydały.

Najwyraźniej chodzi o to, że przenosząc się do mieszkań prywatnych teatr taki ucieka z pola widzenia władzy, z terenu kontrolowanego — to groźne, choćby teatr był nie wiem jak mały. Kto ich tam wie, co będą naprawdę grali, o czym będą rozmawiali z publicznością. Ubeka się w kącie każdego domu nie posadzi, a tam, gdzie nie ma ubeka, nie ma cenzora, kontrolera — nie ma socjalizmu. Na co oczywiście klasa robotnicza nie może pozwolić.



Myślę o tym wszystkim, patrząc na gigantyczną tablicę przed Pałacem Kultury. Budowla nadal jest symbolem sowietyzacji Polski, osobistym darem Józefa Stalina, jego piętnem na pejzażu Warszawy. Tymczasem na owej niezwyklej doprawdy rozmiarów tablicy czytamy nie zapewnienia o wierności soюзom i kierowniczej roli partii, lecz słowa następujące: „ŁUK EROSA” oraz, mniejszymi literami: „Niedzielne igraszki”.

To tytuły dwóch polskich filmów, które właśnie wchodzą na ekrany. „Łuk Erosa”, dzieło z gatunku tzw. „pogranicza” (pogranicza porno), nakręcił Jerzy Domaradzki, autor „Wielkiego biegu” — filmu wybitnie antystalinowskiego; parę lat „Wielki bieg” leżał na półkach, a jednocześnie chodził w „kinach społecznych”, wydany jako jedna z kaset firmy „Video-NOWA”. Kto wie, czy nie to drugie spowodowało, że film nagle puszczono w telewizji (z wyciętym fragmentem, gdzie mowa właśnie o wzroście Stalina: mały był, czy olbrzymi?). „Wielkiego biegu” w państwowych kinach zobaczyć na razie nie można, jednak „Łuk Erosa” na tle „PKiN” to coś, od czego Stalin powinien przewrócić się w grobie. Zwłaszcza, że towarzyszą temu wszystkiemu „Niedzielne igraszki”. Akcja filmu Roberta Glińskiego rozgrywa się w dniu pogrzebu generalissimusa, na podwórku, gdzie dzieci

w okrutnej zabawie pokazują dość szeroką gamę stalinowskiego terroru, z mordowaniem włącznie. Żalobne uroczystości są — odległym, nie pokazanym — tłem.

Co to ma znaczyć? Czyżby nasi zdobyli plac przed „PKiN-em” i ustawili tam antykomunistyczną tablicę? Czy też jest to polityczna fatamorgana, mająca nas omamić i przekonać, że to już naprawdę „inny kraj”?

Raczej jednak — coś w rodzaju fatamorgany, choć w naszym nierzeczywistym świecie fatamorgana bliska jest rzeczywistości: dar generalissimusa został sprofanowany, ochlapany antystalinizmem i erotyzmem. Nie wiadomo, co go bardziej znieważa.

Komuniści proponują nam ideologiczny „potlacz”. Przypominam, że wśród dzikich plemion „potlacz” to zmaganie sakralno-propagandowe, polegające na niszczeniu dóbr: zwycięzcą jest ten, kto swe dobra ma w większej pogardzie. Otóż oni, komuniści, rozwalają teraz na miążgę własne świętości, wizerunki wodzów, rozmaite „tabu”. Czymże bowiem są „białe plamy”, jak nie „tabu”? Przecież nie chodzi tu o żadne dociekanie prawdy historycznej, prawda bowiem (o Katyniu, pakcie Ribbentrop-Mołotow itp.) od dawna jest powszechnie znana. Chodzi o dotknięcie czegoś, co było nietykalne. Propozycja spanikowanych wodzów komunistycznej wioski brzmi mniej więcej tak: my chrzanimy nasze „tabu”, wy zróbcie to samo z tym, do czego jesteście przywiązani. Mielibyśmy się więc (my) wyrzec dążenia do niezależności, wolności, bo po co nam ona, jeśli tyran się ucywilizował i wcale nie jest już tyranem, swoje tyranstwo publicznie opluwa i ośmiesza?



Znajduję to powiedziane *explicite* w piśmie, które do wyrażenia takich rzeczy służy od dawna — w *Polityce*. Jerzy Baczyński omawia w numerze z 9 stycznia wyniki badania nastrojów społecznych, przeprowadzonego przez CBOS pułkownika Kwiatkowskiego. Nadtytuły i podtytuły brzmią: „Nastroje społeczne wyraźnie się pogorszyły”; „Wątpliwe nadzieje”, „Ani pieniędzy, ani towarów”, „Klimat napięcia”. Zdawałoby się: katastrofa, komuniści przyznają się do klapy swych rządów, przepraszają i odchodzą. Tymczasem — wręcz przeciwnie: to głupi obywatele boją się reformy, widząc w niej tylko widmo podwyżek; zarazem jednak ci sami obywatele wykazują mądrość, pokładając zaufanie w rządzie premiera Messnera a nawet oczekując odeń „zdecydowanych, szybkich działań”, które przerwałyby stan napięcia. Czytamy wyraźnie: „...wbrew wielu potocznym opiniom sytuacja polityczna kraju jest oceniana bez porównania lepiej niż ekonomiczna”. Dalej dowiadujemy się, że 40 % ankietowanych „uważa klimat polityczny za dobry, tyle samo za ani dobry, ani zły”.

Łatwo więc obliczyć, iż — według pułkownika Kwiatkowskiego — tylko 20 % Polaków sądzi, iż klimat polityczny nie jest taki jak trzeba.

Czyli tak: inflacja potworna, gospodarka w ruinie — ale polityka rządzących nam się podoba. Biednie nam, ale się kochamy. Cała propaganda oparta jest na tej absurdalnej próbie oderwania gospodarki od polityki. Absurdalnej, rażąco niezgodnej choćby z ich własnym marksizmem, który podstawą stosunków społecznych czyni stosunki ekonomiczne — ale czy naiwnej? 29 listopada ludzie nie poszli wrzucać władzy kartek w szparkę, bo im się nie chciało odpowiedzieć na teźże władzy głośno wezwania. Z drugiej jednak strony obecna propaganda naprawdę zaskakuje nowością; mówi się rzeczy, o mówieniu których dawniej nie można było marzyć: wydaje się książki i urządza wystawy o Lwowie i Wilnie. W *Tygodniku Powszechnym* (nr 5 z 31 stycznia) Jerzy Turowicz wyraźnie pisze, że władza w naszym kraju ma ambicje totalitarne, zaś władza ta w osobie cenzora tekstów (jak oni to nazywają) zwalnia. Z półek zeszyły filmy, które się tam od lat znajdowały.

I okazało się, że wszystkie niemal dotyczą spraw, które od biedy można uznać za zamknięte: stalinizmu, mówiąc najogólniej: stalinowskiej wersji komunistycznego terroru, z masowo stosowanymi torturami, z obowiązkiem uczestnictwa w fanatycznym rytuale. Współ z aktualną władzą możemy sobie na to że zgrozą popatrzeć, jako że ta władza od swych stalinowskich korzeni się ostentacyjnie odcina, jakby to nie dzięki temu Stalinowi właśnie i temu terrorowi stała się czym jest — władzą.

W akcji przeprowadzanej na ogromną skalę obecna propaganda stara się to wszystko zachachmęcić, wymalować wizerunek grupy rządzącej jako pełnego troski gospodarza, który stara się „wyprowadzić z kryzysu” kraj nie wiadomo przez kogo w kryzys wprowadzony, gospodarza łagodnego, prawdomównego, wsłuchanego w głos ludu liberała. Operacja ta usunąć ma z pola widzenia prowadzoną z narodem wojnę ekonomiczną. Prowadzoną — w imię bezpośrednich interesów własnych oraz w imię mocodawców: od dwóch lat, w myśl zawartych z RWPG „umów”, Polska stała się w istocie krajem kolonialnym. Stosunki pracy również stają się w swej poetyce kolonialne: rabunkowa gospodarka wobec zasobów materiałowych (górnictwo!), wobec siły roboczej, czy ludzi. Tym, co ujawnia prawdziwe plany rządzących, jest między innymi przygotowywany obecnie projekt nowelizacji kodeksu pracy, mający przywiązać robotnika do fabryki niemal tak, jak kiedyś przywiązany był chłop do ziemi. Kiedy się ten projekt zna, wszelkie gadanie o „demokratyzacji” i „gospodarce rynkowej” wydaje się śmieszne. Wygląda on na próbę połączenia elementów kapitalizmu z elementami ustroju niewolniczego. Nie

można wykluczyć co prawda, że — jeśli nas zaskoczą — eksperyment ten będzie się im przez jakiś czas udawał.

Z rozmaitych malowniczych *happening'ów*, urządzonych w ciągu ostatnich miesięcy przez wrocławską „Pomarańczową Alternatywę”, ugrupowanie tak popularne, że nie będę go tu szerzej opisywał, podobała mi się zwłaszcza taka oto heca: młodzi ludzie przebrali się w łachmany, chodzili ulicami i głośno wszystkich przepraszaali, mówiąc, że to oni właśnie wywołali kryzys, oni przepętali te miliardy dolarów, i żeby się na nich nie gniewać, że już nie będą.

A więc może coś się jednak zmienia? Aktywne siły opozycji demokratycznej, siły młode, widzą dobrze na czym polega monstualny kant montowany przez komunistów i do tego potrafią ów kant ujawnić nie pisaniem oświadczeń, pojedynczych lub płaczących, lecz śmiechem, który — jeśli trafia celnie — zawsze ma moc wyzwalającą. Wyglądałoby (twórczość satyryczna Jacka Fedorowicza jest tutaj innym przykładem), że kończy się czas szlochów i klęzek, następuje znużenie przez parę lat celebrowaną rolę ofiary, rodzi się potrzeba bezkompromisowych działań nowego typu.

Paweł MORGA

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Lwowska szkoła inżynierii dusz*

I. Uwagi wstępne

W 1950 roku sytuacja literatury i pisarza w Polsce przypominała pod wieloma względami sytuację literatury i pisarza we Lwowie po styczniu 1940 roku, a ta znów była w dużej mierze repliką sytuacji literatury i pisarza w Związku Sowieckim. Czesław Miłosz, który — jak to określił — „odszedł”, czyli opuścił Polskę na początku 1951 roku, poświęcił parę pierwszych lat po zerwaniu z PRL na „zrobienie użytku ze swoich doświadczeń”. Powstały wówczas dwie książki: esej czy rodzaj „traktatu politycznego” *Zniewolony umysł* i powieść *Zdobycie władzy*, obie w zasadzie na ten sam temat zniewolenia. Przywykło się uważać *Zniewolony umysł* za książkę nie tylko lepszą, ale i ważniejszą, podczas gdy walory *Zdobycia władzy* pozostały raczej niedocenione. Wpłynęła zapewne na to jej forma powieściowa, którą Miłosz, poeta i eseista, posługiwał się bez tej wyraźnej maestrii jaką osiągał w swoich wierszach i esejach.

Zniewolony umysł jest książką pod wieloma względami świetną, która właśnie dzięki swoim ograniczeniom, a więc skoncentrowaniu się na stronie intelektualnej zniewolenia, do dziś zachowała swoją wartość. Nie jest to oczywiście pełny obraz procesu zniewolenia społeczeństwa, i nie jest to książka o całej inteligencji polskiej w pierwszych latach po wojnie. Jest to książka o tych intelektualistach którzy przyjęli nową wiarę, lub się do nowej sytuacji adaptowali. A przede wszystkim jest to książka o pisarzach, i swoje cztery główne przykłady (Andrzejewski, Borowski, Putrament i Gałczyński) bierze z tego właśnie środowiska. Ponieważ środowisko literackie uległo dosyć powszechnie sowie-

* Fragment książki.

zacji, powstaje wrażenie, że opór inteligencji polskiej wobec so-wietyzacji, i zachowanie niezależności umysłowej, były rzadsze niż w rzeczywistości. W książce, ze względu na jej charakter, za-brakło miejsca na opisanie postaw i wyłożenie racji tych intelek-tualistów, którzy so-wietyzacji się nie poddali. Oczywiście że w pewnym sensie racje te reprezentuje w książce sam autor. Są to jednak racje kogoś, kto początkowo dał nowej władzy pewien kredyt zaufania i starał się znaleźć dla siebie miejsce w nowej rzeczywistości. A przy tym Miłoszowi bardzo zależało, żeby nie popaść w szablonowy antykomunizm i sprawę przyjmowania no-wej wiary przedstawić jako rodzaj istotnej przygody intelektualnej, co prowadziło do pewnej nobilitacji zjawiska, z uszczerbkiem dla jego strony bardziej przyziemnej, oraz tej, która dotyczyła bardziej charakteru i moralności niż idei.

Jest jeszcze jedno ograniczenie, które z perspektywy czasu wydaje się dosyć istotne, a mianowicie niedostateczne uwzględ-nienie przez autora tych momentów w niedawnej historii inteli-gencji polskiej, które proces so-wietyzacji przygotowały i ułatwiły.

Osobiste doświadczenie Miłosza zawierało jakiś stopień utoż-samienia z nurtem lewicowym lat 1930-tych, ale nie obejmowało, poza paratygodniowym okresem w 1939 roku, i niewiele dłuż-szym okresem w 1940 roku w Wilnie, przeżycia okupacji sowiec-kiej. Miłosz nie doświadczył więc, praktycznie rzecz biorąc, ani epizodu lwowskiego, ani krótszego i nie tak istotnego epizodu wileńskiego; nie przeszedł też przez doświadczenie działaczy i członków Związku Patriotów Polskich, z których część pełniła funkcję oficerów oświatowych, czyli politruków przy Ludowym Wojsku Polskim w ZSSR. Epizod lwowski jako znaczący mo-ment w procesie so-wietyzacji kultury polskiej w *Zniewolonym umyśle* w zasadzie nie istnieje: z czterech pisarzy, których koleje Miłosz rozpatruje szerzej, jedynie Putrament przeszedł przez szkołę sowiecką. Charakterystyczne, że w jego sylwetce sprawa ta nie jest uwypuklona. Dodatnim aspektem *Zdobycia władzy* w po-równaniu ze *Zniewolonym umysłem* jest właśnie szersze naświe-tlenie roli tych, którzy wkraczali do Polski wraz z Armią Czer-woną, przeszedłszy przedtem szkołę sowiecką, a szkoła ta miała to do siebie, że wytwarzała pod wielkim ciśnieniem mechanizmy dyspozycyjności w stopniu dotychczas niespotykanym, i obcym polskiej tradycji intelektualnej.

Zniewolony umysł był w istotnym sensie projekcją procesów myślowych samego Miłosza na polskie środowisko literackie. Jak wiadomo, Miłosz przerastał wielu swoich kolegów po piórze o całą głowę. Liczba polskich pisarzy po wojnie szła w setki, więk-szość z nich to byli raczej literaci niż pisarze, a więc ludzie żyjący z pióra na co dzień, o raczej ograniczonej wizji własnej, wcale

nie należący do kategorii myślicieli. Przypisanie im dramatu intelektualnego w rodzaju tego, jaki przeszedł sam autor *Zniewolonego umysłu*, stanowiło naruszenie zasady proporcji, prowadziło do a-socjologicznego traktowania tematu, który wymagał bardziej socjologicznego podejścia.

Niemniej Miłosz był zbyt inteligentnym i spostrzegawczym obserwatorem, by aspektów tu wymienionych całkowicie nie dostrzegać. W *Zniewolonym umyśle*, a tym bardziej w obu książkach jeżeli je rozpatrywać łącznie, wszystkie one właściwie występują; przynajmniej *in nuce*; tyle, że nacisk pada na dramat myśli, proces argumentacji i racjonalizacji. Ale to przecież Miłosz napisał w swoim eseju: „Ludzie na Zachodzie skłonni są często rozpatrywać los krajów nawracanych *tylko* w kategoriach przymusu i przemocy (podkreślenie moje). To jest niesłuszne. Poza zwyczajnym strachem, poza chęcią uchronienia się przed nędzą i fizycznym zniszczeniem, działa pragnienie wewnętrznej harmonii i szczęścia... Nacisk zorganizowanej maszyny państwowej jest niczym w porównaniu z naciskiem przekonującej argumentacji. Sprawa jest dużo poważniejsza niż sprawa przemocy”. Zasadniczą formułą zjawiska i procesu zniewolenia jest w książce Miłosza połączenie obu elementów: racji i przemocy. „Oto schemat: argumentować i stwarzać niezbędne warunki siłą. Hubka i krzesiwo. Młot i kowadło. Pożądana iskra pojawi się”. W formule Miłosza na pierwszym miejscu stoi argument, na drugim — przemoc; na pierwszym miejscu — racja, na drugim strach. Wobec czego druga strona formuły nie zostaje opisana adekwatnie. W końcu jest dosyć nawet banalna.

Rejestrując w 1976 roku (w październikowym numerze paryskiej *Kultury*) swoją reakcję na odczytane w Paryżu fragmenty nowej książki Kazimierza Brandysa *Nierzeczywistość*, Gustaw Herling-Grudziński zwrócił uwagę na główną słabość jego piarstwa: „pociąg do prozy wylizanej, gładkiej, bez wyraźnego punktu oparcia (i oporu)”, i w tej „dobrze naoliwionej gładziźnie intelektualnej” dopatrzył się „paranteli” ze *Zniewolonym umysłem* Miłosza, „książką świetnie napisaną, lecz błędną, 'wyдуманą' za biurkiem”. Kiedy wkrótce potem Miłosz wyraził zdziwienie tak mimochodem rzuconą opinią, Herling-Grudziński uzasadnił swój krytyczny stosunek do zasadniczego założenia książki Miłosza odwołaniem się do swoich obserwacji z okresu sowieckiego Lwowa. Podtrzymując swoje zdanie, że zasadniczym kryterium przy rozpatrywaniu sprawy „jakie siły pchały nazajutrz po wojnie polskich intelektualistów w objęcia Nowej Wiary”, jest kryterium „moralistyczne”, stwierdzał bez ogródek, że we Lwowie pod okupacją sowiecką, wśród intelektualistów „szalały (z nielicznymi wyjątkami) strach, głupota i znieprawienie, bez śladu 'heglowskiego ukąszenia’”. A Lwów, zdaniem Grudziń-

skiego, był „swego rodzaju poligonem powojennej rzeczywistości krajowej”.

Sformułowanie Herlinga-Grudzińskiego padło na podatny grunt w okresie wzmożonego zainteresowania postawami i działalnością polskich intelektualistów, a przede wszystkim pisarzy, w powojennej Polsce.

W eseju zatytułowanym *Sytuacja pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku*, Artur Sandauer w nader króciutkim rozdziałku, poświęconym epizodowi lwowskiemu, stwierdzając, zresztą nieścisłe, że funkcjonująca w sowieckim Lwowie w latach 1939-1941 sekcja polska „trój-narodowego Związku Pisarzy: ukraińskich, polskich i żydowskich”, była „jedynym podówczas zorganizowanym ośrodkiem naszej kultury na świecie”, spróbował dać swoistą apologię współpracy wielu pisarzy przebywających we Lwowie z władzą sowiecką, a szczególnie tych którzy byli pochodzenia żydowskiego, oraz ich roli w powojennej Polsce. Jeżeli, pisał, „stosunki między nową władzą a tak reprezentatywnym dla polskiej inteligencji pisarzem jak Boy-Zeleński” układały się „bezkolizyjnie”, to co się dziwić polskim pisarzom pochodzenia żydowskiego, dla których „Druza Rzeczpospolita była... nie matką, ale macochą”? Tym bardziej, że jakiegokolwiek były wady władzy sowieckiej, wyzwołała ich ona „spod ciężącego nad Europą i Polską koszmara hitleryzmu”. Nic więc dziwnego, konkludował Sandauer, że Lec napisał we Lwowie swoją „odę” na cześć Stalina, choć przyznawał, że ten entuzjazm, przejawiony także w pomyśle „zespolowego poematu 'Szczęśliwy rok', którego poszczególne parile, przetłumaczone na trzy języki, złożyłyby się na trzy równoległe utwory giganty”, okazał się nie całkiem uzasadniony w konfrontacji z rzeczywistością, przynajmniej ze strony pisarzy pochodzenia żydowskiego: „internacjonalistyczna sielanka” trój-narodowego Związku Pisarzy była jednak, z punktu widzenia późniejszych wypadków, nieco sztuczna, a dogmatyzm władzy sowieckiej nie pozwolił jej zrozumieć prawdziwego rasistowskiego znaczenia antysemityzmu niemieckich faszystów. Motywy które pchnęły pisarzy żydowskich w objęcia władzy sowieckiej we Lwowie nie przestały odgrywać swojej roli i później, stąd tak znaczny udział polskich pisarzy pochodzenia żydowskiego w sowietyzacji powojennej Polski.

Do eseju Sandauera nawiązał w trzy lata później, w *Poezji* (marzec 1986), Bohdan Urbankowski w pracy pt. „W rozdartym świecie”, która spowodowała konfiskatę numeru pisma, dymisję Urbankowskiego ze stanowiska zastępcy redaktora, i rezygnację redaktora naczelnego, Bohdana Drozdowskiego. Urbankowski, idąc tropem Sandauera, wyciągnął daleko idące wnioski co do znaczenia epizodu lwowskiego i jego przedłużenia w ZSSR przy

boku Ludowego Wojska Polskiego, dla późniejszej próby sowiezacji kultury polskiej. Pisał:

W swym eseju Sandauer dotyka sprawy ważnej, sprawy funkcjonowania tzw. aktywu lwowskiego. Grupa ta organizowała kulturę na ziemiach włączonych do ZSSR po 17 września 1939 roku, potem znalazła się w głębi ZSSR, przeważnie w aparacie polityczno-propagandowym LWP i — prawie w całości — w roku 1944 została przeszczepiona do tworzonych wówczas w Polsce aparatu władzy. Trop wskazany przez Sandauera jest cenny, lecz wymaga jeszcze dalszych badań. Jest faktem, że większość lwowskiego (użyjmy nowocześniejszego słowa) lobby tworzyli działacze i literaci pochodzenia żydowskiego. Ale nie tylko Żydzi współtworzyli tę grupę i nie tylko we Lwowie się ona kształtowała. We Lwowie działali m.in.: Wanda Wasilewska, Boy, Elżbieta Szemplińska, Leon Pasternak, którzy weszli nawet do zarządu Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy, a także Melania Kierczyńska, Borejsza, Paweł Hoffman, Paweł Hertz, Putrament, Ważyk, A. Rudnicki, Kuryluk, Erwin Axer, Przyboś, Lec, Jastrun, Siobodnik i inni. Podobna strukturalnie, choć bardziej rozproszona grupa organizowała się wokół wychodzącego w Mińsku *Sztandaru Wolności*, w którym pisywali m.in. Janina Broniewska, Jakub Berman (także jako Jan Brylak), Juliusz Burgin, Stefan Wierbłowski, Wilhelm Billig, Feliks Paliński i in. Artykuły i wiersze większości tych działaczy były tak egzaltowane, że czyta się je jak niezamierzone autoparodie. Trudno dziś wyrokować, czy była to zła czy dobra wiara, ile w niej było serwilizmu, ile strachu, a ile zwykłej ludzkiej radości, że udało się uciec spod okupacji niemieckiej, gdzie za samo pochodzenie groził obóz. W tej sytuacji nawet w ówczesnym Lwowie można było wierzyć w utopię.

W podziemiach stalinowskiej utopii były przecież więzienia, ostrzeżeniem dla niewierzących — aresztowanie we Lwowie Broniewskiego, Czuchnowskiego, Skuzy, Wata, Sterna, Parnickiego i Peipera. Pozostali pisali wiersze — coraz bardziej entuzjastyczne.

I tu jest klucz do tajemnicy owego lobby, które potem obejmie stanowiska w zarządzaniu polską kulturą, klucz do jego dyspozycyjności i do jego upartej wiary zamykającej oczy na fakty przeczące utopii.

Nie wszystko co pisze Urbankowski jest ściśle, i szereg pytań, które stawia, pozostaje bez odpowiedzi. Ale samo zagadnienie postawione jest jasno: epizod lwowski odegrał istotne znaczenie w historii powojennej kultury w Polsce, gdyż ukształtował grupę dyspozycyjnych działaczy i pisarzy, którzy później objęli ważne stanowiska w zarządzaniu kulturą polską.

Znaczenie epizodu lwowskiego interesuje także Jacka Trznadla, który w swoich rozmowach z kilkunastoma pisarzami polskimi zamieszczonymi w książce pt. *Hańba domowa*, stara się uzyskać odpowiedź na pytanie, jak doszło do owej „hańby domowej”, to znaczy tak gremialnej współpracy pisarzy polskich z komunistyczną władzą. Epizod lwowski potraktowany jest najszerzej w rozmowie z Julianem Strykowskiem, ale niestety przynosi mniej informacji, niż mógł udzielić autor *Wielkiego strachu*, powieści autobiograficznej właśnie o okresie lwowskim. O znaczeniu Lwowa mówią pokrótce także Zbigniew Herbert, Andrzej Braun i Jarosław Marek Rymkiewicz; ten ostatni, cytując z aprobatą opinię

Herlinga-Grudzińskiego, równocześnie powtarza jedną z wielu apokryficznych opowieści, w tym wypadku o Boyu-Zeleńskim, które na temat Lwowa powstały, zaciemniając nieraz prawdziwy charakter tego epizodu.

Gdyż o epizodzie lwowskim wie się ciągle mniej, niż to jest możliwe przy dokumentacji która istnieje; powtarza się różne nie sprawdzone, a nieraz fałszywe wersje, miesza się chronologię wypadków, nie zna się zasadniczych tekstów, a często podstawowych faktów, i wobec tego rozumie się tylko częściowo, albo całkiem błędnie, co się tam wydarzyło. Nikt na przykład nie opisał dokładnie, ani we wspomnieniach, ani w opracowaniach, najczarniejszego okresu epizodu lwowskiego, który był równocześnie okresem udyspozycjonienia znacznej grupy pisarzy, a mianowicie od końca stycznia do sierpnia 1940 roku, to znaczy od momentu aresztowania Broniewskiego i szeregu innych pisarzy do tych kilku tygodni po upadku Francji, kiedy to nastąpiła wizyta kilkuset profesorów lwowskich w Moskwie, w tym Boya-Zeleńskiego, i powzięte zostały decyzje o urządzeniu obchodów 85-tej rocznicy śmierci Mickiewicza oraz przekształceniu organizacji pisarzy we Lwowie (tzw. Komorgu) w oddział Związku Pisarzy Sowieckich Ukrainy. Tak się bowiem złożyło, że — z wyjątkiem Michała Borwicza — ci, którzy drukowali swoje wspomnienia na Zachodzie (Wat, Naglerowa, Grubiński, Kowalewski, Piłichowska, Czuchnowski, Herling-Grudziński, który zresztą o Lwowie pisał bardzo niewiele), okresu tego z własnego doświadczenia nie znali, gdyż zostali aresztowani, podczas gdy ci, których aresztowania nie objęły i którzy wojnę przeżyli, o epizodzie lwowskim albo w ogóle nie pisali, albo pisali o nim w sposób niedokładny, a nawet nierzetelny.

Trzeba bowiem stwierdzić, że w powojennej Polsce epizod lwowski był świadomie usuwany w cień, a ta „wstydlivość” zaczęła się jeszcze przed zakończeniem wojny¹. W wydanej w Moskwie w 1944 roku, w Bibliotece Związku Patriotów Polskich, antologii *Poezja polska 1939-1941*, nie ma ani jednego wiersza z *Czerwonego Sztandaru* i prawie w ogóle żadnych wierszy sprzed fazy „patriotycznej”, która nastąpiła po uderzeniu Niemiec na Związek Sowiecki, chociaż poeci, którzy w *Czerwonym Sztandarze* drukowali, jak Ważyk, Pasternak, Szemplińska, Szenwald i Słobodnik, są w antologii reprezentowani.

1. „Jak bardzo była wstydliva twórczość skaptowanych [w czasie wojny] pisarzy — zauważa Maria Danilewicz Zielińska — świadoczy fakt, że po roku 1945 nie przedrukowano nie tylko *Nowych Wierszów*, ale nawet nie wydano poświęconej im monografii czy antologii wybranych tekstów”. Patrz. „Gorzące żale przybywajcie...”, *Kultura*, nr 5/1987, str. 112. Choć nie jest to colkiem ścisłe, gdyż drukowano wspomnienia Stefana Jędrzychowskiego o *Nowych Wierszach*, stwierdzenie to jest w ogólnych zarysach jak najbardziej słuszne.

W okresie powojennym jedynie bodaj Pasternak przedrukował w swoich tomikach *niektóre* z utworów uprzednio drukowanych w *Czerwonym Sztandarze*, a i to zataił chronologię w układzie wierszy. W żadnym natomiast zbiorze wierszy Ważyka nie znajdziemy jego „Do inteligenta uchodźcy”, ani utworu który Ważyk napisał jako swój wkład do „Poematu kolektywnego ku czci wyzwolenia”, tak jak w tomach Leca nie znajdziemy jego wierszy „Stalin”, „List przesłany poetą do Kijowa”, „Do ludu fińskiego”, czy „Czerwona Armia”, a w *Utworach poetyckich* Szenwaldy brak jego kontrybucji do „Poematu kolektywnego”. Jeżeli zaś chodzi o ów „Poemat kolektywny” (a były, być może, dwa takie poematy), to nie pochwalono się nim nawet w okresie stalinowskim, i bodajże pierwsza w ogóle o nim wzmianka znalazła się w esejju Sandauera, w odcinku drukowanym po raz pierwszy w *Życiu Literackim* w 1981 roku (a w każdym razie była to pierwsza wzmianka w czasopiśmie nie małonakładowym). W niektórych wspomnieniach znalazły się wzmianki o „osławionym w ohydzie” wierszu Szemplińskiej (jak to określił Jan Karol Wende w swoich wspomnieniach o Broniewskim), który był odpowiedzią na napisany we Lwowie wiersz Broniewskiego „Syn podbitego narodu...”, ale trudno byłoby znaleźć tekst czy nawet tytuł tego wiersza, czy gdzie się ukazał i datę druku. Podobnie raczej tylko napomykano o innym „ohydnym” dokumencie z tego okresu, artykule Witolda Kolskiego pt. „Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną”, bez przedrukowania tekstu lub nawet dokładnych cytatów². Podobne przykłady „wstydlivosti” na temat epizodu lwowskiego można by mnożyć zarówno ze strony samych pisarzy jak i krytyków oraz autorów opracowań. Nawet Aleksander Wat, który w rozmowach z Miłozsem w *Moim wieku* opowiadał z wielką otwartością o tym „najbardziej przykrym” okresie w swoim życiu, gdy relacjonuje treść swojego artykułu w *Litieraturnoj Gazietie* (z 5 grudnia 1939), robi to nie całkiem dokładnie i nie pamięta jak brzmiał jego tytuł (a brzmiał: „Polskije sowieckije pisatieli”). W ogóle to jednak dosyć zdumiewające, jak niewielu z tych, którzy o Lwowie pisali, zadało sobie trud by sprawdzić swoje wspomnienia, dotrzeć do tekstów, zajrzeć do pism w języku rosyjskim czy ukraińskim, i zamiast dramatyzować i beletryzować, opowiedzieć rzeczowo jak było (najbardziej irytujący „przyjaciel” historyka: wspominający literat).

Literatura na temat epizodu lwowskiego nawarstwiała się

2. W mikrofilmie *Czerwonego Sztandaru* znajdującym się w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie, brak numeru w którym ukazał się artykuł Kolskiego, jak i zresztą kilkunastu innych numerów z pierwszych czterech miesięcy epizodu lwowskiego, w tym numerów kiedy pismo nosiło jeszcze tytuł *Słowo Żołnierza*, jako organ Wydziału Politycznego Frontu Ukraińskiego, i wychodziło w Tarnopolu.

w Polsce nierównomiernie i wycinkowo. Było trochę wspomnień i relacji, nie zawsze rzetelnych, i na ogół fragmentarycznych. Po artykule Henryka Szzippera w *Kuźnicy* (z 15 i 22 czerwca 1946 roku) pod odpowiednio sugestywnym tytułem „Polski Piemont kulturalny we Lwowie w latach 1939-1941”, który zresztą dotyczył głównie polskiego szkolnictwa, długo nie ukazało się nic rzeczowego; w 1956 roku *Gazeta Krakowska* przedrukowała rozdział z książki zatytułowanej *Pod obcymi sztandarami* dwóch autorów sowieckich, W. Bielajewa i M. Rudnyckiego, którego wartość charakteryzuje zdanie o Boyu, że uciekł on we wrześniu 1939 roku do Lwowa pod ochronę armii sowieckiej. W latach 60-tych i 70-tych ukazały się wspomnienia Putramenta i Jana Brzozy oraz wycieczki w lwowską przeszłość Jalu Kurka, A. Maliszewskiego, Henryka Worcella, Anny Tatarkiewicz, Mikołaja Kupłowskiego (te ostatnie o Boyu) oraz parę innych pozycji. Wartościowe materiały, mimo pewnych luk i niedomówień, zamieścił w nr. 1-4 *Pamiętnik Teatralny* z 1963 roku. Natomiast wstrzymano druk drugiej części nagranych na taśmę w 1964 roku wspomnień Wandy Wasilewskiej, i to właśnie od miejsca w którym przechodzi ona do relacji o okresie lwowskim³.

Nawet we wspomnieniach wydanych po 1981 roku, ich autorzy wracają do epizodu lwowskiego bardzo wybiórczo, jak na przykład Adolf Rudnicki w *Krakowskim Przedmieściu pełnym deserów*, czy Mieczysław Jastrun w *Smudze światła*.

Pomijano epizod lwowski w antologiach i wyborach dokumentów. Do roku 1983 nie było bibliografii piśmiennictwa okresu wojny a w bibliografii której pierwszy tom ukazał się w tym roku, i która stanowi przełom w naszej wiedzy o tym okresie, i w ogóle o literaturze polskiej i teatrze czasu wojny, nie zostały uwzględnione pozycje w języku rosyjskim, ukraińskim i białoruskim (z pewnymi wyjątkami)⁴.

W latach 60-tych i 70-tych ukazało się także w Polsce kilka opracowań o charakterze przede wszystkim prasoznawczym, a więc w rodzaju „Polskie życie kulturalne w ZSSR w roku 1940-1941 na łamach prasy”, „Sprawy kultury polskiej na łamach Czerwonego Sztandaru” (w mało dostępnym *Biuletynie Informacyjnym Studiów z Dziejów Stosunków Polsko-Radzieckich* nr 20, 1970) lub Michaiła Głobaczowa ze Związku Sowieckiego „*Nowe*

3. Pierwsza część wspomnień ukazała się w nr. 1 *Z Pola Walki* z 1968 roku. Druga dopiero w 1982 w *Archiwum Ruchu Robotniczego*.

4. Patrz, Jadwiga Czachowska, Maria Krystyna Maciejewska, Teresa Tyszkiewicz, *Literatura polska i teatr w latach II wojny światowej: Bibliografia*, Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, tom I, 1983; tom II, 1984. Według T.P. Agapkiny, około 14 gazet i czasopism sowieckich zamieściło w okresie lwowskim utwory autorów polskich lub też omówienia. Patrz, *Polsko-rosyjskie literaturne swiaz, Moskwa 1970*.

Widnokreśli 1941-1946: Zarys problematyki", gdzie jest nieco informacji o lwowskim okresie tego pisma.

Swego rodzaju próbą dania obrazu całości, i jako taka, wnoszącą nieco nowych elementów jest artykuł Klementyny Pytlarczyk „Z życia polskiego środowiska kulturalnego we Lwowie (wrzesień 1939 - czerwiec 1941)". Bardziej problemowy, nie stroniący od oceny omawianych faktów, i w ogóle pisany z niezależnego punktu widzenia, jest artykuł z 1982 roku Czesława Madajczyka i Ryszarda Torzeckiego „Świat kultury i nauki Lwowa (1936-1941)", którego część druga i pod pewnymi względami kontrastowa dotyczy epizodu lwowskiego (*Dzieje najnowsze* nr. 1-4).

Niewątpliwą próbą „odpowiedniego ustawienia tematu", zawierającą jednak coś jak powiew nadchodzącej ery polityki „otwartości", jest drukowany w piśmie *Z Pola Walki* (nr 1, 1986) artykuł Michała Głobaczowa „Życie kulturalne Polaków w tzw. okresie lwowskim (jesień 1939 - lato 1941)". Autor, znający dosyć dobrze literaturę przedmiotu (zapewne lepiej, niż świadczy o tym jego bibliografia), wyraża opinię, że „mankamentem prac wydanych" tuż po wojnie „były braki warsztatowe oraz zrozumiały subiektywizm w ocenach", natomiast wadą późniejszych opracowań „ściśle naukowych", jest „ton opisowo-rejestacyjny, drastyczna przewaga metod ilościowych nad jakościowymi oraz — w wielu przypadkach — wyraźna niechęć autorów do wypowiedzania opinii wiążących, dziwna wstrzemięźliwość w wartościowaniu przedmiotu podejmowanych badań: dorobku kulturalnego lwowskiego okresu". W pierwszym momencie jesteśmy autorowi gotowi przyklasnąć, gdyż prawie wszystkie opracowania rzeczywiście mają wymienione wady i grzeszą nadmierną ostrożnością; może się jedynie wydać dziwne, że autor nie bierze pod uwagę przyczyn takiego stanu rzeczy. Czytając dalej, dochodzimy szybko do wniosku, że nasza aprobata polega niestety na niezrozumieniu jego intencji. Bowiem artykuł Głobaczowa nie tylko wykazuje istotne braki warsztatowe (nie uwzględniając np. dokumentacji i wspomnień wydanych na Zachodzie: brak wzmianki nawet o tak podstawowym tekście jak wspomnienia Wata), a w swojej próbie złożenia części odpowiedzialności za terror wobec ludności polskiej na „prowokacyjną działalność agentury ukraińskich nacjonalistów", powołuje się na nie byle jaki autorytet, bo samego Jana Brzozy, ale w swojej krytyce „wstrzemięźliwości" autorów krajowych ma na myśli ich, powiadzmy, niedostateczne zaangażowanie socjalistyczne. Artykuł Głobaczowa jest wyraźnie apologetyczny wobec ówczesnej polityki sowieckiej w jej zasadniczych zrębach, zarówno zagranicznej jak i narodowościowej. Słowo „wywózki" określa jako „tzw.", pozytywnie odnosi się do „przygotowawczego" charakteru okresu

lwowskiego „w procesie — jak pisze — ewolucji, obiektywnie dążącej w kierunku możliwie najpełniejszej integracji wszystkich trzech nurtów [tzn. „w okupowanym kraju oraz w skupiskach emigranckich Wschodu i Zachodu”] na gruncie patriotyzmu i antyfaszyzmu” [sic!], i równie pozytywnie ocenia fakt, że „właśnie w okresie lwowskim została stworzona po raz pierwszy [w dziejach literatury polskiej] komórka organizacyjna socjalistycznego typu”, czyli owa Sandauerowska „internacjonalistyczna sielanka” trój-narodowego Związku Pisarzy. A przy tym Głobaczow ma pretensję do Madajczyka i Torzeckiego za ich określenie prasy polskojęzycznej pod okupacją sowiecką jako „informacyjno-indoktrynującej”. Pisze: „Okazyjnie wypowiedaną (zwłaszcza ostatnimi czasy) opinię niektórych badaczy, jakoby 'były to gazety 'informacyjno-indoktrynujące'; które jedynie gorszyły polską publiczność i 'nie mogły wpłynąć na poprawę nastrojów', niewątpliwie należy uznać za grubą przesadę, jeżeli nie podzielać zdania, że na ową gorszącą indoktrynację składały się propaganda wartości powszechnie przyjętych w danym państwie oraz konsekwentne stwierdzenie niezbitą już wówczas rzeczywistości politycznej”. Jednym słowem, w doświadczeniu autora, normalna sytuacja. Niemniej, mimo tych różnych mankamentów, artykuł Głobaczowa jest, obok artykułu Madajczyka i Torzeckiego, najciekawszą pozycją na temat okresu lwowskiego drukowaną do 1987 roku w Polsce.

Gdyby chciał wskazać najbardziej wartościowe dokumenty wspomnieniowe, to należałoby wymienić trzy pozycje: Michała Borwicza „Inżynierowie dusz” (*Zeszyty Historyczne* nr 3, 1963), *Mój wiek* Aleksandra Wata i dotyczące Lwowa fragmenty wspomnień Wandy Wasilewskiej. Wszystkie trzy pozycje mają swoje wady: relacja Borwicza grzeszy nadmierną anegdotycznością, i szczegółowiej informuje o okresie wcześniejszym niż późniejszym; wspomnienia Wata cechuje typowa dla niego dramatyzacja, skłonność do hiperboli i dygresji, i interpolacja spostrzeżeń czy nawet faktów późniejszych; u Wasilewskiej występują wyraźne luki, niejasności chronologiczne i stronienie od pełnego naświetlenia niektórych faktów. Żadna z trzech relacji nie ma jednak owej nonszalanckiej wobec rzeczywistości cechującej wspomnienia Putramenta, i ich znaczenie dla zrozumienia epizodu Lwowa jest, na różne sposoby, podstawowe. Nie oznacza to, że inne relacje są bez wartości. Z wymienionych już autorów, Janusz Kowalewski w swojej książce *Droga powrotna* i w krótszych pozycjach drukowanych w londyńskich *Wiadomościach* i paryskiej *Kulturze*, mimo beletryzowania rozmów, dorzuca niejedną ciekawą informację i naświetlenie; cenne są wspomnienia Karoliny Lanckorońskiej drukowane w londyńskich *Wiadomościach* o sytuacji na Uniwersytecie Lwowskim — cenne i rzadkie, zważywszy liczbę

polskich pracowników naukowych i kaliber wielu z nich; Ola Watowa w rozmowach z Jackiem Trznadłem dorzuca szereg ciekawych informacji do wspomnień swojego męża; na swój sposób jest interesująca wersja aresztowania Broniewskiego pióra Leona Pasternaka. W ogóle biorąc pod uwagę milczenie o Lwowie wielu pisarzy, profesorów, dziennikarzy i działaczy, wręcz każda informacja ma swoją wartość.

Na osobną wzmiankę zasługują artykuły Władysława Żeleńskiego, bliskiego krewnego Boya, drukowane w latach 70-tych, głównie w *Wiadomościach*. Stanowią one swoisty proces rehabilitacyjny Boya, o tyle paradoksalny, że im więcej szczegółów autor wydobywał na światło dzienne, tym szersza okazywała się współpraca Boya.

Różne aspekty okresu lwowskiego znalazły także swoje odzwierciedlenie w powieściach i opowiadaniach. Należą tu przede wszystkim trzy powieści: Juliana Strykowskiego *Wielki strach*, Herminii Naglerowej *Sprawa Józefa Mosta* i Stefani Zahorskiej *Warszawa-Lwów 1939*, oraz spory fragment Marii Dąbrowskiej *Przygody myślącego człowieka* i parę opowiadań Adolfa Rudnickiego, z „Wielkim Stefanem Koneckim” na czele.

Rola Wandy Wasilewskiej, dla lat 1939-1944 zupełnie kluczowa, znalazła oświetlenie z przeciwnych punktów widzenia w dwóch pracach: Adama Ciołkosza (który był we Lwowie w okresie początkowym) *Wanda Wasilewska: Dwa szkice biograficzne* i E. Syzdek *Działalność Wandy Wasilewskiej w latach drugiej wojny światowej*.

Oczywiście podstawowe źródła do poznania epizodu lwowskiego, chociaż same w sobie ze zrozumiałych względów nie wystarczające, to *Czerwony Sztandar*, dziennik wychodzący we Lwowie od 5 października 1939 roku do 27 czerwca 1941 roku, miesięcznik *Nowe Widnokreگی*, którego pierwszy numer ukazał się na początku 1941 roku, jednorazowy *Almanach Literacki*, z kwietnia 1941 roku, oraz pisma w języku rosyjskim i ukraińskim, w tym *Literatura i Mystectwo, Wil'na Ukrajina, Prawda* i *Litieraturnaja Gazieta*.

Największym brakiem w dokumentacji okresu lwowskiego, jak i w ogóle we wszystkich tematach z zakresu stosunków polsko-sowieckich, jest nie tylko niedostępność archiwów sowieckich, ale i niezwykle selektywna polityka publikowania dokumentów. W podstawowym zbiorze dokumentów jakim jest wydawnictwo *Dokumenty i materiały po istorii sowiecko-polskich odnoszenij*, okres lwowski potraktowany jest z zupełnie nadzwyczajną skrupulatnością: po prostu nie istnieje. Nie ma nawet dekretów dotyczących upaństwowienia teatrów i lwowskiego uniwersytetu. Nie ma opisu akademii ku czci Mickiewicza z dnia 25 listopada 1940 w Lwowskim Państwowym Teatrze Opery i Baletu, kiedy

to na podium zasiadali, między innymi, sekretarz lwowskiego Obkomu, tow. Hryszczuk, przewodniczący lwowskiego oddziału Związku Pisarzy Sowieckich tow. Desniak, lwowski entuzjasta Związku Sowieckiego, akademik profesor Studyński, przewodniczący lwowskiego NKWD tow. Siergiejenko, polscy pisarze i profesorowie, a mianowicie: Tadeusz Boy-Zeleński, Jerzy Borejsza, Juliusz Kleiner, Julian Przyboś, Stanisław Łempicki, poeta ukraiński i tłumacz *Pana Tadeusza*, Maksym Rylskij, poeta żydowski i tłumacz *Pana Tadeusza* na jidisz, Dawid Koenigsberg, profesorowie z Moskwy i Leningradu — Błogoj i Czernobajew, przedstawiciel głównego zarządu Związku Pisarzy Sowieckich Lew Nikulin i inni. „Wśród burzy ołdasków

wybrano do prezydium honorowego Politiuro CK KWP(b) i UKP(b). Długie niemilkące owacje towarzyszyły odczytanemu w toku akademii telegramowi powitalnemu do towarzysza Stalina i do jego współbojownika, kierownika bolszewików Ukrainy, towarzysza N. S. Chruszczowa...

Referat o twórczości i życiu Mickiewicza wygłosił prof. T. Boy-Zeleński. Z napiętą uwagą śledziło audytorium słowa mówcy. Nakreślił on sylwetkę poety i rewolucjonisty. W dniu dzisiejszym — zakończył mówca — w 85 rocznicę zgonu Mickiewicza, niósł hołd jego pamięci wszystkie centra kulturalne Związku Radzieckiego, święcą tę rocznicę liczne składające ten Związek narody od Moskwy, Leningradu po Kijów, Wilno i Lwów. Wspólnie i zgodnie wszyscy oddają hołd największemu polskiemu poecie, jednemu z najszlachetniejszych obywateli ludzkości. I to ma swoją wymowę.

Pisarz moskiewski Lew Nikulin w płomiennych słowach przekazał pracującym Lwowa pozdrowienia od pisarzy rosyjskich, podkreślając ogromne znaczenie myśli rewolucyjnej Mickiewicza. „Nieśmiertelny jest Mickiewicz — nieśmiertelny jest naród polski” zakończył mówca wśród niemilkących oklasków.

Świetny tłumacz Mickiewicza, Maksym Rylski oddał hołd nieśmiertelnemu poecie, którego dzieło i imię jaśnieje wśród przodujących tytanów literatury jak Byron, Puszkina, Hugo. Oddając hołd panacei poety wzniosł Maksym Rylski okrzyk na cześć narodu polskiego i pobratymczego narodu ukraińskiego.

Prof. uniwersytetu moskiewskiego D. Błogoj powitał zebranych w imieniu nauki radzieckiej, po czym profesor literatur słowiańskich w instytucie leningradzkim Czernobajew wygłosił przemówienie w języku polskim, oświadczając że wszystkie narody Związku Radzieckiego widzą w Mickiewiczu wielkiego poeę, szermierza prawdy i wolności.

Poeta P. Antokolski z Moskwy uczcił pamięć Mickiewicza odczytaniem jego wiersza „Do przyjaciół Moskali” we własnym przekładzie.

Po krótkiej pauzie nastąpiła część artystyczna...

Już chociażby ze względu na samą niesamowitość konkocji, jakie powstawały w tym okresie dwudziestu dwóch miesięcy władzy sowieckiej we Lwowie, powinno się wydobyć te i podobne dokumenty na światło dzienne. A przecież epizod lwowski ma znaczenie dużo głębsze zarówno w dziedzinie stosunków polsko-sowieckich jak i w historii polskiej inteligencji twórczej, stanowi przy tym groźne *memento* dla intelektualistów nie tylko polskich.

Omawiając w artykule zatytułowanym „Gorzkie żale przyby-

wajcie" (*Kultura* nr 5, 1987) wydane w latach 1980-tych prace z „dziedziny rozrachunkowej”, Marii Danilewicz Zielińska postawiła postulat „ujawnienia całej prawdy” o procesie i „sprawcach, reżyserach i instygatorach” zniewolenia literatury polskiej w okresie powojennym.

Nie ma już dzisiaj kwestii, że w procesie tym znaczną rolę odegrała „lwowska szkoła inżynierii dusz” i tak zwany „aktyw lwowski”.

Zadaniem niniejszej pracy jest w pierwszym rzędzie ustalić, na tyle na ile to jest możliwe, fakty epizodu lwowskiego, przedstawić charakter i sytuację lwowskiego środowiska literackiego, scharakteryzować jego ewolucję i przebieg procesu sowietyzacji, wykazać korelację między sowiecką polityką zagraniczną a polityką kulturalną w odniesieniu do lwowskiej grupy pisarzy, i na podstawie tych danych i ustaleń, rozpatrzeć w sposób bardziej analityczny szereg aspektów lwowskiego doświadczenia, takich jak zastępcza rola literatury w dziedzinie politycznej i jej instrumentalizacja, przyczyny i motywy współpracy pisarzy polskich z władzą sowiecką, oraz znaczenie epizodu lwowskiego dla późniejszej próby sowietyzacji kultury polskiej w PRL i satelizacji Polski.

II. Główne fazy okresu lwowskiego i sprawa ojczyzny

... chodziło mi o problem, który jest wiecznie żywy
i wiecznie aktualny — o problem ojczyzny.

Wanda Wasilewska, na temat swej sztuki
„Opowieść o Bartoszu Głowackim”,
Czerwony Sztandar z 23 marca 1941.

W polityce sowieckiej wobec polskiego środowiska literackiego (a szerzej: intelektualnego) we Lwowie, i w ogóle na terenach wcielonych do ZSSR (od lata 1940 roku także — Litwa, a więc i Wilno), można wyodrębnić kilka faz. Ponieważ Lwów był ośrodkiem największym (przebywało tu kilkudziesięciu pisarzy polskich), i ponieważ działalność środowiska lwowskiego trwała nieprzerwanie od września 1939 roku do czerwca 1941 roku, wszelkie istotniejsze zmiany w polskiej polityce sowieckiej znajdowały swoje odzwierciedlenie i zastosowanie właśnie we Lwowie.

Środowisko literackie we Lwowie było jedynym zorganizowanym i działającym na zewnątrz ośrodkiem polskim na terenie ZSSR, który uzyskał w jakimś stopniu charakter reprezentacyjny nie tyle dla polskiej mniejszości w ZSSR (choć ewolucja jego roli szła w tym kierunku), a już bynajmniej nie dla polskiego narodu (choć nastąpiła pewna ewolucja także i w tym kierunku), ale dla *kwestii polskiej* w polityce sowieckiej. Tego charakteru nie

miało ani Wilno, gdzie od 1940 roku wychodziła *Prawda Wileńska* ani tym bardziej Mińsk, gdzie od października 1940 roku wychodził *Sztandar Wolności*. Pisma te powstały dużo później niż lwowski *Czerwony Sztandar*, były obsługiwane przez mniejsze środowiska, w których nie było postaci o znaczeniu Wandy Wasilewskiej, Jerzego Borejszy czy prestiżu Boya-Zeleńskiego. Ani środowisko wileńskie, ani tym bardziej mińskie nie uzyskały bezpośredniego kontaktu z Moskwą, nie stały się bazą wydawniczą i redakcyjną książek w języku polskim, czy poważniejszych czasopism, jak *Nowe Widnokreگی* i *Almanach Literacki*. A gdy mówimy o kontakcie z Moskwą, to nie chodzi tu tylko o kontakt z Heleną Usijewicz (córką Feliksa Kona) i Zofią Dzierżyńską, ale o kontakt na dużo wyższym szczeblu, który uzyskała Wanda Wasilewska, nie wyłączając samego Stalina (Stalin przyjął Wasilewską po raz pierwszy już pod koniec stycznia 1940 roku).

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że takiej funkcji reprezentacyjnej nie odgrywały grupki byłych kapepowców, gdyż nie miały one żadnego statusu organizacyjnego i jako takie nie występowały na zewnątrz (choć oczywiście niektórzy znaleźli miejsce przy nowej władzy), i że nie odgrywało podobnej roli polskie środowisko naukowe Uniwersytetu Lwowskiego i Politechniki (mimo pewnych w tym kierunku prób ze strony sowieckiej), oraz że rząd sowiecki nie utrzymywał żadnego oficjalnego kontaktu z rządem polskim, przebywającym najpierw we Francji, a później w Londynie, i żadnych kontaktów nieoficjalnych (z paroma wyjątkami), to stanie się zrozumiałe twierdzenie, że polityka sowiecka wobec środowiska literackiego we Lwowie była wyrazem i odbiciem polityki sowieckiej wobec sprawy polskiej w ogóle. Inaczej mówiąc, to co działo się ze środowiskiem literackim we Lwowie rzuca istotne światło na polską politykę Kremla od końca września 1939 do czerwca 1941 roku. Ta polityka z kolei była przede wszystkim funkcją stosunków sowiecko-niemieckich, i historia środowiska lwowskiego fakt ten w całej rozciągłości potwierdza i ilustruje, chociaż oczywiście wchodziła także w grę stalinowska polityka narodowościowa w ogóle, a wobec narodu ukraińskiego w szczególności. Można dodać, że dalszym interesującym aspektem historii lwowskiego środowiska literackiego jest właśnie wyrazistość, z jaką ilustruje ona zależność występującą w systemie sowieckim między polityką zagraniczną a polityką kulturalną, przede wszystkim w dziedzinie literatury.

Pierwsza faza polityki sowieckiej wobec środowiska literackiego we Lwowie obejmowała okres od końca września 1939 do stycznia 1940 roku. Była to faza z początku, ze zrozumiałych względów, nieco chaotyczna, rekonesansowa i stosunkowo „liberalna”, w której nowe władze starały się „pozyskać” przebywających we Lwowie pisarzy i lwowskie środowisko akademickie,

podczas gdy wznagały się aresztowania pracowników polskiej administracji i trwał proces wcielania zaanektowanych ziem do Związku Sowieckiego.

Faza druga obejmowała okres od stycznia do lipca 1940 roku. Była to faza masowego terrorku, którego sygnał stanowiło aresztowanie kilkunastu pisarzy polskich 24 stycznia, w ich liczbie Władysława Broniewskiego, Aleksandra Wata, Teodora Parnickiego i Herminii Naglerowej. 10 lutego miała miejsce pierwsza masowa deportacja ludności polskiej w głąb Związku Sowieckiego; dwie dalsze masowe wywózki nastąpiły w kwietniu i w czerwcu. W tym okresie miał również miejsce mord katyński. Dla polskiego środowiska literackiego, sterroryzowanego aresztowaniami pisarzy i wywózkami, był to okres *piekiewki*, czyli przeobrażenia znacznej jego części w narzędzie dyspozycyjne polityki sowieckiej.

Faza trzecia, której elementy zaczęły się kształtować nieco wcześniej, trwała od lipca 1940 do początków 1941 roku. Była to faza częściowego *otwarcia*, głównie za pośrednictwem literatury, sprawy polskiej, przy równoczesnym wzmożeniu i poszerzeniu procesu sowietyzacji. Swego rodzaju punktem kulminacyjnym tej fazy, który zwrócił uwagę czytelników niemieckich, były uroczyste i długotrwałe obchody 85-tej rocznicy śmierci Adama Mickiewicza, łącznie z akademią w Moskwie, w której ze Lwowa brała udział Wanda Wasilewska (26 listopada). Oddając hołd Mickiewiczowi, oficjalnie oddawano hołd genialnemu poecie nie tyle narodu polskiego, chociaż ten motyw występował także, co jednej z wielu narodowości wielkiej rodziny narodów ojczyzny radzieckiej. Przy okazji miała także miejsce próba przywłaszczenia Mickiewicza dla ideologii oficjalnej. „Zdobyliśmy swojego Mickiewicza”, głosił artykuł wstępny *Czerwonego Sztandaru* z 26 listopada. Innym, nie mniej ważnym z punktu widzenia procesu integracji, punktem kulminacyjnym było przyjęcie dwudziestu dwóch pisarzy polskich na członków Związku Pisarzy Sowieckich Ukrainy. Przyjęcie odbyło się w dniach 15 do 20 września, a więc w pierwszą rocznicę „wyzwolenia”. Pisarzami sowieckimi zostali: Jerzy Borejsza, Tadeusz Boy-Żeleński, Jan Brzoza, Leon Chwistek, Aleksander Dan, Zuzanna Ginczanka, Halina Górska, Mieczysław Jastrun, Juliusz Kleiner, Stanisław Jerzy Lec, Leon Pasternak, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, Władysław Raort, Adolf Rudnicki, Włodzimierz Słobodnik, Elżbieta Szemplińska, Lucjan Szenwald, Wanda Wasilewska, Stanisław Wasylewski, Adam Ważyk i Bruno Winawer (nieco później, po upomnieniu w *Czerwonym Sztandarze* przez Borejszę, przyjęty został także do Związku Jaku Kurek).

Faza czwarta obejmowała ostatnie miesiące przed uderzeniem Niemiec na Związek Sowiecki. Była ona pod wieloma względami

kontynuacją fazy trzeciej, ale z istotnymi nowymi akcentami, które ujawniły się na wiosnę 1941 roku. Te akcenty, to pewna liberalizacja polityki kulturalnej z otwarciem, bardzo jeszcze oględnym, sprawy przyszłości narodu polskiego, w odróżnieniu od sprawy narodowości polskiej w Związku Sowieckim. Sygnały tej zmiany w polityce sowieckiej wystąpiły już w drugiej połowie 1940 roku, szczególnie po wizycie Mołotowa w Berlinie w listopadzie, ale wówczas nie uzyskały jeszcze ani pełniejszego wyrazu ani odpowiedniej podbudowy. Podbudowę taką miało dać pismo *Nowe Widnokreگی*, którego pierwszy numer ukazał się w styczniu 1941 roku, ale które było przygotowywane już od kilku miesięcy. W tej fazie nastąpiło przyjęcie pewnej liczby byłych kapepowców do Komunistycznej Partii Ukrainy. Pierwszą, która została przyjęta, chociaż do Komunistycznej Partii Polski formalnie nie należała, była Wanda Wasilewska, o czym donosił *Czerwony Sztandar* z 17 stycznia 1941 roku.

Można przyjąć, że jednym z elementów jakie odegrały rolę w ewolucji polskiej polityki sowieckiej, prowadzącej do uznania potrzeby podniesienia sprawy polskiej na wyższy poziom ideowo-programowy (*Nowe Widnokreگی*), było fiasko rozmów prowadzonych na jesieni 1940 roku przez Berię i Mierkułowa z kilkoma polskimi generałami, przebywającymi w więzieniach sowieckich (Anders, Bóruta-Spiechowicz, Januszajtis, Przedziecki i in.), oraz bardzo nikłe rezultaty eksperymentu w tak zwanej „Willi Rozkoszy” pod Moskwą, gdzie zgromadzono kilkunastu oficerów polskich w celu wybadania ich gotowości służenia pod dowództwem sowieckim w razie wojny z Niemcami⁵.

Ewolucję polityki sowieckiej można skrótkowo ująć jako losy słowa „ojczyzna” podczas dwudziestu dwóch miesięcy okupacji sowieckiej. Jeżeli na jesieni 1939 roku słowo to mogło na terenie ZSSR funkcjonować w języku polskim jedynie jako synonim „ojczyzny radzieckiej” („Ojczyzna radziecka to moja ojczyzna” — nagłówek w *Czerwonym Sztandarze* z 1 stycznia 1941 roku), to pod koniec sowieckiej okupacji Lwowa zaczęto mu sporadycznie lub pośrednio przywracać jego znaczenie jako synonimu Polski, chociaż oczywiście wyłącznie w odniesieniu do ziemi ojczystej będącej pod okupacją niemiecką.

Łatwo to zilustrować na przykładzie drukowanych w lwowskim *Czerwonym Sztandarze* wierszy „polskich poetów radzieckich” oraz kilku przekładów poetów sowieckich. Zilustrowanie losów słowa „ojczyzna” na łamach *Czerwonego Sztandaru* ma i tę zaletę, że unaocznia bardzo wyraźnie, jak daleko zaszła współ-

5. Patrz: Jan Nowak, „Sprawa generała Berlinga”, *Zeszyty Historyczne* nr 38 z 1976 r. Obszerą relację o „Willi Rozkoszy” słożył m.in. rtm. N. Sarna-Lopianowski (maszynopis, w języku angielskim, w posiadaniu autora).

praca niektórych pisarzy we Lwowie z nowymi władzami. Dla wydobycia kontrastu, dwa pierwsze fragmenty tej małej antologii pochodzą z wierszy Władysława Broniewskiego, które w *Czerwonym Sztandarze* ukazać się nie mogły. Pierwszy z nich powstał we wrześniu, drugi prawdopodobnie na początku listopada 1939 roku; daty pod urywkami wierszy i przekładów są datami druku w *Czerwonym Sztandarze*.

Władysław Broniewski:

*Ze spuszczoną głową, powoli
idzie żołnierz z niemieckiej niewoli.*

*Dudnią drogi, ciągną obce wojska,
a nad nimi złota jesień polska.*

*Usiadł żołnierz pod brzozą u drogi,
opatruje obolałe nogi...*

*Jego dom podpalili Niemcy!
A on nie ma broni, on się nie mści.*

*Hej, ty brzozo, hej, ty brzozo-płaczko,
smutno szumisz nad jego tułaczką,*

*opłakujesz i armię rozbitą,
i złe losy, i Rzeczpospolitą...*

Władysław Broniewski:

*Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni,
o czym i jak mam śpiewać, gdy dom mój — ruiny i zgliszcza?
Jak czołg przetoczył się Wrzesień ziemi ojczystej przez piersi,
a moja dłoń jest bezbronna i bezbronna jest ziemia ojczysta.*

*Ja na tę ziemię powrócę, ja chcę ją zbawić, ocalić,
stamtąd chcę światu płonąć serca i pieśni pożarem,
chcę, żeby z gruzów Warszawy rósł żelbetonem socjalizm,
chcę, żeby Hejnał Mariacki szumił czerwonym sztandarem.*

*Dumna i piękna Warszawo, chwala twoim ruinom,
chcę zliczyć i ucałować twoje męczeńskie cegły.
Podaj mi dłoń, Białorusi, podaj mi dłoń, Ukraino,
wy mi dacie na drogie wasz sierp i młot niepodległy...*

Stanisław Jerzy Lec:

*Przywitałmy się dzisiaj spowici jedną ojczyznę —
już nie dzieli nóż Zbrucza chleba Ukrainy,
zawsze już tylko będzie w pamięci srebrną blizną,
ta rzeka pieśnią naszą przez historię płynąć.*

*Deszcz gwiazd czerwonych serca zmęczone użyłnł
i zorza flag codziennie w oczach dzieł nam budzi,
tu można sercem rosnąć, bo wiele jest miejsca w ojczyźnie,
jest kogo do piersi przycisnąć, bo dwieście milionów ludzi.*

„List przesłany poetą do Kijowa”, 21 listopada 1939.

Stanisław Jerzy Lec:

*Którą poeci wyspiewali
ojczyzna, co to od Kamczatki
po szynach pędzi aż po San,
którą jak mleka pełny dzban
podają dzieciom czule matki,
— to Stalin!*

*Którą wykuto stu kowali
w pieśni i w czasie i w przestrzeni,
w węglu i w miedzi, w srebrze wód,
ojczyzna, której żaden knut
już swoim świstem nie ocieni
— to Stalin!*

*Wschód słońca, co się w piecach pali,
który zastęga w przestach mostów,
co się zaciska w groźbie kul,
ojczyzna, jak jesienny ul,
w pożodze wojny cichy ostrów,
— to Stalin!*

*I który tby ucina fali
zapora, która rodzi iskrę,
motorów złota, ostra krew
i kłosów metaliczny śpiew
i sadów rozśpiewane listki,
— to Stalin!*

*I moja lira z nowej stali
i dumnie przemieniona muza,
obywateli jasny wzrok
i głos i oddech, myśl i krok
i wolność, która nas odurza.
— to Stalin!*

„Stalin”, 5 grudnia 1939
[tekst cytowany w całości].

Elżbieta Szemplińska:

*Dawno,
jeszcze byłam dzieckiem,
napisałam w szkolnym zeszycie,
na święto niepodległości:
„zamieniliśmy zabór niemiecki
na polski” — i siniał ze złości
i grzmiał nauczyciel.*

*A potem
kiedy knebel cenzury dławił gardła,
kiedy policja w nocy budziła kolbami... [...]
my
pełni dumy i wzgardy,
my
pełni wściekłości i rozpaczcy,
myśmy myśleli:
w naszej prawdziwej ojczyźnie — inaczej
— w ojczyźnie
gdzie sierp i młot.*

*Jak więc teraz mamy płakać po Warszawie?
Jak żałować kawiarni, kościołów, zamku?
kiedy dla nas
tamta Polska
to Polska burżujów i drani,
oficerów, obszarników, policjantów,
kiedy dla nas Warszawa,
to stolica krzywdy,
stolica terroru,
stolica bezprawia.
[...]*

„Prawdziwa ojczyzna”, 13 grudnia 1939.

Włodzimierz Sosiura (przekład Adama Ważyka):

*Od tajgi, od tundry siwej,
od gór i fabryk i sztolni,
gdzie co dzień śpiew pracy wolnej,
jak morze bije przyplywem,*

*z pociągów pędzących przez mosty,
i z miast i z okrętów i zewsząd,
przez kraj nasz radosny spieszą,
oddawane na Ciebie głosy.*

*Na Ciebie, Stalinie!
[...]*

*Niech się o Tobie pieśń rozkołysze,
jak wiosną szumią jabłonie w sadzie —
głosem Ojczyzny do Rady Najwyższej
gwiazdzisty nasz wejdz kandydacie!*

*Twoim imieniem gwiazdosiejnym w niebie
nawołują się lotnicy nawzajem —
na Ciebie, nasz miły, na Ciebie
Ojczyzna głos swój oddaje.*

„Na Ciebie”, 20 grudnia 1939.

Leon Pasternak:

*... A jednak podejmij kalendarz zdeptany,
część kart jego będziesz kiedyś sławił w pieśniach,
gdy padła granica, pękły więziń bramy,
w ten dzień wyzwolenia: siedemnasty września.*

*Patrz — wolna ziemia jednej szóstej świata
dymi kominami, szumi falą zbóż...
[...]*

„Wiersz noworoczny”, 1 stycznia 1940.

Stanisław Jerzy Lec:

*Obywatelu, oddaj głos!
Głos zwycięskiego pokolenia*

*I niech to będzie serca głos,
głos twojej krwi i głos sumienia!*

*Twój głos to los twojego kraju...
[...]*

19 marca 1940.

Lucjan Szenwald:

*Miasto, co było niegdyś płuc i serc wędzarnią,
Przedsiębiorstwem grabarzy, poczarną drukarnią,
Między walcami której żywe ludzkie ciało
Płaszczyło się i w suchą liczbę przemieniało —
To miasto się napelnia o błękitnym świetle
Falą wesołą, której na imię jest życie.*

*Idą do szkół uczniowie. Tramwaj dzwoniąc skręca.
Wiezie tramwaj do pracy ojca i młodzieńca.
[...]*

*Nasza praca, nasza fabryka, nie czyjaś,
Nasza ojczyzna, ludów naszych wieczna przyjaźń.
Niech pożytek przyniosą, ku szczęściu i sławie,
Nasze dzieła naszych rąk naszej wspólnej sprawie...*

Z „Poematu kolektywnego ku czci wyzwolenia”,
15 września 1940.

*... My już dziś bohaterów kochamy
i rozwiane w wichrze łwie grzywy,
i zaciśnięte zęby odważnych,
i jasny wzrok sprawiedliwych.
I Lenina kochamy dobrego,
i Stalina kochamy naszego...
I Czerwoną Armię kochamy,
armię, która śpiewa tak pięknie.
Naszej armii, jak ptak rozśpiewanej,
każdy wróg,
każdy burzuj się złąknie...*

„Kochajmy bohaterów”, 31 grudnia 1940.

Piotr Kożuch:

*... Kształty nadchodzących lat i wieków
tu powstają. W przestrzeni je wznosi*

*śmiała ręka wolnego człowieka
w Kraju Rad, w ojczyźnie wolności.*

*Pochód lat przyspieszają dni kroki.
Pracą sztandar rewolucji wyżej unieś!
Własnym ciałem, gdy trzeba, osłoń i okryj
Związek ludów wznoszących komunizm!*

„...” 1 stycznia 1941.

Paweł Tyczyna (przekład Zuzanny Ginczanki):

*... Gorąca wiara w słuszność, sprawiedliwej
najświętszej sprawy naszej! On — tak twardy —
on — dla kobiety, dla żony był tkliwy,
dla dzieci czuły uśmiech miał i żarty.*

*Rycerza oto obraz. My wchłoniliśmy
do serc go naszych...*

„Felix Dzierżyński”, 28 stycznia 1941.

Elżbieta Szemplińska:

*Uczyli w szkole o Wawelu,
o królach i bobaterach,
tradycjach, zabobonach, dziwach —
w te dni dopiero,
jak umierać,
nauczył
Kraków nas prawdziwy... [...]*

*Opamiętali się panowie!
Był Lwów, był Chorzów po Krakowie,
salwa po salwie,
tupot szarż —
i wieniec krwi
rósł w rzeki krwawe
przez Lwów i Kraków
po Warszawę,
Po Gdynię aż... [...]*

*Życie,
za które ginęli
w Hiszpanii, w Polsce, w Austrii —*

ta krew
spajała jak cement
roboczych solidarność.

Pamiętasz maj tego roku?... [...]
to lud wyszedł
w czerwieni
na miasto,
to lud śpiewał
swe pieśni barde.

W tych pieśniach,
skokiem meteoru
przebywszy przestrzeń długich lat,
widział lud wolną Ukrainę,
wolną Białoruś,
wolny świat... [...]

I widział wrzesień wyzwolenia,
Czerwoną Armię,
świtu blask...
I śpiewał,
śpiewał w uniesieniu
pięcioramiennych
wizję gwiazd.

„Wiosna 1936”, 10 czerwca 1941.

Elżbieta Szemplińska:

Na mityngu albo w Związku, moje imię
kiedy mówią Rosjanie, Ukraińcy,
to w mgłę ciepłej i ruchomej płynie —
całe życie,
łańcuch wspomnień,
dzieciństwo...

Po imieniu bowiem — „otczestwo”:
„Sigizmundowna”, „Zigmuntowna” —
i przyplływa, przyplływa przeszłość,
i mój ojciec umarły — przyplływa...

Kto mógł wiedzieć co szeptał w agonii?
I kto imię jego znalazł prócz mego serca?

*Chociaż wszystko co we mnie — po nim,
chociaż on to
szumi ogniem
w moich wierszach.*

*Chociaż on to, gdy się garbię nad stołem,
moją rękę prowadzi — jak przedtem —
jak w Warszawie,
zanim poszłam do szkoły —
kiedy uczył mnie
alfabetu.*

*Dzięki tobie, mowo ukraińska,
dzięki tobie, rosyjska mowo,
dzięki za to, że mój ojciec zmartwychwstał,
że mój ojciec jest ze mną znów.*

*Że jak pożar mnie całą oświecła,
że jak wichur — i wzburza, i równa.
że po słowie nieważnym:*

*Elżbieta,
idzie słowo najdroższe:
Zygmuntówna.*

„Otoczstwo”, 15 czerwca 1941.

Możność ewokowania ziemi ojczyściej jako pojęcia (przynajmniej jeszcze) nie tożsamego z ojczyzną radziecką, jaką pisarze polscy uzyskali w 1941, zresztą przede wszystkim na łamach *Nowych Widnokręgów*, pozostała jednak do końca obwarowana zastrzeżeniami, ograniczona. Sugerować wyzwolenie ziem polskich było można, ale pisać o odrodzeniu Polski jako niezależnego państwa wykraczało poza dozwolony zakres otwarcia kwestii polskiej. Na dziesięć dni przed atakiem niemieckim, Roman Werfel pisał w *Czerwonym Sztandarze*, w artykule zatytułowanym „Proletariat Polski w obronie Republik Radzieckich”, o tym jak „najbardziej uświadomiona część proletariatu Polski” już na przełomie 1918 i 1919 roku zabierała, za pośrednictwem Rad Delegatów Robotniczych, głos w obronie Republik Radzieckich, a następnie sprzeciwiała się wojnie „burżuazji polskiej” ze Związkiem Sowieckim. Werfel cytował oświadczenie Rady Delegatów Robotniczych Zagłębia Dąbrowskiego, które stwierdzało, że „nie można walczyć z socjalistycznym proletariatem republik sowieckich, nie walcząc jednocześnie z socjalistycznym proletariatem Polski”. Przypominał także inne hasło, z oświadczenia Rady Delegatów

Robotniczych Łodzi: „Hasłem naszym jest: cała władza w ręce Rad Delegatów Robotniczych w mieście i na wsi, braterski sojusz z rewolucyjnym proletariatem Rosji i Niemiec”. Wydzwięk artykułu, drukowanego w dwudziestą pierwszą rocznicę kontrofensywy sowieckiej przeciwko wojskom polskim, był oczywisty: pierwszym obowiązkiem klasy robotniczej i jej awangardy jakiegokolwiek narodu jest obrona Związku Sowieckiego.

W jednym z ostatnich numerów *Czerwonego Sztandaru*, z 25 czerwca, obok wiersza Majakowskiego w polskim przekładzie Szenwalda pt. „W takt bębna”, ukazał się artykuł Wandy Wasilewskiej pt. „Za wolność swoją⁶ i za wolność świata”. Autorka przemawiała w nim jako obywatel sowiecki:

Stoimy w walce. Front od Bałtyku po Morze Czarne... Od Bałtyku po Morze Czarne walczy żołnierz Czerwonej Armii w obronie swojej ojczyzny, na którą porwał się faszyzm. Nie chcieliśmy wojny, nie prowokowaliśmy wojny. Ale kiedy napadnięto nasze granice, stanęliśmy w obronie tego wszystkiego, co jest dla nas najdroższe, najbliższe... w obronie człowieczeństwa przeciw zdziczeniu, w obronie wolności przeciw uciskowi i niewoli, w obronie światła przeciw ciemności.

Żołnierz Czerwonej Armii, bohatersko walczący na froncie, walczy dziś za więcej, niż kiedykolwiek walczył jakikolwiek żołnierz świata. Za swój kraj — i za robotnika i chłopca tych wszystkich miast i wsi, które zmiądzzyła w Europie stopa najeźdźcy. Za wolność swoją i za wolność świata.

Wśród tych miast i wsi były także miasta i wsie polskie, na razie nie wymienione jako takie. Słowo „Polska” nie padło zresztą w artykule ani razu. Zastąpił je „naród polski”, wymieniony raz, na końcu paragrafu, gdzie była mowa o Francji, Belgii, Grecji i nawet o Kurpiach:

Postawa Armii Czerwonej, powaga chwili, dziejowa doniosłość rozstrzygnięć, które przychodzą nakłada na nasze barki, na każdego obywatela Związku Radzieckiego poważne obowiązki. W wojnie dzisiejszej bierze udział nie tylko armia, ale każdy człowiek... Każdy z nas musi czuć się żołnierzem...

W tej walce my musimy zwyciężyć. Walczymy o Związek Radziecki, za Związek Radziecki. Walczymy za narody Związku, walczymy za robotnika zgniecionej Francji i Belgii, skrwawionej Grecji, walczymy za chłopca, którego chaty spłonęły na Kurpiach, za robotnika, któremu dach nad głową rozbiły bomby w Warszawie, walczymy za wszystkie narody, walczymy za naród polski.

Polacy Lwowa, Polacy zamieszkujący ziemie Ukrainy i Białorusi, ani na sekundę nie wolno nam zapominać o tym, że walczy za nas żołnierz Armii Czerwonej...

Ostatni numer *Czerwonego Sztandaru* ukazał się 27 czerwca, w przeddzień zajęcia Lwowa przez wojska niemieckie. Zawierał między innymi, obok zdjęcia Wandy Wasilewskiej „wśród bojowników Czerwonej Armii”, dwa artykuły o charakterze odczw.

6. Ciekawą karierę zrobiło to słówko „swoją” w dziennikarstwie czerwono-sztandarowym.

Artykuł Haliny Górskiej, zatytułowany „Oczy wszystkich patrzą w naszą stronę”, ciągle nie wymieniał Polski, mówił natomiast zamiennie o ludach i narodach czekających na wyzwolenie od krwawych faszystowskich katów. Wśród wymienionych narodów, był także naród polski:

Wyciągnął do nas ramiona naród polski. Bohaterski żołnierz polski, opuszczony przez oficerów i przez klikę, która wymagała od narodu w imię obrony wielkich ofiar, by zdradzić go i opuścić haniebnie już w pierwszych dniach wojny, i bohaterski robotnik Warszawy, kładący się pokotem na zgłiszczach stolicy, i kryjący się po lasach partyzant polski, wyszeptali z nową nadzieją słowo — wolność!

Górska wyrażała przekonanie, że ta nadzieja zostanie spełniona, gdyż wojna, która się właśnie rozpoczęła, nie była wojną tylko obronną, była wojną wyzwoleniczą. Jako taka była to wojna sprawiedliwa, nie mająca nic wspólnego z „butą rozmiłowanymi w wojacze i brzękających szabelką junkrów, ani czyhających na cudze ziemie łupieżców, ani z butą płynącą z chęci zemsty i nienawiści do narodu niemieckiego — jeśli ktoś z nas pragnie się zemścić, to nie nad ludem niemieckim, ale nad jego i narodu polskiego katami” — i dlatego Górska była gotowa twierdzić, że hasło „za naszą i waszą wolność” stało się znowu dla Polaków aktualne.

Z artykułu przebijało założenie, że ludność polska niekoniecznie tak właśnie widzi charakter konfliktu, że trzeba ją przekonać, iż zaatakowany przez dotychczasowego sojusznika, a równocześnie ciemiężyciela i kata narodu polskiego, drugi jego kat i ciemiężyciel przekształcił się w rezultacie ataku w potencjalnego wyzwoliciela, nie mającego nic wspólnego z „czyhającymi na cudze ziemie łupieżcami”, chociaż to ostatnie zdanie odnosiło się, paradoksalnie, w porządku składniowym, co nie znaczy że logicznym, do Polaków we Lwowie i na Ukrainie Zachodniej, o których autorka sądziła, że przyjęli wiadomość o wybuchu wojny ... „spokojnie i z wiarą w zwycięstwo”. Jedna rzecz w tym retorycznym apelu do Polaków zdecydowanie odróżniała go od artykułu Wasilewskiej: Górskiej udało się nie utożsamić siebie zbyt wyraźnie ze Związkiem Sowieckim; pisała nie tyle jako sowiecka obywatelka, co jako Polka, gdy stwierdzała: „Jest to ta sama wiara, z którą szliśmy niegdyś wszędzie, gdzie lała się krew za wolność uciemiężonych narodów...”.

Drugi artykuł w ostatnim numerze *Czerwonego Sztandaru* zwracający się do Polaków był pióra Władysława Bieńkowskiego, i nosił tytuł „Jedna jest droga”. Autor przemawiał do Polaków jako obywatel sowiecki, który w wojnie widział wojnę nie tylko obronną, a więc noszącą dla narodu polskiego nadzieję wyzwolenia:

W wojnie, która wybuchła, walczyliśmy nie tylko o nietykalność naszej ojczyzny, walczyliśmy również o wolność narodów, jęczących pod straszliwym i bestialskim jarzmem hitleryzmu, walczyliśmy o ludzkość, o godność człowieka, poniewierzaną przez faszystowskich zbirów.

Dlatego, uważał Bieńkowski, przed narodem polskim była tylko jedna droga: „walka z wrogiem, który wykorzystawszy zdradę i nieudolność burżuazyjnego rządu polskiego, gniecie bu-tem jego⁷ ojczyznę, niszczy to wszystko, co było dziełem rąk polskiego robotnika, chłopca i inteligenta”.

Bieńkowski zapewniał czytelników, że „pierwsze dni dowiodły, że społeczeństwo polskie w kraju sowieckim rozumie swoje historyczne zadanie”. Twierdził, że Polacy „tłumnie pospiechali do szeregów Armii Czerwonej”, a „pozostali wzorowo wypełniają swoje bojowe zadania przy maszynach i warsztatach”. Aby jednak twierdzenie to nie okazało się gołosłowne, Bieńkowski wpłatał, przy okazji przykładów z historii, słowa o niepodległości Polski, chociaż nawet i w tym kontekście odpowiednio obwarowane:

Żyją w społeczeństwie polskim półtorawiekowe tradycje walki nie tylko o własną niepodległość, lecz i o wolność ludów całego świata. Poczynając od Kościuszki, walczącego o niepodległość Stanów Zjednoczonych, poprzez rewolucję francuską, rok 1848, Komunę Paryską — wszędzie walczyli Polacy o wyzwolenie uciemiężonych narodów, zawsze ci, którzy prawdziwie dążyli do niepodległości Polski, rozumieli, że może ona przyjść jedynie wraz z wolnością innych narodów świata.

Posunąwszy się aż tak daleko, autor ubezpieczył się jeszcze bardziej, nauczony w lwowskiej szkole sowieckiej nowomowy:

Dzisiaj ten fakt jest oczywistszy, niż kiedykolwiek. Polacy, Czesi, Francuzi i wszystkie narody Europy, torturowane przez hitleryzm, patrzą z ufnością na niezwykłą i bohaterską Armię Czerwoną, pewni, że niesie im ona wyzwolenie. Częścią zaś składową tej Armii są Polacy, żyjący w wielkiej spójnej nierozdzielnej węzłem stalinowskiej przyjaźni rodzinie narodów Związku Radzieckiego. Dzisiaj wspólna, wytężona, bohaterska walka, jutro wspólne zwycięstwo.

Z artykułu Bieńkowskiego miało wyraźnie wynikać, że autor nie należy do tych, którzy „nieprawdliwie” dążą do niepodległości Polski, wiążąc bowiem jej przyszłość ze zwycięstwem *swojej radzieckiej ojczyzny*.

Jeszcze nawet 27 czerwca 1941 roku!

Bogdan CZAYKOWSKI

7. „Jego” odnosiło się tu zapewne do narodu polskiego, a nie do „burżuazyjnego rządu polskiego”.

Oko Opatrzności

Stawiłem się na wezwanie w Kwesturze 7 stycznia 1971 punktualnie o dwunastej w południe.

— Komisarz do zleceń specjalnych Palermitano, Antonio Palermitano, bardzo mi miło. Niech pan siada, zaraz każę przynieść kawę. Widzę na pana twarzy niepokój. Bezpodstawny, proszę mi wierzyć. Jest pan naturalnie, jako emigrant polityczny, pod dyskretną obserwacją. Ale nie mamy panu nic do zarzucenia, nie zauważyliśmy w pana zachowaniu nic podejrzanego. Może z wyjątkiem zażyłych stosunków z Malcolmem Meltonem. I w jego sprawie został pan tu wezwany.

— Istnieje sprawa Malcolma Meltona?

— Istnieje, istnieje i zaostrzyła się wczoraj o północy. W momencie, gdy przestał istnieć sam Melton. Wsiadł o północy do zaparkowanego przed jego domem londyńskim samochodu, zapalił motor i przestał istnieć. Sądząc z depechy Scotland Yardu, bardzo nagle resztki jego ciała uda się zgarnąć do trumny. W naszym języku policyjnym nazywa się to integralną dezintegracją samochodu i kierowcy w zamachu, na skutek eksplozji potężnego ładunku wybuchowego. Albo prawie integralną, procent dezintegracji ustali specjalna komisja. Widzę na pana twarzy przerażenie. Uzasadnione przerażenie, aż nadto uzasadnione, w końcu stracił pan kogoś bliskiego, dobrego znajomego, a może nawet przyjaciela. Nasi angielscy koledzy proszą o maksymalnie dokładny raport na temat lat spędzonych przez Meltona w Neapolu. Wielu przecież lat, nieprawdaż? Posiadał piękną willę na Posillipo, czuł się tu jak u siebie w domu, rzadko i niechętnie jeździł do Londynu. Po co zresztą miał jeździć? Ród Meltonów wygasł, Malcolm był jedynym dziedzicem Sir Harolda. Wrócimy jeszcze do tego wszystkiego, zachowajmy teraz pewien porządek. Figuruje pan

na pierwszym miejscu sporządzonej naprędce listy osób, z którymi Malcolm utrzymywał żywszy kontakt. Czysto towarzyski czy nie, to się okaże w trakcie naszej rozmowy. Rozmowy, podkreślam, niech pan sobie z głowy wybije Bóg wie jakie obawy i domysły. Rozumiem, a raczej dowiaduję się z meldunku naszego agenta, że pan odprowadził miesiąc temu Malcolma na lotnisko. Ten nagły jego wyjazd, nagły i jakby bezpowrotny! Sprzedał wilę na Posillipo, w pośpiechu a więc i zbyt tanio, wysłał do Londynu kilka skrzyń z pamiątkami rodzinnymi, spakował walizki i *Good-bye to Italy*. Jak ten angielski poeta (nie pamiętam jego nazwiska), który w poemaciku pod takim właśnie tytułem pożegnał na zawsze Ischię po przykrym doświadczeniu ze swoim młodocianym przyjacielem.

— Proszę wybaczyć, panie komisarzu, ale ośmielam się zwrócić uwagę, że daleko w ten sposób nie zajedziemy. Pana rodacy ostrzegają w takich wypadkach: nie kłaść za dużo mięsa na ogień.

— Ma pan rację, stokrotną rację, *bravo, bravissimo!* Powiem nawet, że mnie pan zawstydził. Sam wzywam do zachowania porządku, a zaczynam od kołowania. Skoro jednak jesteście już przy tym jego nagłym wyjeździe, skoro odprowadził go pan na lotnisko, musiał pan chyba usłyszeć od niego coś, niecoś o przyczynach, lub przynajmniej je odgadywać.

— Wspomniał pan, panie komisarzu, o pożegnalnym poemaciku poety angielskiego Audena, robiąc dość niedwuznaczną aluzję do jego upodobań seksualnych. Mnie przychodzi na myśl nowela powieściopisarza angielskiego Conrada, neapolitańska nowela, napisana na początku stulecia i zatytułowana *Il Conte*. Nie zna jej pan? Tak przypuszczałem. Otóż dziś ta nowela brzmi prawie śmiesznie, jest historią cudzoziemskiego arystokraty, który od lat spędza dla zdrowia większą część roku w Neapolu, i porzuca naraz ulubione miasto na zawsze, gdy staje się ofiarą *scippo* w *Villa Comunale*. Przyzna pan, że to dzisiaj skłania do rozbawionego uśmiechu: tysiące cudzoziemców musiałyby zaprzysiąc, że nigdy więcej nie postawią nogi w Neapolu, gdyby *scippo* miało być dostatecznym do tego powodem. Ale nowela Conrada jest subtelniejsza, niż się to obecnie może wydawać. Jej bohater czuje się ni stąd ni zowąd zagrożony w poczuciu własnej godności. Ba, więcej — czuje się śmiertelnie zraniony i ucieka, dosłownie ucieka, po tym co się stało. Miałem wrazenie, odprowadzając Malcolma na lotnisko, że żegnam człowieka również śmiertelnie zranionego i uciekającego z Neapolu. Natomiast trudno byłoby mi wyjaśnić z pewną precyzją i dbałością o szczegóły, co mianowicie tak śmiertelnie go zraniło.

— O precyzję i szczegóły zadbamy później wspólnymi siłami. Wtrącę tu tylko, że nie lekceważyłbym tak jak pan przygody tego angielskiego poety. W każdym razie przestańmy doprawdy

brodzić po omacku, cofnijmy się wstecz, do punktu wyjścia, i posuwamy się naprzód krok po kroku. Inaczej nie potrafię nigdy spełnić prośby naszych kolegów ze Scotland Yardu. Kiedy i w jakich okolicznościach poznał pan Malcolm Meltona?

— Podczas wojny. Ścigaliśmy nad Adriatykiem cofających się szybko Niemców. Byłem radiooperatorem w polskim dywizjonie artylerii. Skuteczny pościg wymagał obserwatora lotniczego. Był nim przydzielony do nas lotnik angielski, porucznik Malcolm Melton. W małym, jednosobowym i trochę zdezelowanym samolocie, który nazywaliśmy „kaczką”, z dość niskiego pułapu, który dawał maksimum widoczności, pomagał nam wstrzeliwać się możliwie dokładnie w ruchome cele nieprzyjacielskie. Do mnie, znającego angielski, należało odbieranie jego radiowych komend i poprawek, oraz przekazywanie ich na stanowiska ogniowe. Malcolm był mistrzem w tropieniu Niemców, ale ryzykował dużo krążąc tak nisko przed zmierzchem nad ich pozycjami w ciągłym ruchu, wywijając się obstrzałowi niemieckiemu. Uprawiał niebezpieczną grę hazardową i uprawiał ją ze smakiem, hazard był tym, czego szukał. Jak wielu młodych i dobrze urodzonych Anglików, widział zdaje się w wojnie niepowtarzalną szansę sportową, swoiste safari. Nasze współdziałanie przynosiło doskonałe wyniki, „kaczka” stała się ulubieńcem dywizjonu. Codziennie wieczorem, po skończonej akcji, Malcolm przyjeżdżał do nas łazikiem ze swego lądowiska. Wysoki, przystojny, odrobinę chłopcący, miał niezgrabny chód platfusa, który przysporzył mu wśród naszych żołnierzy przydomek „kaczora”. Dużo i dobrze pił. Widocznie jednak przesolił w dniu awansu na kapitana, bo wracając nocą z kasyna nadział się w swoim łaziku na wóz transportowy. Wyszedł z wypadku ze złamaną w paru miejscach lewą nogą. Ale czy się aby zanadto nie rozwodzę?

— Mógłby pan istotnie streszczać się trochę w tym stadium.

— Zrobię to, zwłaszcza że resztę znam tylko ze słyszenia. Po operacji w szpitalu polowym we Włoszech przewieziono go do Anglii na dalsze leczenie, które nie dało spodziewanych rezultatów. Utykał mocno, nie mógł się obyć bez laski. I tak już miało pozostać na zawsze. Straciłem go z oczu. Z ostatniej zaszywanej wtedy wiadomości wynikało, że z końcem wojny przyjął propozycję służby zawodowej w wojsku i pracował w biurach sztabowych. W dwa lata po wojnie Sir Harold, podczas pierwszej wojny radca ambasady brytyjskiej w Rzymie, wrócił do Neapolu do swojej willi na Posillipo. W tym czasie ja wyjechałem z Włoch na demobilizację do Anglii.

— Próbował pan odszukać Malcolm w Londynie?

— Próbowalem. Odpowiedziano mi przez telefon, że wyjechał służbowo do Stanów. Zostawiłem mój adres i numer tele-

fonu. Nie odezwał się, co uznałem za niechęć do odnowienia wojennej znajomości. I dałem spokój.

— Skorzystajmy ze sposobności i pozwólmy sobie na dygresję. Napomknął pan o ojcu Malcolm. Kazałem wygrzebać w archiwum jego *dossier*, dość pękate, zważywszy że tyle lat mieszkał w Neapolu. Ale przerzuciłem je tylko pobieżnie przed pana przyjściem. Chętnie usłyszę od pana słówko o Sir Haroldzie.

— Nie zetknąłem się z nim nigdy osobiście. Umarł w roku 1958. Ja osiedliłem się na stałe w Neapolu w roku 1955, Malcolm w stopniu pułkownika został na własne życzenie odkomenderowany do NATO w roku 1957. Odnaleźliśmy się już po śmierci jego ojca. To pewne, że nie nosił go w sercu, jakkolwiek odziedziczył po nim znaczny majątek w Anglii i willę na Posillipo. Podejrzewam, że obciążał go winą za śmierć matki. Wie pan oczywiście, panie komisarzu, jak to przeważnie było z bogatymi Anglikami, osiedlającymi się w Neapolu na początku stulecia i jeszcze między wojnami. Bardziej niż o klimat i uroki miasta chodziło o łatwość w zdobywaniu chłopców, bez obaw o obmowę, dyskryminacje i szantaże. Neapol był rajem dla homoseksualistów. Malcolm urodził się w czasie pierwszej wojny w Rzymie. Zaraz po pierwszej wojnie Sir Harold wystąpił ze służby dyplomatycznej, odesłał żonę z dzieckiem do Anglii, a sam kupił willę na Posillipo i ugrzązł w Neapolu. W raj dla homoseksualistów. Żona przyjechała do niego w latach dwudziestych bez dziecka, które oddano do szkół w Anglii. O ile mi wiadomo, nie zostało nigdy wyjaśnione, czy utonęła po pijanemu w kąpieli pod skałami u stóp willi, czy też popełniła samobójstwo.

— Zostało, zostało. Popełniła samobójstwo. Ale sprawę zatuszowano z uwagi na pozycję Sir Harolda. W każdym razie, jak rozumiem, Malcolm zjawił się po raz pierwszy we Włoszech (nie licząc przyjścia na świat) w mundurze oficera. Do wybuchu wojny studiował w Oxfordzie i nie palił się do odwiedzenia ojca, który go rzecz jasna hojną ręką utrzymywał.

— Tak. Nie zabrał nawet wtedy, za pierwszym razem, do willi w uwolnionym już Neapolu. Była zresztą pusta, bo Sir Harold przesiedział ostatnią wojnę za biurkiem w Londynie, w jakimś ministerstwie. Nawiasem mówiąc, nie jestem wcale pewien czy palił się do wizyty syna jego ojciec, po niejasnej śmierci żony i w ciepłe „rajskich” promieni neapolitańskich. Mniejsza jednak o to. Kiedy Malcolm poprosił o odkomenderowanie do NATO w Neapolu, jego ojciec dogorywał po ciężkim zawale. Mieszkali razem zaledwie sześć miesięcy w *Villa Melton*. Wkrótce po zgonie Sir Harolda jego syn podał się do dymisji, zrzucił mundur pułkownika, wszedł w posiadanie willi i w młodym stosunkowo wieku przedzierzgnął się w emeryta-rezydenta cudzoziemskiego nad waszą cudowną Zatoką, pod waszym łagodnym, błogosławionym

niebem. Wiedział od dość dawna o tym że mieszkam w Neapolu od mojej kanadyjskiej przyjaciółki zatrudnionej w NATO, ale dopiero w maju 1959 dostałem od niego serdeczny list z zaproszeniem na kolację do *Villa Melton*. Odtąd bywałem tam często, co najmniej raz w miesiącu, w ostatnim 1970 roku o wiele częściej.

— I odtąd zaczyna się nasza właściwa rozmowa, właściwa w tym sensie, że zamieniam się cały w słuch. Jeżeli mam w czymś dopomóc naszym kolegom ze Scotland Yardu, to przede wszystkim dzięki temu, co mi pan opowie o swoich neapolitańskich związkach z Malcolmem. Zwalniam pana z przestrzegania reguł relacji maksymalnie skondensowanej. Wszystko może się okazać ważne, nawet to co mógłby pan odruchowo poczytywać za błahe.

— Z pierwszej wizyty wyniosłem dziwne, przygnębiające nieco wrażenie. Ma się rozumieć pan zna, panie komisarzu, willę na Posillipo. Ale czy był pan tam kiedykolwiek wieczorem? Półkilometrowa droga w dół od bramy ulicznej do willi nad samym morzem, na występie skalnym, prowadząca przez stary i wspaniały park, między wiekowymi drzewami, w zupełnych ciemnościach. Towarzyszył mi z latarką starszawy, milczący stróż, zamieszkały w stróżówce obok bramy. Doprowadził mnie do drzwi nad wąskim podjazdem ze schodami, zadzwonił i natychmiast bez słowa zabrał się do powrotu. Dostyc długo czekałem. Wreszcie otworzył mi sam Malcolm. Miał wówczas czterdzieści trzy - czterdzieści cztery lata, wyglądał na więcej. Włosy przyprószone obficie siwizną, nadmierna tusza z obrzękiem na twarzy, leniwe ruchy. Kuśtykał i opierał się ciężko na lasce. Wnętrze willi przypominało magazyn staroci, było obrazem zapuszczenia i celowego jakby zaniedbania. Jedliśmy kolację w jego pokoju, podawała żona stróża, zajmująca się gospodarstwem. Okno na całą ścianę wychodziło na taras i Zatokę. Pod kominkiem w ścianie bibliotecznej drzemał wielki, spasiony doberman. Na szerokim, wymiętoszonym tapczanie wałały się książki. W rogu stał fotel pod lampą z abażurem, obok niego stolik pełen butelek alkoholu, za nim wisiał na ścianie duży sztych. Do tego sztychu jeszcze wróć, gdyż był centralnym punktem mojej pierwszej wizyty. Powoli rozklejał mi się przy stole kolacyjnym. Malcolm pił dużo, z początku mówił mało i póśłówkami, potem stał się rozmowniejszy. Od wspomnień wojennych do wzajemnych, powściągliwych raczej wyznań o późniejszych latach. Miał wojska po uszy, polubił Neapol, postanowił pożyć tutaj spokojnie do śmierci. Opanował całkiem niezłe włoski, chociaż wolał mówić ze mną po angielsku. W Oxfordzie liznał niegdyś trochę archeologii, zamierzał teraz wrócić do niej po amatorsku. Nawiązał już nawet kontakt z miejscowymi archeologami, obiecali włączać go niekiedy do grup wykopaliskowych. A poza tym? Słońce, morze, wino, lektury.

Czy to nie wystarczy do szczęścia? Po jego twarzy przemknął grymas zmęczenia i nudy. Przed pożegnaniem podszedłem do sztychu w rogu pokoju. Stał za mną i objaśnił, że jego ojciec wygrzebał ten stary, cenny podobno sztych w antykwariacie neapolitańskim i kupił go za grosze. „Masoński sztych”, dodał zaśmiawszy się krótko. U góry rozwarły cyrkiel, w dole kielnia, po środku między nimi ogromne oko. *Occhio della Provvidenza*, Oko Opatrzności, głosił stylizowany napis pod spodem. Czy była to zręczna sztuczka rysunkowa autora, czy gra refleksów świetlnych lampy i księżycy za okienną szybą, dość że Oko Opatrzności zmieniało ciągle swój wyraz zależnie od kąta widzenia. Surowe i groźne; złe i gniewne; pogodne i dobrotliwe; senne i obojętne; zgaszone i martwe. *Una vera diavoleria*, powiedział po włosku Malcolm i znowu zaśmiał się krótko. W jego śmiechu dźwięknęła głucho osobliwa, nieuchwytna nuta.

— Jest druga. Trzeba coś zjeść i odsapnąć chwilkę po obiedzie. Będę pana oczekiwał o piątej.



— Chciałbym poprzedzić dalszy ciąg naszej rozmowy dwiema radami. Po pierwsze. Mogę być w błędzie, ale wyczułem w pana odpowiedziach pewną wstrzemięźliwość i ostrożność. Jeśli wyczułem trafnie, radzę panu pozbyć się tej postawy. Nie pomoże pan już ani nie zaszkodzi zamordowanemu przyjacielowi, natomiast cokolwiek zabrzmi w pana opowiadaniu tonem wymijającym, rzuci niepotrzebnie cień na pana. Niepotrzebnie i bez żadnych podstaw, co do tego — powtarzam — nie mam wątpliwości. Następną radą jest trochę na wyrost, wyprzedza to co mi pan dalej zechce opowiedzieć. Czytałem gdzieś że wy, wschodni Europejczycy, macie skłonność do budowania hipotez z wątych na ogół przesłanek, do węszenia wszędzie spisków i podskórnych machinacji, do tego co my Włosi nazywamy „zakulisologią”, do rozcinania każdej rzeczy ostrym czy tępym nożem na jej czarne i białe składniki. Zdziwi pana zapewne moja uwaga, wyda się panu niezbyt stosowna w ustach komisarza policji, ale fundamentem naszego myślenia i naszego życia jest *pasticcio*. Czyli splot lub stop tak wielu różnych i tak przemieszanych wzajemnie elementów, że ich rozdzielanie byłoby szaleństwem, zadaniem absolutnie niewykonalnym. I szkodliwym. Tak, tak, w jakimś sensie szkodliwym. *Pasticcio* jest naszym codziennym pokarmem, żywimy się nim jak potrawą o tej samej nazwie, potrawą do której wrzuca się wszystko co pod ręką, i w sumie — śmiem twierdzić — nie najgorzej na tym wychodzimy. Więc radzę panu i bardzo o to proszę: żadnych konstrukcji hipotetycznych, żadnych supozycji i „zakulisów”, żadnego czytania mię-

dzy wierszami. Tylko fakty, same fakty. Dlaczego z góry o tym mówię? Dlatego, że nazwał pan masońskie Oko Opatrzności „centralnym punktem” swojej pierwszej wizyty u Malcolma. Nie jest dla nas tajemnicą, że Sir Harold był członkiem neapolitańskiej loży masońskiej *Magna Grecia* aż do rozwiązania masonerii przez Mussoliniego w roku 1925. Że potem należał prawdopodobnie do jej nielegalnych, sekretnych i „uśpionych” szczytków. Że po wojnie i po upadku faszyzmu, gdy loża doczekała się legalnej restytucji, odgrywał w niej ważną rolę z godnością *Maestro Venerabile*. I że jego syn został do niej zaproszony i wprowadzony po śmierci ojca. Nie jest to tajemnicą dla nikogo, kto ma czas i ochotę interesować się egzystencją *Magna Grecia*, która zresztą co ileś lat przypomina o sobie pięknymi plakatami na murach Neapolu. A zatem nie przywiązywałbym większej wagi do tego składnika *pasticcio* Malcolma Meltona.

— Przyjmuję bez zastrzeżeń pierwszą radę, panie komisarzu. W czasie przerwy obiadowej, ochłonawszy z szoku wiadomości o londyńskim zamachu, sam doszedłem do podobnego wniosku. Usłyszy pan ode mnie wszystko, co wiem. Będę się za to spierał o sensowność drugiej rady. Pozwalam sobie zauważyć, że na wstępie naszej rozmowy zachęcił mnie pan także do *odgadywania* przyczyn nagłego wyjazdu Malcolma z Neapolu. Zapamiętałem to sobie, bo zachęta była w moim położeniu słuszna. A jakież jest moje położenie? Nie byłem spowiednikiem Malcolma, nie przebywałem z nim dniem i nocą, nie towarzyszyłem mu w podróżach, nie wścibiałem nosa do jego spraw. Byłem najpierw jego odnalezionym po latach towarzyszem broni, później jego przyjacielem, któremu dość ufał i bywało — choć rzadko i skąpo — że się zwierzał, lecz to za mało dla upragnionych przez pana „samych faktów”. Jestem skazany, panie komisarzu, na domysły, hipotezy i supozycje, albo pan się z tym pogodzi, albo lepiej zamknąć od razu aparat do nagrywania i ciąg dalszy naszej rozmowy przenieść do kawiarni. Mieszkam w tym kraju piętnaście lat, dość by wiedzieć co to takiego włoskie *pasticcio*. Nie przeczę, że posiada pewne zalety i daje pewne korzyści. Sądzę jednak, że pewne zalety posiada też zgubna wschodnioeuropejska skłonność, o której pan był łaskaw wspomnieć.

— Przykro mi, jeżeli pana bezwiednie dotknąłem. Dobrze, niech pan mówi co panu pamiętać i wyobraźnia lub tak zwana dociekliwość dyktują.

— Rzecz prosta, nie będę opowiadał o wszystkich naszych spotkaniach w ciągu następnych paru lat. Gdy przychodziłem za dnia i pogoda była ładna, kąpaliśmy się razem i jeździli od czasu jego motorówką na Procidę i Ischię, odwiedziny wieczorne wypełnione były libacjami, gadaniną i słuchaniem płyt do późnej nocy. Za dnia przekonałem się wielokrotnie, że ciągłe zmiany

w Oku Opatrzności nie były spowodowane grą światła przy zapalanej lampie i odbłasku księżyca; zmieniało bez ustanku swój wyraz, w zależności od patrzącego, również w stońcu. Malcolm odnosił się do sztychu z odcieniem jak gdyby zabobonnego lęku, unikał spoglądania w jego stronę i bodaj za lekką niedyskrecję uważał moje częste przed nim wystawanie w rogu pokoju. Poza tym, w czym pan ma rację, nie robił tajemnicy ze swojej przynależności do loży masońskiej. Przeciwnie, o *Magna Grecia* mówił swobodnie i chętnie. Trzeba panu wiedzieć, że nie miał w ogóle określonych, zdecydowanych poglądów, raczej fobie urozmaicane kapryśnie ocenami przychylnymi. Był angielskim konserwatystą, dworując sobie równocześnie — i to jak! — z konserwatyzmu. Czuł antypatię do komunistów i rodzimych labourzystów, przyznając im słusność „w niektórych sprawach”. Był liberałem z ciągotami do „rządów silnej ręki”. Nie znosił i wyśmiewał księży, będąc praktykującym katolikiem (powiedzą panu coś o tym w kościele Świętej Klary, gdzie często spowiadał się i przystępował do komunii). Jego ulubioną definicją świata w którym żyjemy był *madhouse*, dom wariatów. Kto wie, czy właśnie loża masońska w Neapolu nie była dla niego miniaturową kwintesencją powszechnego *madhouse*. Jej kościec stanowili przedstawiciele bogatej burżuazji i wolnych zawodów, wysocy urzędnicy, sędziowie, oficerowie wojska i karabinierów w stanie spoczynku, właściciele ziemscy i przemysłowcy, mniej lub więcej zubożali arystokraci. Ale nie brakło w niej działaczy komunistycznych o znanych nazwiskach, a z Rzymu przyjeżdżał czasem prałat w świeckim garniturze z krzyżykiem w klapie, niepomny widąc klątwy rzuconej na masonerię przez Kościół za jej antyklerykalizm i programową rzekomo wrogość wobec religii. Malcolm cytował z żartobliwym upodobaniem określenie masonerii ze Statutów Neapolitańskich z 1750 roku jako „związku obywateli najbardziej zasłużonych dla religii i państwa, złączonych dla dobra ludzkości najściślejszymi więzami cnotliwej przyjaźni w jednej harmonijnej rodzinie”. Istotna dla niego była harmonijna rodzina, włoska miara wszechrzeczy, włoski peppek wszechświata. Jako cudzoziemiec czuł się w niej pod dobrą opieką, podobnie chyba jak jego ojciec. Loży nadano też charakter swoistego klubu, po zebraniach sprowadzano do jej siedziby bufet, grano w brydża i w szachy. Jedno zastanawiało mnie wtedy u Malcolma: nigdy słówkiem nie pisał o swoim życiu sentymentalnym, nawet rozgrzany alkoholem krzywił się ze wstrętem na byle wzmiankę o kobietach. Poszedł w ślady Sir Harolda? Jeśli tak, to w Neapolu nie było potrzeby ukrywania tego.

— Aż pojawił się na horyzoncie Tommaso Patano. Kiedy dokładnie?

— Wiosną 1964 Malcolm wyjechał z ekipą archeologów na

trzy miesiące w okolicy Agrigentu. Wrócił w maju opalony, odmłodzony, tryskający energią, w towarzystwie dwudziestopięcioletniego i bardzo urodziwego Sycylijczyka, którego nazywał Tom albo Tommy. W willi na Posillipo rozpoczął się nowy rozdział. Przybysz z Sycylii ujął w ręce ster nadbutwiałego okrętu. Odprawiono stróża i jego żonę, urządzono generalne porządki w zagranych i porośniętych brudem pokojach, Tom zabrał się do zdziwiającego ogrodu. *Villa Melton* odżyła, zapanowała w niej idylla. Ach, panie komisarzu, jak trudno opisać tę parę kochających się męczczyzn, nie wpadając w przesadę i może śmieszność! Więc poprzestane na tym okrzyku bezradności. Tom był chłopakiem dość prymitywnym, prawie bez wykształcenia, wpatrzonym w Malcolma jak w święty obraz. Ilekroć wyjeżdżał do rodziny na Sycylię, do Castelvtrano, Malcolm pogrążał się w nudzie, nasyczonej nerwową gorączką i uśmierzanej alkoholem.

— Tommaso Patano nie pochodził z Castelvtrano i nie miał tam żadnej rodziny. Pochodził z Palermo.

— Jest pan tego pewien?

— Tak, jestem tego pewien. Sprawdziliśmy to, gdy zawitał do Neapolu. Ponieważ sam jestem Sycylijczykiem, Sycylijczycy osiedlający się w Neapolu są potrosze w mojej gestii. Zwłaszcza w wypadkach specjalnych.

— Patano był wypadkiem specjalnym? Nie nalegam na szczegóły, i tak przecież nie odśloni ich pan przede mną. A szkoda, bo mogłyby sporo wyjaśnić.

— Mimo licencji, jaką panu chcąc nie chcąc dałem, licencji na wyobrażnię i tak zwaną docieklivość, wyjaśnianie należy do nas. I do naszych kolegów ze Scotland Yardu na podstawie przedstawionych przez nas materiałów. Do pana należy opowiadanie. Szczerze mówiąc, żałuję teraz że sprostowałem kłamstewko męża czy żony Malcolma Meltona.

— Proszę nie kpić, panie komisarzu. Proszę mi wierzyć, że byli doprawdy szczęśliwym małżeństwem. Malcolm wyznał mi raz, pod nieobecność Toma, że nosi się z zamiarem zapisania mu w testamencie willi na Posillipo. Jeden tylko drobiazg zakłócał idyllę, dla pana może niezbyt zaskakujący. Patano bał się okropnie Oka Opatrzności, było dla niego wizerunkiem *malocchio*, albo które rzuca zły urok. Błagał Malcolma o spalenie sztychu, albo przynajmniej jego przeniesienie do niezamieszkałej wieży na dachu willi. Malcolm nie chciał o tym słyszeć. On, tak zawsze czuły dla swego młodego towarzysza życia, stawał się twardy, nieustępliwy, bił pięścią w stół i stukał łaską w podłogę krzycząc „nie, nie, nie”. Są to, wie pan, zagadkowe kryjówki ludzkiej duszy. Mówiłem już że odnosił się do masonerii z domieszką ironii, czyli nie mógł wchodzić w grę respekt dla jej znaku. Wspomniałem że nie nosił ojca w sercu, czyli odpadało również

przywiązanie do pamiątki po nim. A zatem co? Często zachodziłem w głowę co. Sekret tłumaczyć mogła jedyna krucha pozostała. Sir Harold znalazł i kupił sztych na krótko przed tragiczną śmiercią żony. Czyżby to właśnie przykuwało Malcolma do Oka Opatrzności, napełniając go zarazem — jak się wcześniej wyraziłem — zabobonnym lękiem? Czyżby, nie pamiętając matki, lub pamiętając ją bardzo słabo, widział w ogromnym i zmiennym wciąż Oku jej spojrzenie zza grobu? W jakiś sposób pełne skąrgi i urazy, a jednocześnie opiekuńcze, podobne do talizmanu? No ale rozpedziłem się i zabrąłem w dywagacje literackie, które ma pan prawo uciąć bez litości. Jakkolwiek, będąc z powołania i zawodu pisarzem, nie potrafię myśleć o ulubionych przez pana „samych faktach” poza ich głębszym, tajemniczym przeważnie, kontekstem. Każdy z nas ma swoją deformację profesjonalną, ja tak samo jak pan.

— Moja deformacja profesjonalna musi tu wziąć górę, nie na to nie poradzę. Domyślałem się, że niewiele pan ma do dodania o miodowych latach Malcolma, chyba że chciałby się pan zabawić w mnożenie bądź repetycję dowodów szczęścia rodzinnego. Dla mnie jednak pora na następny rozdział.

— Następny rozdział oznacza przeskok do zeszłego, 1970 roku. W opowiadaniu o nim zmuszony będę połączyć w jedną całość to czego sam byłem świadkiem i to, co urywkowo usłyszałem od Malcolma już po zniknięciu Toma Patano. Z zachowaniem chronologii zdarzeń. Lepszego wyjścia nie widzę w interesie jakiej takiej przejrzystości i koherencji opowiadania. Na koniec lipca zwołano posiedzenie *Magna Grecia* na Sycylii. Miało się odbyć w Erice, tym słicznym miasteczku średniowiecznym w pobliżu Trapani. Posiedzenie było nadzwyczajne, planowano zdaje się unieść łożo neapolitańskie z sycylijską. Nie liczone na duży udział członków u szczytu lata i wakacji, ale Malcolm dał się uprosić i pojechał. Pojechał z Tomem, stanęli w hotelu w Trapani. W oznaczonym dniu zostawił swego towarzysza w hotelu, a sam wczesnym ranem wyruszył do Erice. Miejscem posiedzenia było podziemie opuszczonego klasztoru franciszkańskiego trzy kilometry za Erice, honory domu pełnił sędziwy i wyjątkowo inteligentny ksiądz. Masońskie zgromadzenie w świętym choć skonsekrowanym przybytku, z duchownym w roli gospodarza? Właśnie tak. I tym razem w niezwyklej scenerii. Długi stół dla uczestników, w jednym z kątów lochu ułożone w piramidę czaszki zmarłych dawno zakonników, na pułapie płamy przylepionych, śpiących nietoperzy. W grupie sycylijskiej szczególnym mirem cieszył się tęgi, rostry mężczyzna o ponurej twarzy. Nazywano go Don Calogero. Od pierwszej chwili Malcolm zwęszył w nim mafiijną grubą rybę. Związki między masonerią i mafią, pod przychylnym i dobrotliwym okiem sługi Bożego, kapłana Kościoła? Tego było

za dużo nawet dla Malcolma. Don Calogero nie odrywał od niego wzroku, jakby go poddawał egzaminowi. Nazajutrz odwiedził go w hotelu w Trapani. Patano był obecny podczas ich rozmowy; nie wtrącał się do niej co prawda, ale okazywał gościowi taką uniżoność, że niewątpliwa wydawała się ich znajomość, jakkolwiek gwałtownie temu zaprzeczał. Co było przedmiotem rozmowy? Nie wiem, po prostu nie wiem. Zwierzenia Malcolma, już po zniknięciu Patano, były pełne dziur, pauz nagłego milczenia, których nie odważałem się przerywać pytaniami.

— O czym mógł rozmawiać sycylijski *mafioso*, jeżeli był to rzeczywiście *mafioso*, z angielskim masonem i byłym oficerem? Niechże pan naprawdę powściąga nieco swoją wyobraźnię.

— Jeszcze ją przecież trzymam mocno w garści na urwzię, jeszcze nic takiego nie powiedziałem. Powiem dopiero teraz. Utkwiło mi w pamięci jedno zdanie Malcolma, rzucone zresztą mimochodem, bez związku ze zgromadzeniem w Erice i epizodem w Trapani. Brzmiało dokładnie tak: „Opowiadano mi na Sycylii; że mafia usiłuje kupować za granicą broń za narkotyki”. Kto opowiadał? I w jakim celu opowiadał angielskiemu masonowi i byłemu oficerowi, który przed odkomenderowaniem do NATO w Neapolu pracował w sztabach wojskowych w swoim kraju? Trzeba się tu jednak cofnąć o pół kroku z uwagi na chronologię. W lipcu i sierpniu byłem na wakacjach w Piemontcie, sycylijska wyprawa Malcolma odbyła się pod moją nieobecność w Neapolu. Przyjechałem z wakacji na początku września. Zastałem w *Villa Melton* ciężką atmosferę. Malcolm był podniecony i roztrzęsiony, o byle głupstwo wpadał w gniew, toczyła się w nim wyraźnie jakaś szamotanina. Nagle poleciał do Londynu, prosząc mnie żebym zaglądał czasem do willi. Któregoś dnia zrobiłem to bez zapowiedzi. Schodząc od bramy ulicznej do willi, rozminąłem się z tęgin, rosłym mężczyzną. Wtedy nie miałem o niczym pojęcia, potem zrozumiałem że musiał to być Don Calogero. Drzwi willi były otwarte, Patano skoczył z tapczanu na mój widok. Nie mógł opanować zakłopotania, lecz o nic nie pytał. Uderzyło mnie, że Oko Opatrzności było zdjęte z haczyka i stało w rogu odwrócone do ściany. Na biurku Malcolma leżały zwichrzono papiery, odchylone było wieko sekretary. Nigdy tego nie powiedziałem Malcolmowi, nawet w okresie gdy wydierał z siebie te swoje urywkowe i chaotyczne konfidencje po zniknięciu Toma.

— Dlaczego?

— Cała ta historia miała swoją stronę sentymentalną, była również historią miłosną. Ani na minutę o tym nie zapomniałem; pilnując równocześnie dystansu należnego cudzym sprawom osobistym.

— Chwali się to panu, *bravo*. No więc Melton wrócił z Anglii...

— Po dziesięciu dniach, w połowie września. Był w gorszym jeszcze stanie, niż przed wyjazdem. W rozmowach ledwie obecny, z pochyloną na piersi głową i opuszczonymi powiekami. Zagadnięty, budził się jakby z drzemki czy z zadumy. Bywał opryskliwy wobec Patano. Najdokładniej chyba pasowałoby do niego słowo „zaplątany”. Zaplątany w co? W każdym razie w coś, z czego nie mógł i nie chciał się wyplątać. Dla mnie, przyglądającego się temu z boku, nie wtajemniczonego, sytuacja stawała się trudna do zniesienia. Postanowiłem przerwać moje wizyty w *Villa Melton*. Niezbyt długo wytrwałem w tym postanowieniu. 16 października rano Malcolm zatelefonował i zaprosił mnie na obiad z takim naleganiem w głosie, że nie przeszła mi przez gardło odmowa. Dzień był słoneczny, prawie letni, w powietrzu nie czuło się jesieni. Po obiedzie Patano zaproponował zejście na skały nadmorskie pod tarasem, a sam zajął się sprzątaniami ze stołu i dołączył do nas po kwadransie. Położyłem się w cieniu w wyłotnie między skałami, Malcolm i Tom usiedli na ławeczce na płaskiej platformie skalnej. Zatoka była o tej porze — około czwartej po południu — pusta. Nagle od strony Procidy wyskoczyła zza przylądka rozpedzona motorówka, na wysokości willi skrzyła ostro w jej kierunku, zwalniając stopniowo bieg. Zbliżała się powoli do małej przystani u podnóża skał, ale z zapalonym wciąż motorem. Malcolm i Tom wstali z ławeczki i spojrzeli w dół. Wtem Patano pchnął gwałtownie Malcolma, upadł wraz z nim na skałę i nakrył go swoim ciałem. Rozległ się strzał. Motorówka zatoczyła mały łuk w tył zwrot, znowu nabrała rozpedu i oddaliła się szybko w stronę Capri. Zerwałem się z mojego miejsca, oni obaj podnieśli się ze skały, Malcolm ścisnął w objęciach swego młodego towarzysza, powtarzając bełkotliwie jego zdrobniałe imię „Tommy, Tommy, Tommy”. Pan się uśmiecha...

— Proszę na to nie zwracać uwagi. Wymknął mi się ten uśmiech w obliczu wzruszającej zaiste sceny.

— I w obliczu mojej naiwności. Tak, nie przeczę, dziś rozumiem że była to przypuszczalnie zainscenizowana komedia, lecz wtedy moja reakcja była podobna do reakcji Malcolma.

— Melton odzyskał wiarę w swego młodego towarzysza. Przystał się zadreżać i biczować wątpliwościami i wahaniem.

— Do tego stopnia, że na krótko zapanowała w willi dawna idylla. Gdy w tydzień później Patano wyszedł z willi i więcej nie wrócił, dla Malcolma — jak podejrzewam — był to dowód, że w jakiś sposób musiał zapłacić za swoje zachowanie, za najwyższą próbę wierności i oddania w głębokim i autentycznym związku uczuciowym. Biedny Malcolm! Incydent na skałach zamglił mu wzrok i zaćmił inteligencję. Powiedziałem „podejrzewam”, bo nadal byłem zdany wyłącznie na własne domysły. Ostatni rozdział tej historii, po zniknięciu Patano, nie nadaje się do opowiedzenia.

Można go streścić w niewielu słowach: prostracja i jak sądzę bezustanna myśl o „wydobyciu” czy „wykupieniu” Toma, więzionego gdzieś na sycylijskim odludziu. Proszę zważyć, panie komisarzu, że także to należy do sfery mojego odgadywania. Chociaż przyjeżdżałem teraz do *Villa Meltor* prawie codziennie, jak do samotnego chorego którego trzeba doglądać, chociaż Malcolm był teraz bardziej skłonny dopuścić mnie do konfidencji, nie wykraczała ona poza wyrwane z szerszego, nieznanego mi, kontekstu strzępy w rodzaju tego napomknięcia o usiłowaniach mafii zakupu za granicą broni za narkotyki, lub o posiedzeniu masonerii w Ericie i o epizodzie w Trapani. Tyle tylko owych zwierzeń bezpośrednich z ostatniego okresu, niech to będzie wyłuszczone w naszej rozmowie. Toteż ostateczny obraz, a nie mogłem go sobie nie wytworzyć, jest owocem mojej tak zwanej dociekliwości, jak się pan wyraził, a nie podsumowaniem cedzonych kropłomierzem wyznań Malcolm.

— I zapewne powinienem obecnie obejrzeć ten ostateczny obraz pana autorstwa.

— Może pan go obejrzeć, albo nie. W końcu to pan wezwał mnie do Kwestury i pan dyryguje naszą rozmową.

— Skoro panu na tak wiele pozwoliłem, skoro pan nie usuchał moich rad, postawmy kropki nad i.

— Jestem zdania, że Malcolm został wciągnięty jako pośrednik, dobrze obeznany z terenem angielskim, w aferę zakupu broni za narkotyki. Ze Patano został użyty najpierw jako przynęta, a potem jako narzędzie szantażu i nacisku. Ze Malcolm opierał się, miotał, stawiał krok i odskakiwał pół kroku do tyłu, liczył że uda mu się nie zanadto wysokim kosztem wymanewrować siebie z operacji i opłacić posiadanie Toma. Ten spudłowany rozmyślnie strzał był zainscenizowaną komedią na benefis Patano, ale był również ostrzeżeniem. Malcolm wiedział co jest grane, nie mógł tego nie wiedzieć. W połowie listopada polecił znowu na trzy dni do Londynu, czyli podjął desperacką próbę definitywnej transakcji. Nie powiedła się widocznie, bo natychmiast po powrocie wystawił swoją willę neapolitańską na sprzedaż. Sprzedał ją błyskawicznie i za tanio, to prawda, lecz działał przeciw w popłochu. Sęk w tym, że z punktu widzenia pertraktujących w aferze za jego pośrednictwem stron wiedział już o wiele za dużo. I stał się dla obu stron poważnym zagrożeniem. Oto ogólnikowy obraz mojego autorstwa, łącznie z londyńską „integralną dezintegracją” wczoraj o północy. O precyzję i szczegóły będziecie musieli zadbać do spółki, Scotland Yard i wy z Kwestury. Mylę się, czy pan rzeczywiście słucha mnie z przymrużonym ironicznym okiem?

— Policyjnym Okiem Opatrzności. Żyjemy, z czego pan chyba zdaje sobie sprawę, w epoce urodzaju na „nieznanych sprawców”. Ale brak mi jeszcze ostatnich chwil przed epilogiem.

— Malcolm zakupił bilet lotniczy do Londynu na 11 grudnia. 7 grudnia spędziłem z nim pożegnalny wieczór w *Villa Melton*, w trakcie pakowania skrzyń przez robotników z firmy ekspedycyjnej. Było zimno, lał deszcz, palił się ogień na kominku. Malcolm starał się zachować spokój, nadrabiał miną, uciepił się nie spodzianie wspomnień o swoim dobermanie Lucky, który dość dawno już zdechł i został pochowany przez Toma w ogrodzie willi. Do jego pokoju weszli z sąsiedniego pokoju robotnicy, wskazywał im co mają zabrać i załadować do skrzyń. I tak, wie pan, od niechcenia, nie patrząc na mnie przysuniętego na zydłu bliżej kominka, zdjął ze ściany sztych i wrzucił go do ognia. Buchnął płomień, wydało mi się na ułamek sekundy, że przed spłonieniem ogromne Oko Opatrzności przymknęło się wolno z wyrazem szyderstwa, drwiny.

— Jutro każę odpisać naszą rozmowę z taśmy. Proszę przyjść pojutrze, przeczyta pan tekst i podpisze za zgodność. Dostanie pan w prezencie jedną kopię dla siebie. Jest pan przecież pisarzem, więc kto wie, kto wie, może za piętnaście-dwadzieścia lat, gdy sprawę przysypie pył naszych i londyńskich archiwów, przyjdzie panu ochota jej uwiecznienia piórem. W ten sposób i ja wejść kuchennymi schodami do literatury. Jest już późnawo, podrzucę pana moim samochodem do domu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Luty 1988

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. * Odczytywanie recept krajowych * Wszelkie aparaty medyczne * Okulary * Aparaty słuchowe * Preparaty, dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.
Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Fiquard-Zablocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.
Tel.: 42 85 79 45.

Archiwum polityczne

Dialog polsko-niemiecki

Przed kilkoma tygodniami uczestniczyłam w „forum” polsko-niemieckim, zorganizowanym przez niemiecki Kościół ewangelicki i Polską Radę Ekumeniczną. Dyskusje dotyczyły przede wszystkim granicy na Odrze i Nysie, wysiedlenia Niemców z Polski i losu Niemców pozostałych w Polsce. Są to sprawy, o których należy mówić. Wiążące uznanie granicy na Odrze i Nysie jest niezbędne dla europejskiej polityki pokojowej. Utrzymanie w Niemczech żywego poczucia winy wobec Polaków jest ważne, jeśli chcemy oprzeć niemiecką kulturę polityczną na zasadach moralnych, humanitaryzmie i demokracji; ma też wielkie aktualne znaczenie w obliczu ponownych prób bagatelizowania narodowo-socjalistycznych zbrodni niemieckich lub usprawiedliwiania ich zbrodniami innych narodów.

Mimo tego przekonania miałam podczas forum przede wszystkim wrażenie, że uczestniczę w dyskusji pozorowanej, w której powtarza się jak zastygły rytuał spory z lat 60-tych wokół układu warszawskiego. Z jednej strony CDU i ziomkostwa przesiedleńców, z drugiej SPD i cały naród polski, choć CDU już dawno zaakceptowała układ warszawski, a po stronie polskiej występują Ryszard Wojna i Mieczysław Tomala, ludzie, których autorytet moralny jest nieporównywalny do autorytetu biskupów polskich i ich pamiętnych słów „wybaczamy i prosimy o wybaczenie”. Im dłużej trwały dyskusje, tym wyraźniej czułam, że jest to alibi i służy wyłącznie temu, by nie poruszać nowych tematów.

Od lat 60-tych dorosły w Niemczech i Polsce nowe pokolenia. Młodzi Niemcy wyrosli w systemie zachodnim i są bardzo wyczerpani na kwestie społeczne. Europy wschodniej na ogół nie znają. Wielu z nich głosuje na Zielonych. Celem mojego artykułu nie jest przedstawienie polityki Zielonych. O wiele ważniejsze wydaje mi się rozważenie doświadczeń tej generacji Niemców, wynikłych z ich spotkań z Polakami, ponieważ właśnie to pokolenie stanowi rzeczywisty fundament polityki Zielonych.

Mam na myśli przede wszystkim spotkania Niemców z Polakami, przebywającymi krócej lub dłużej w Niemczech, a nie ich doświadczenia w Polsce. Przytoczę tytułem przykładu rozmowę młodego niemieckiego studenta z młodym polskim studentem. Jest to rozmowa fikcyjna, ale podobne toczą się dzień w dzień w stołówkach lub domach akademickich niemieckich uniwersytetów.

Niemiecki student zaczyna mówić o zbrodniach Hitlera. Polski — o zbrodniach Jaruzelskiego. Niemiec powiada: to nieporównywalne. Polak odpowiada, że w obu przypadkach chodzi o totalitaryzm. Niemiec zżyma się na debatę historyków niemieckich i list Dreggera do kongresu amerykańskiego w obronie niemieckiego Wehrmachtu w Prusach Wschodnich, który w końcu walczył ze Stalinem. Polak odpowiada: lepszy Dregger niż Jaruzelski.

Niemiec zaczyna mówić o konieczności rozbrojenia i wyzwolenia się ze schematycznych obrazów wroga. Polak odpowiada, że nienawidzi komunizmu i że wojna gwiazdna jest jedyną nadzieją.

Niemiec zżyma się na starania rządu niemieckiego, aby ograniczyć prawo azylu dla Irańczyków. Polak odpowiada, że prawo azylu dla Polaków jest ważniejsze z uwagi na wspólne wartości chrześcijańsko-zachodnie.

Polak mówi o honorze i gwałcie na ojczyźnie. Niemiec odpowiada: mówisz zupełnie jak mój ojciec.

Zaczynają rozmawiać o Czarnobylu i skutkach tej katastrofy dla Polski. Niemiec ma nadzieję, że nareszcie znajdą wspólny język i protestuje przeciwko elektrowniom atomowym. Polak odpowiada: coś takiego może się przecież wydarzyć tylko w tym zacofanym Związku Sowieckim. Czy stamtąd w ogóle można się spodziewać czegoś dobrego? Technika zachodnia jest sto razy pewniejsza. Dlaczego demonstrujecie przeciwko niemieckim elektrowniom atomowym, zamiast maszerować pod ambasadę sowiecką?

Nie chodzi mi o ustalenie, który z nich ma rację ani o wygrywanie jednych przeciw drugim. Chcę tylko pokazać, że po układzie polsko-niemieckim — będącym ważnym i pozytywnym wydarzeniem w stosunkach polsko-niemieckich — nie zapanowało nagle wzajemne zrozumienie, lecz szczególny rodzaj obcości, niezrozumienia i asymetrii argumentów, o których koniecznie należy mówić.

Porównywanie stosunków w RFN i w Polsce jest dla Polaków chlebem powszednim. Sprawdzone w toku licznych podróży na Zachód i utwierdzone w toku licznych rozmów, istnienie różnic gospodarczych, politycznych i społecznych jest dla nich komunałem.

Inaczej ma się rzecz z młodymi Niemcami. Młodzi Niemcy z RFN, udający się do Polski np. w ramach wymiany młodzieżowej, jadą tam z głębokim poczuciem winy wobec Polaków. Z reguły zwiedzili już przedtem kilka krajów zachodnich i kilka państw trzeciego świata. Przyjeżdżając do Polski, stwierdzają najpierw, że nie są w trzecim świecie. Miasta nie są otoczone

rozległymi dzielnicami *stums'ów*, zbudowanych z puszek po Coca-Coli. Na ulicach nie leżą, jak w Indiach, umierający z głodu ludzie. Stoją piękne stare domy, w mieszkaniach jest centralne ogrzewanie i łazienki. Nie do porównania z Bombajem czy Mexico-City. Wszystko jest wprawdzie dość podupadłe, ale za to ludzie mają dużo czasu, a to jest przecież ważniejsze.

Pierwsze irytujące doświadczenie spotka ich, kiedy stwierdzą, że o narodowym socjalizmie chcą rozmawiać tylko działacze organizacji młodzieżowych, którzy już w drugim zdaniu pytają ich, co przywieźli z Zachodu. Wszyscy pozostali chcą rozmawiać o Jaruzelskim, „Solidarności” i reakcji Niemców na stan wojenny. Po raz drugi zirytują się powszechnym krytykowaniem sytuacji w Polsce z ust bez wyjątku wszystkich, w tym i funkcjonariuszy. Gość z RFN powziął był sobie — mając w pamięci niemieckie zbrodnie wobec Polski — że będzie wszystko chwalił. Zresztą prawdę mówiąc wyobrażał sobie na podstawie opowiadań Polaków o ponurym i okropnym życiu w ich ojczyźnie, że w Polsce jest gorzej (potem będzie się tego wstydził), że jest właśnie jak w trzecim świecie. Po kilku dniach pobytu w Polsce pierwotny obraz zaczyna się chwiać. Na pierwsze wrażenie — „przecież wszystko jest tak jak u nas” — nakładają się korektury: centralne ogrzewanie nie działa, winda stoi, samochód nie jeździ z braku benzyny, z prysznicą cieknie tylko zimna woda. Równocześnie prowadzi niezliczone intensywne rozmowy i spotyka ludzi, których gościnność i serdeczność są dlań oszłamające i zniewalające. Niemieccy przyjaciele, którzy pilotowali wiele wycieczek Niemców po Polsce opowiadali mi, że typowym podsumowaniem podróży jest: „System o wiele gorszy, ale ludzie o wiele miłsi, niż się spodziewałem”.

Wrażenia młodych Polaków z RFN są zapewne dokładnie odwrotne: system o wiele lepszy, ale ludzie znacznie bardziej antypatyczni, aniżeli się spodziewali. Wrażenie młodych Niemców — także u mnie z każdą podróżą silniejsze — jest dla Polaków na pewno miłe. Byłoby jednak fatalnie, gdyby się nim zadowolili. Asymetria między RFN a Polską oddziałuje silniej niż myślimy także na stosunki między ludźmi. Najbardziej rzucają się w oczy różnice wynikłe z odmiennych doświadczeń gospodarczych. Dla nas np. pieniądze są pojęciem rzeczywistym, czymś, dla czego oddaje się część energii życiowej i za co można zaspokoić potrzeby. Dla Polaków pieniądze niewiele znaczą. Ważne są nie pieniądze, ale stosunki. Dla nas jest czymś normalnym, że nie mamy dość pieniędzy na to, by kupić sobie wszystko, co jest do kupienia. Dla Polaków normalne jest, że mają wprawdzie dość pieniędzy, ale ze niczego za nie nie mogą kupić. Wynikają z tego uderzające różnice w zachowaniu: Polaka dziwi, jeśli w kawiarni każdy płaci za siebie. Niemiec odwrotnie, uważa za hochsztaplerstwo, jeśli jeden płaci za wszystkich, chociaż wcale nie zarabia więcej i każdy wie, że w gruncie rzeczy nie stać go na takie fundy.

Autobus z Krakowa do Zakopanego jest tak zapchany, że nie

udaje mi się doń wcisnąć. Następny odchodzi dopiero za pięć godzin. Natychmiast zjawia się przy mnie taksówkarz i pyta: Zakopane? — *Ja*, odpowiadam. — *Ostdeutsch? Westdeutsch?* — *Westdeutsch.* — Trzydzieści marek. — *OK.* Po niecałych dwóch godzinach wysiadam rozpromieniona w Zakopanem, z uczuciem, że zaoszczędziłam dużo pieniędzy (w Niemczech odpowiednia trasa kosztowałaby mnie 200 marek). Moja polska przyjaciółka robi mi jednak wyrzuty: taksówka z Krakowa do Zakopanego kosztuje 10.000 złotych, ty zapłaciłaś 20.000 i do tego w dewizach. Podbijacie ceny.

Rzeczywistość polska jest dla Niemców umyślowym wyzwaniem, bo nie odpowiada znanemu im schematowi wysiłku i zapłaty. Z furją obserwuję, z jaką arogancją niemieccy turyści szastają złotówkami w hotelach, ale sama też jestem posiadaczką dewiz, czemu zawdzięczam przywileje — i korzystam z nich, acz nie bez wyrzutów sumienia, np. w przychodni lekarskiej. Złotych mam w nadmiarze, co mnie zresztą krępuje, bo normalnie wcale nie jestem bogata. Równocześnie ze łzami w oczach oglądam w muzeum miasta Warszawy film o zniszczeniu Warszawy przez Niemców i uczestniczę w dyskusji młodych Polaków, którzy rozprawiają o europejskiej filozofii ze stokroć większą kompetencją niż ja.

Asymetria dotyczy nie tylko doświadczeń z odmiennymi systemami gospodarczymi. Sięga zasad społecznych, systemu wartości i światopoglądu. W pierwszym odruchu pytam: jak można doprowadzić mienie społeczne do takiej ruiny? Sami przecież jesteście współodpowiedzialni za to, by akademik był sprzątnięty, śmietniki pod domem wypróżnione, ogrzewanie naprawione. Trzeba morza wódki i wielu nocnych rozmów, byśmy wreszcie pojęli, jak głęboko tkwi w Polakach oparte na doświadczeniu przekonanie, że każda osobista inicjatywa rozbija się o biurokratyczny opór urzędów. Ja sama zrozumiałam to, słuchając opowiadania młodej badaczki z Krakowa, która walczyła o ochronę Wawelu przed szkodami, wynikającymi z zanieczyszczenia powietrza. Wszędzie ją mile przyjmowano, nawet w instytucjach oficjalnych, aż któregoś dnia na jakimś szczeblu zdecydowano, że należy ponownie uruchomić stare urządzenia w Nowej Hucie, które tak zatrują powietrze, że wszelkie indywidualne wysiłki muszą spełznąć na niczym. Skutek: moja znajoma wyjechała na Zachód.

Polacy z kolei nie rozumieją, dlaczego zachodni ekolodzy tak krytykują swe rządy i system. „Przecież dobrze wam się żyje. Bezrobotny dostaje u was większy zasiłek, aniżeli wynosi u nas pensja profesorska. Czego wam jeszcze trzeba?”. Dopiero kiedy po długiej rozmowie Jacek Kuroń powiedział: Nie zapominajcie, że ta wspaniała wolność, z jaką sobie poczynacie i za którą was kocham, jest pochodną wolności systemu, w jakim żyjecie”, zrozumiałam, że nasza krytyka zachodnich stosunków, nasza gotowość do współdziałania przy ich naprawie, nasze głębokie przekonanie, że jesteśmy współodpowiedzialni za przyszłość, które wydają nam się oczywiste i niejako naturalne, bynajmniej nie są

oczywiste dla wszystkich, wręcz przeciwnie, że jest to zachodni przywilej.

Trudno nam pojąć, że ludzie, których myśl i działanie są tak intensywnie związane ze słowem „Solidarność”, nie rozumieją, dlaczego dla nas jest ważne, aby stosunki z trzecim światem oprócz właśnie na poczuciu solidarności. Długo trwało, zanim pojęliśmy, że oni, którzy o tyle więcej niż my wiedzą o Husserlu, Heideggerze, Nietzschem i Jaspersie, nie wiedzą niemal niczego o trzecim świecie i są ofiarą walki, jaką muszą stale toczyć z wykrzywionym obrazem „wojen wyzwolenczych”, którym zalewa ich propaganda oficjalna. Dlatego też bardzo się cieszyliśmy, kiedy przyjaciele z WiP-u pokazali nam podziemne pismo, w którym popierali „więźniów miesiąca” Amnesty International, wśród których zawsze figurują więźniowie z trzeciego świata.

Największą asymetrię widzę jednak we wzajemnym zainteresowaniu. „Normalną” postawą wielu mieszkańców Europy wschodniej jest podziw dla Zachodu. „Normalną” postawą wielu ludzi z Europy zachodniej, zwłaszcza młodych, jest obojętność i brak zainteresowania dla Europy wschodniej.

Tę ostatnią asymetrię uważam za skutek odrębnych doświadczeń z polityką odprężenia.

W okresie zimnej wojny mieszkańcy obu stron świata uczestniczyli namiętnie w dominującym nad wszystkim konflikcie obu systemów. Dwóch równorzędnych gigantów walczyło ze sobą; od wyniku tej walki zdawały się zależeć losy świata. W okresie odprężenia rządzący odsunęli konflikt systemów w cień. Aby podpisać kilka korzystnych układów, obie strony zaczęły udawać, że niczym się nie różnią. Pozytywne znaczenie tych układów — np. układu warszawskiego — nie ulega kwestii, jednak odsunięcie w cień różnic systemowych — ze względów taktycznych konieczne — doprowadziło w RFN do tego, że SPD omal nie uwierzyła, że oba systemy rzeczywiście są identyczne. Wiele formacji społecznych odetchnęło z ulgą: ponury rozdział pt. „Europa wschodnia” został zamknięty, można było uznać konflikt systemów za „relikt zimnowojennej przeszłości”. Większość młodych Niemców została wychowana w takim właśnie klimacie duchowym, więc narodziny „Solidarności” i pucz wojskowy w Polsce były dla nich zaskakującym odkryciem, że obraz ten nie jest całkiem ścisły.

Dla Polaków odprężenie oznaczało liczne podróże na Zachód, które doprowadziły do tego, że w ich świadomości konflikt między obu systemami został rozstrzygnięty na korzyść Zachodu. Liczni Zieloni zaprotestowaliby głośno przeciw twierdzeniu, że we współzawodnictwie dwóch systemów wygrywa Zachód. Jednak ich brak zainteresowania dla Europy wschodniej jest sam w sobie tego dowodem. Oznacza on bowiem, że niczego od Europy wschodniej nie oczekują i mogą sobie pozwolić na to, by się nią nie interesować.

Ta nierówność zainteresowania jest bardzo groźna dla przyszłości Europy. Obojętność Europy zachodniej jest groźna, bo choć jest prawdą, że Europa wschodnia rozpada się w oczach, to

rozpad ten dotyczy krajów uprzemysłowionych i z nuklearyzowanych, a jego skutki — przykładem Czarnobyl, wymieranie lasów w Europie środkowej, skażenie powietrza i wody — odczuwa także Europa zachodnia. Problemy ekologiczne są wspólne dla całej Europy i wymagają ogromnego zaangażowania obu stron.

Uwielbienie Europy wschodniej dla Zachodu też wydaje mi się dwuznaczne. Wielu Polaków przebywających w RFN w prywatnych rozmowach bardzo nas krytykuje. Niemcy zachodnie są w ich oczach społeczeństwem ludzi zimnych, rozpychających się łokciami, obojętnych wobec wartości i ludzkich uczuć. Podziw dla posiadaczy dolarów zawsze zawiera domieszkę złości na tych, którym się bez żadnego powodu o tyle lepiej powodzi. Chwilowo krytycyzm wobec nas ustępuje o ileż większej nienawiści do Jaruzelskiego, ale stłumiona niechęć nie sprzyja przyjaźni między narodami i w innej sytuacji może zostać wykorzystana przez rządzących, jak na przykład już dziś przez Ceausescu czy kilku węgierskich populistów, którzy w przemówieniach mówią o „nie-woli czynszowej” i „społeczeństwie *aids*”.

Co możemy zrobić?

Najważniejszy wydaje mi się uczciwy dialog między ludźmi i grupami społecznymi w RFN i Polsce. Spojrzenie w oczy nowej asymetrii i szczery, nieskrępowany stosunek do niej jest sprawą ludzi, nie państw. Tylko ludzie mogą znaleźć sposób, aby obecne dysproporcje nie były dalej spychane w podświadomość, co może doprowadzić tylko do nieporozumień, nieufności i wrogości.

Od demokratycznej opozycji w Polsce oczekuję z nadzieją, że wyjaśni dwuznaczność polskiego uwielbienia Zachodu. Nie chodzi mi o upiększanie ucisku i degeneracji ekonomicznej w Polsce ani o przemilczanie rzeczywistej asymetrii i faktu, że ludziom Zachodu powodzi się lepiej; chodzi mi o zrozumienie, że ta miłość ma charakter ideologiczny.

Inicjatywa obrony strategicznej (ISD) nie nadaje się jako koncepcja wojskowa ani dla Stanów Zjednoczonych, ani dla Europy. Zachwył wielu Polaków dla niej nie powstrzyma Ameryki przed wycofaniem swych żołnierzy z Europy zachodniej, jeśli uzna za ważniejsze przekształcenie jej w strefę rozbrojoną.

Powstrzymanie *dégradacji* przyrody jest pilnym zadaniem całej Europy. Zanieczyszczeniu wód nie zapobiegą nawet najlepiej ufortyfikowane granice. Jest to zadanie cywilne. Czołgi są bezsilne wobec wymierania lasów. Prawo wojenne nie zapobiega zanieczyszczeniu powietrza. Jest to zadanie wykraczające ponad systemy. Nawet jeśli warunki polityczne są u nas stokroć korzystniejsze, pozostaje faktem, że do zniszczenia przyrody przyczyniły się oba systemy i oba wymagają głębokich reform społecznych, aby zmienił się w nich stosunek gospodarki do ekologii. Pragnęłabym, aby polska opozycja demokratyczna okazała więcej zainteresowania dla takiej współpracy ponad blokami. Pomysły typu umorzenia długów Europy wschodniej i wpłacenia tych sum do kasy międzynarodowego funduszu ekologicznego pozostaną mrzonkami, dopóki mieszkańcy Europy wschodniej będą uważali

izolację i obalenie Jaruzelskiego za jedyne interesujące ich działania Zachodu.

Życzyłabym sobie również mniej wymagającego stosunku do zielonej opozycji w RFN. Chłód, presja wymogu produktywności i osamotnienie ludzi nie są winą Zielonych, lecz strukturalnymi składnikami naszego systemu. Właśnie ruch feministyczny, który spotyka się w Polsce z taką niechęcią i pogardą, jest wyrazem bezsilnego wprawdzie, ale rozpaczliwego buntu przeciwko chłdowi naszego społeczeństwa.

Natomiast po Zielonych w RFN spodziewam się, że zrozumieją, iż w Polsce konieczne są fundamentalne reformy polityczne i ekonomiczne. Bez pluralizmu politycznego i społecznego, bez zielonego światła dla indywidualnej inicjatywy ekonomicznej, bez ukrócenia dławiącego monopolu władzy PZPR Polacy nie będą mogli swobodnie włączyć się w kształtowanie życia publicznego, nadal będą trwać w cynizmie i rezygnacji, a niebezpieczna dla nas wszystkich asymetria groźnie się pogłębi. Ponadto chciałabym im uprzytomnić, że przeceniają wagę polsko-niemieckiego dialogu międzypaństwowego i że kontynuacją polityki Brandta z 1972 roku nie jest padanie na kolana przed Jaruzelskim, lecz uważne zainteresowanie dla doświadczeń i propozycji niezależnych ugrupowań w Polsce.

Chciałabym też jasno powiedzieć, że wiele możemy się od ludzi w Polsce nauczyć.

Długo dyskutowałam z kilkoma polskimi przyjaciółmi, dlaczego nasze antyfaszystowskie deklaracje znajdują tak nikły odzew w Polsce. Wreszcie zrozumiałam, że Zieloni budzą w Polsce zainteresowanie, bo uosabiają pokolenie wolne od wszelkiej odpowiedzialności osobistej za zbrodnie hitlerowskie. Niezależnie od naszych koncepcji politycznych Polacy przyglądają nam się uważnie: jacy jesteśmy? Co proponujemy Niemcom? Czy żywe są w nas dawne tradycje, czy też rzeczywiście chcemy, aby się takie zbrodnie nigdy nie mogły w Niemczech powtórzyć? Pod tym badawczym spojrzeniem zrozumiałam, iż nie wystarczy powiedzieć, że jesteśmy antyfaszystami i z pokoleniem naszych rodziców prowadzimy zażarty spór. To uchodzi za samo przez się zrozumiałe i zwraca nam się delikatnie uwagę, że po 1945 roku Niemcy nie mają przecież innego wyboru. Pytający chcą wiedzieć coś więcej: czy mianowicie gotowi jesteśmy bronić demokracji i tolerancji, poszanowania drugiego człowieka i prawa do odrębnych poglądów, czy też zostaliśmy w gruncie rzeczy wciąż tymi samymi autorytatywnymi *besserwisser*ami? Hannah Arendt opisała w 1950 roku swą pierwszą od 1933 roku wizytę w Niemczech. Jej zdaniem mylenie nihilistycznego relatywizmu z demokracją jest jednym z najstraszniejszych legatów duchowych, jakie zostawił Niemcom narodowy socjalizm i długo potrwa, zanim ta totalitarna trucizna przestanie działać. W rozmowie z przyjaciółmi z opozycji demokratycznej zrozumiałam sens tej myśli. Zrozumiałam, że mylenie nihilistycznego relatywizmu z demokracją wciąż nam zagraża i że polityczne deklarowanie antyfaszysty (jako nauka wyciągnięta z narodowego socjalizmu) jest powierz-

chowne i łatwe do manipulowania, bo nie opiera się na gotowości do obrony ludzkich wartości. W Polsce zrozumiałam, że nasze potępienie Oświęcimia nie brzmi wiarygodnie, dopóki nie towarzyszy mu obrona „Solidarności”. Proszę jednak moich polskich przyjaciół, aby uwierzyli, że po każdym pobycie w Polsce wyrażniej widzę zalety zachodniego systemu, choć zarazem lepiej widzę, w jak nikłym stopniu wartości ludzkie decydują o naszej polityce i obliczu naszego społeczeństwa.

Elisabeth W.

Sprawy polsko-holenderskie

GDZIE JEST MINISTER?

Minister zniknął w drugim czy trzecim dniu wizyty... Szok, władze polskie zaskoczone, niezbyt wiedziano, jak reagować. Zguba znalazła się jednak szybko, na... zebraniu Polskiego Klubu Ekologicznego w Krakowie. Tego w programie wizyty w Polsce holenderskiego ministra do spraw ochrony środowiska, E. Nijpelsa, nie było i władze polskie się obrażyły, twierdząc, że minister nie musiał iść tam ukradkiem, jakby kontaktując się z podziemiem. — Mógł przecież oficjalnie — oświadczone.

Ale minister, młody, sympatyczny i wcale jak widać energiczny, stwierdził, że właśnie nie mógł oficjalnie. Już miesiąc wcześniej ubiegał się o kontakt z PKE, na co władze polskie odpowiedziały, że program jest zbyt przeładowany... Członkowie krakowskiego klubu, mający wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia, wiedzieli o zamiarach ministra i też mieli na to spotkanie ochotę. Nie było jednak szans na „wskoczenie” w program oficjalny. To zabawne i charakterystyczne dla obecnych kontaktów polsko-holenderskich wydarzenie oraz sama wizyta miały miejsce pod koniec zeszłego roku.

Okazało się też, że z tego „potajemnego” spotkania urodziła się wcale cenna holenderska inicjatywa. Minister zaproponował zainstalowanie w Polsce, w rejonie największego skażenia powietrza czyli na południu kraju, „słupa” rejestrującego zanieczyszczenia przemysłowe czyli zestawu skomplikowanych urządzeń elektronicznych o wartości ponad pół miliona dolarów USA. Odczytanie danych następowałoby w holenderskim ośrodku badań nauk ścisłych i informacje, przede wszystkim dotyczące przekroczenia norm zanieczyszczenia, przekazywane byłyby natychmiast do Polski. Kontrola odczytywania w Holandii wywołała jednak obiekcje władz PRL i sprawa pozostała otwarta... Co do spotkania z członkami krakowskiego klubu władze polskie przyjęły oficjalnie do wiadomości — wydając komunikat — na-

wiązane niezależnych kontaktów, ale oświadczyły, że są niekompetentne, aby się w tej kwestii szerzej wypowiadać.

Odmrożenie kontaktów

Tego rodzaju polsko-holenderskie związki to zupełna nowość, a wizyta ministra E. Nijpelsa była drugim oficjalnym kontaktem na wyższym szczeblu ze strony Holendrów od czasu stanu wojennego. Pierwszy to wizyta ministra spraw zagranicznych, van der Boeka, który przebywał w Warszawie na przełomie sierpnia i września 1987. Spotkał się wówczas z Wałęsą, jako pierwszy minister spraw zagranicznych.

Te dwie wizyty ewidentnie podkreśliły dążenie strony holenderskiej do rozwinięcia niezależnych kontaktów z Polską. Zresztą w sposób jednoznaczny zastrzegli to sobie już Holendrzy przy uruchamianiu szerokiej pomocy humanitarnej dla Polski w roku 1981. Ówczesny przewodniczący parlamentu holenderskiego stwierdził wyraźnie, że pieniądze EWG, a więc i Holandii, przeznaczone są dla społeczeństwa.

W 1981 roku Holendrzy generalnie potępilli zamach stanu, zamrażając oficjalne kontakty do czasu obu powyższych wizyt (re-wizyty jeszcze nie było). Uruchomili równocześnie energiczną akcję pomocy polskiemu społeczeństwu. Ogromny transport 250 ciężarówek z paczkami żywnościowymi dotarł do Poznania już w nocy z 13 na 14 grudnia. Konwój ten, o długości ponad 7 km (!), wpisany został ponoć, jako rekordowej długości, do Księgi Guinnessa...

Pomoc holenderska dla Polski była i jest znaczna, o czym chyba wielu Polaków nie wie, a jeśli nawet, to nie orientuje się w jej skali. Najpierw paczki żywnościowe — by Polacy przetrwali zimę. W grudniu 1981 w wielu holenderskich oknach paliły się świece na znak solidarności z walczącymi o wolność Polakami. Gdy padło hasło pomocy Polsce, w bardzo krótkim czasie zebrano kilka milionów guldenów. Potem przyjęło się wysyłanie odzieży, najczęściej używanej, ale w dobrym stanie. Za darmo lub bardzo tanio przekazali Holendrzy wiele sprzętu medycznego dla polskich szpitali. Początkowo akcje pomocy naszym krajowi koordynował ogólnoholenderski komitet pomocy w Hadze, potem powstały — i wiele nadal działa — niezależne komitety pomocy we wszystkich częściach Holandii, organizowane przez władze, kościoły czy prywatnie.

Holendrzy tradycyjnie już popierają i sami organizują na szeroką skalę akcje pomocy humanitarnej. Zajmują się głównie głodującymi społeczeństwami. Ludzie masowo i szybko reagują na inicjowane w prasie czy TV kampanie, jak np. ostatnio pomoc dla głodującej Afryki. Telewizyjna akcja „Africa nu” (teraz Afryka) dała w kilka dni także kilka milionów guldenów... Była Polska, teraz myśli się o szerszej pomocy dla Rumunii. Pomaga się też Nikaragui, Salwadorowi, najczęściej bez wnikania w we-

wewnętrzne sprawy polityczne. Wyjątkiem jest apartheid, rząd holenderski od lat 60-tych zwalcza ostro wszelkie jego formy.

Zainteresowanie zupełnie przeciętne...

Tak więc pomoc Polsce nie wynika z wyjątkowo dużego zainteresowania naszym krajem, a głównie ze względów humanitarnych. W przeciwieństwie do np. Francji czy RFN, zainteresowanie przeciętnego Holendra sprawami polskimi jest nie większe niż problemami innych krajów wschodnich czy Afryki. Choć trzeba powiedzieć, że pewne sympatie powojenne dla „maczkowców” istnieją, zwłaszcza w takich miejscowościach jak Breda, Axel, Arnhem. Przetrwiała pamięć o polskich żołnierzach, którzy w stosunku do ludności cywilnej zachowywali się porządnie, szanowali mieszkania — w przeciwieństwie do Amerykanów czy Anglików, niszczących nierzadko dobro Holendrów bez pardonu. To się tutaj pamięta i pamięć ta przechodzi na młode pokolenie. Na grobach polskich żołnierzy stale są świeże kwiaty. Składają je też polskie delegacje, tak tutejszych kombatanów jak i ambasady polskiej, nawzajem się zresztą unikające... Sytuacje to często groteskowe.

Polska nie wybija się jako temat w holenderskiej prasie, ale jest stałym punktem, jako że wiadomo, iż w każdej chwili może coś się stać. Gdy coś się dzieje, jakaś sensacja — referendum, spotkanie polityka z opozycją, prześladowania członków WIP — wówczas Polska wkracza do programu radiowego, TV, na łamy gazet. Czasem są to polskie propozycje rozwoju handlu, często informacje ekonomiczno-finansowe. Holendrzy są narodem praktycznym i bacznie obserwują możliwości spłacenia im przez władze PRL 1,5 mld. dolarów długu... Sytuacja w PRL stała się dla Holendrów miarą przy ocenie problemów w innych „demoludach”, jak np. ostatnio w Rumunii i Jugosławii. „Solidarność” jest tu miarodajna przy ocenie szeroko zorganizowanej opozycji na Wschodzie.

Nie widać nas tutaj

Czy Polskę, Polaków widać w Holandii? Nie za bardzo, szczerze mówiąc. Generalnie brak tu znaczących Polaków, brak ich w partiach politycznych. Brak polskich nazwisk, nawet Polaków z pochodzenia, z drugiego czy trzeciego pokolenia wstecz, takich jak Poniatowski we Francji czy Gawroński we Włoszech.

Dlaczego tak jest? Emigracja powojenna była tu nieliczna i uboga w inteligentów. Mimo bliskości geograficznej wielkie polskie fale emigracyjne omijają Holandię, udając się raczej do Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Francji... Polacy nie znają tego kraju, nie wybierali go i nadal nie wybierają. Odstrasza też dziwny i dość trudny dla nas język.

Emigracja pomarcowa 1968 roku też była bardzo mała. W za-

sadzie cała polska działalność emigracyjna była i w dużej mierze nadal jest skoncentrowana w tzw. gettach towarzyskich. Są nieliczne grupy jak Stowarzyszenie Polskich Kombatantów czy Polskie Towarzystwo Katolickie, sprowadzające praktycznie swą działalność, głównie wśród starszych emigrantów, do wieczorków towarzyskich, spotkań po polskiej mszy czy biblioteczki, zresztą ubogiej. Nie ma tutaj żadnej ciekawej oferty dla nowoprzybywających. Nie ma misji katolickiej, nie ma na dobrą sprawę klubu polskiego z prawdziwego zdarzenia, stale, regularnie i sensownie pracującego. Nie ma też własnej gazety. Ktoś zapyta — dlaczego tyle „nie ma”? Po prostu nie ma — znów „nie ma” — tego komu robić. Trochę drgnęło, gdy nadeszła fala emigracji „solidarnościowej”. Pojawiły się osoby, które chcą coś robić, utrzymywać liczące się kontakty indywidualne, uczą się solidnie języka. Są aktualnie próby zawiązania polskich grup młodej emigracji, co czynią np. w Rotterdamie byli członkowie „Solidarności”.

Janek

Właśnie „Solidarność”. Widać ją w Holandii. Ale w zasadzie dzięki jednej, jedynej osobie, która „tyra” za dziesięć, wkładając w sprawy polskie całą swą, niemałą zresztą wiedzę i umiejętności, poświęcając jej wiele, wiele czasu. Myślę o mieszkającym w Amsterdamie Janku Minkiewicz, urodzonym w Szwecji obywatelu holenderskim polskiego pochodzenia, który włada naszym językiem równie znakomicie jak holenderskim, angielskim czy niemieckim. Sprawami polskimi zajmuje się od dawna, a poświęcił się im całkowicie od 1980 roku, gdy był członkiem holenderskiego MERPOL-u (*Mensen Rechten in Polen*) — czyli organizacji d/s Praw Człowieka w Polsce, powstałej przed „Solidarnością”. Działalność tej organizacji oparta była głównie na kontaktach z KOR-em.

Gdy zaczęła funkcjonować „Solidarność”, Minkiewicz jako przedstawiciel MERPOL-u zaproponował związkowi pomoc. Wyniknęły z tego głównie kontakty osobiste, Minkiewicz zaczął jeździć regularnie do Polski, był na zjeździe „Solidarności”. Zresztą już w latach 70-tych bywał często w Polsce, znał ludzi. W Holandii z kolei nawiązywał kontakty polityczne, szukał pomocy partii dla spraw polskich. To doprowadziło do założenia 1 grudnia 1982 biura „Solidarności” w Holandii, które skutecznie funkcjonowało do lutego 1984. Potem oficjalną reprezentację związku w Europie przejęła Bruksela oraz Paryż i Sztokholm. Minkiewicz pozostał przedstawicielem „Solidarności” w Holandii oraz jest od kilku lat reprezentantem na Zachodzie bardzo aktywnego polskiego ruchu „Wolność i Pokój”. Jest on znaną, liczącą się i szanowaną osobą wśród poważnych polityków holenderskich, działaczy europejskich ruchów pokojowych, organizacji ekologicznych, Amnesty International. Ten niestychniany pracowity, młody jeszcze człowiek przekazuje ze swego małego, skromnego mieszkanka przy jednym z amsterdamskich kanałów, zawałonego

książkami, broszurami, notatkami etc., bieżące informacje na temat „Solidarności”, WiP-u i innych ruchów pokojowych prasie, radiu i agencjom prasowym wielu krajów. Odwiedzając go, zawsze zastanawiałem się, kiedy on sypia, mając czas zajęty spotkaniami, rozmowami, pisanem, czytaniem, tworzeniem ogromnych ilości wielojęzycznych informacji i komunikatów. Do Polski nieśteży od kilku lat nie może jeździć, mimo jego usilnych starań władze PRL systematycznie odmawiają mu wizy.

Jak reagują władze holenderskie na działalność Janka Minkiewicza? Nie przeszkadzają, nie wtrącają się. Wynika to z tradycyjnej demokracji holenderskiej. Obywatele mają tu pełną swobodę w wypowiedzaniu się na tematy polityczne. Ale taka działalność skierowana na zewnątrz, jak np. sekcja polska radia BBC w Londynie, Holendrom by nie odpowiadała. Nie chcą brać politycznej odpowiedzialności.

Holendrzy *de facto* nie mają koncepcji polityki wschodniej, co odnosi się też do Polski. Bronią jednak praw człowieka w różnych komisjach międzynarodowych, np. na konferencji wiedeńskiej, wspólnie z Duńczykami i Kanadyjczykami.

Daleko posunięta demokracja i tolerancja społeczna w Holandii ułatwiały w latach 60-tych i 70-tych wtopienie się przybyszów, w tym Polaków, w tę narodowość, ułatwiały ich akceptację. Przy szeroko rozwiniętej strukturze świadczeń społecznych można było czuć się w tym kraju dobrze i bezpiecznie. Teraz jest trudniej, nie tylko zresztą tu. Napływ uchodźców, głównie z wielu krajów głodującej Afryki, ze Sri Lanki, z krajów arabskich, spowodował zaostrzenie przepisów, co dotyczy też Polaków. Zatrzymać się mogą tutaj tylko nieliczni, mający poważne argumenty. Swoją drogą trudno się Holendrom dziwić, to bardzo mały kraj o dużej gęstości zaludnienia i wcale nie małym bezrobociu.

Kontakty kulturalne i... dziewczyny

Tradycyjne związki polsko-holenderskie dotyczą kultury. Umowa bilateralna istnieje od chyba dwudziestu lat, traktuje m.in. o wymianie artystów, studentów. Sprawy kultury pozwoliły na pierwsze sformalizowanie wzajemnych kontaktów, przed wojną nawzajem się ignorowano.

Współpraca kulturalna i naukowa jest obecnie dość szeroka. Polska jest też corocznie reprezentowana na Holland Festival (3-4 miesiące w lecie) — dobry polski teatr, pantomima Tomaszewskiego, zespoły taneczne, Grotowski, Kantor, Hasior... Także wymiany muzealne. Tradycyjnie też, w ramach lokalnych inicjatyw, jeżdżą corocznie do Holandii polskie chóry.

Są też kontakty handlowe, choć słabe. Holendrzy ściągają surowce do nawozów sztucznych z płockiej „Petrochemii”, Polacy eksportują do Niderlandów silniki tranzystorowe do wentylatorów i... truskawki. Były też niegdyś w Holandii polskie meble, „Polonezy” i „Fiaty”. Ma swą reprezentację „Cepelia”.

I wreszcie polskie dziewczyny, ogłaszające się licznie w rubry-

kach matrymonialnych (i nie tylko niestety). Podaż duża, ale popyt też... Żarty żartami, ale polskie dziewczyny naprawdę się tutaj podobają i polsko-holenderskich małżeństw jest sporo. Jest to bodaj jedyna obecnie naprawdę atrakcyjna polska oferta eksportowa!

Andrzej NADZIEJA

KSIĘGARNIA POLSKA

A. i E. NEUSTEIN

TEL-AVIV, P.O.BOX 29443 — IZRAEL

Tel.: 621-311

Książki:

NOWE, WYCZERPANE, ANTYKWARYCZNE

Ostatnie katalogi:

50. Historia, Polityka. 51. Historia i Teoria literatury.
52. Różne — Bibliografia, Cracoviana, Językoznawstwo, Wspomnienia. 53. Teatr. 54. Różne. 55. Historia, Polityka. 56. Judaica.

Katalogi wysyłamy (bezpłatnie) na życzenie.
Prosimy o określenie zainteresowania.

Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.V.
Ukazuje się w Berlinie Zachodnim od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM 6,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62. Telefon 030/782 93 84.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 432 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1985-1987

Tom IV — zakończenie cyklu

Str. 192.

Cena F. 80,00.

TOM 433 — CZESŁAW MIŁOŚZ

KRONIKI

NOWY TOM POEZJI

Str. 80.

Cena F. 45,00.

TOM 435 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

UMSCHLAGPLATZ

Jest to książka wielowątkowa, łącząca różne gatunki pisarskie, próbująca opisać stosunki polsko-żydowskie: to, co się wydarzyło i co się nadal wydarza między Polakami i Żydami.

Opisując wywózkę Żydów w sierpniu i wrześniu 1942 roku z warszawskiego Umschlagplatzu do Treblinki, Rymkiewicz chce dać świadectwo nie tylko tego co się stało, ale także opisać co o zagładzie Żydów myśleli wówczas i myślą dzisiaj Polacy.

Str. 224.

Cena F. 95,00.

TOM 437 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

zawiera opracowania: Michał Heller: *Kamienie milowe 70-letniej historii Związku Sowieckiego*; R. Socha: *Droga przez mgłę (rozmowa z prof. Marią Turlejską)*; Adina Błady-Szwajger: *Szpital w getcie (1939-1943) i Po aryjskiej stronie*; Andrzej Sucheitz: *Dziennik mjr. dypl. Jana Jaźwińskiego (lotnicze wsparcie Powstania Warszawskiego)*; Zbigniew Gołąb i Jerzy P. Horzelski: *Polemika w sprawie artykułu J. P. Horzelskiego „Przygodne notatki o mowie. O Wandach, Krakach i Lachach”*; *Jak montowano Rząd Jedności Narodowej w Moskwie w 1945 roku: relacje A. Kołodzieja, St. Szwalbego, St. Wilkołajczyka i gen. Andersa oraz Dokumenty z Public Record Office*; Tadeusz Wyrwa (opr.): *Francuzi o Stanisławie Kocie, ambasadorze PRL w Rzymie*; Tadeusz Wyrwa (opr.): *Starania gen. Józefa Jaklicza o przerzucenie w 1942 roku Żydów-kombatantów z Francji do Szwajcarii oraz dział LIISTY DO REDAKCJI*.

Str. 240.

Cena F. 80,00.

Czym żyje wieś? (dok.)

CHŁOPSKIE UBEZPIECZENIA I PROTESTY

Tematem, który najbardziej zajmuje wieś jest ustawa o ubezpieczeniu społecznym rolników i członków ich rodzin z grudnia 1982 roku. Postanowienia jej jednoznacznie krzywdzą rodziny chłopskie w porównaniu z pozostałą częścią społeczeństwa. Jak drakońskie są to obciążenia, niechaj świadczy wyliczenie dokonane przez Józefa Wrońskiego, mieszkańca gminy Fajstawice w woj. lubelskim. Posiada on gospodarstwo 10-hektarowe. Roczna, wyliczona mu przez władze składka w 1986 roku wynosiła 25 tys. złotych. Józef Wroński ma dzisiaj ponad 30 lat, kiedy jednak zaczął płacić obowiązującą składkę, miał lat 25. Zatem do czasu osiągnięcia wieku emerytalnego (65 lat) przy założeniu, że składka ta zawsze wynosiłaby 25 tys. zł, w ciągu 40 lat wpłaci on do skarbu państwa 1 milion złotych i jeszcze, żeby z ewentualnej emerytury skorzystać, będzie musiał pozbyć się bezpłatnie gospodarstwa. Gdyby natomiast Józef Wroński te 25 tys. zł wpłacał regularnie na 13-procentową książeczkę oszczędnościową, to w wieku 65 lat miałby na koncie 25.342.200 zł. Czyli mógłby sobie wówczas wypłacać 274.540 zł miesięcznie lub 9.151 złotych dziennie z samego procentu, zachowując uskładany kapitał i co najważniejsze gospodarstwo, które w takiej sytuacji mógłby przekazać za darmo dowolnie wybranej osobie. Jednak Józef Wroński nie może wpłacać owych 25 tys. zł rocznie na książeczkę oszczędnościową, bo obowiązuje go ustawa z grudnia 1982 roku, która przymusza go, by taką właśnie sumę wpłacał do budżetu państwa, a państwo w zamian za to w wieku 65 lat da mu jakąś emeryturę. Jeżeli za trzydzieści kilka lat będą obowiązywały te same relacje stawek emerytalnych w stosunku do średnich zarobków w kraju, a siła nabywcza tej średniej pensji będzie taka sama jak obecnie, to ewentualna emerytura Wrońskiemu wystarczy na to, by mieć w kieszeni każdego dnia kilka cukierków. dla

biegających po podwórku wnuków, i to pod warunkiem, że gospodarstwo swoje przekaże dzieciom, a te zapewnią mu wikt i opierunek.

Józef Wroński ze wsi Boniewo w gminie Fajstławice (ten sam, który zaskarżył do sądu wybory do rad narodowych) dokonał swoich obliczeń jeszcze przed ostatnią podwyżką składek emerytalnej. Nic więc dziwnego, że kiedy w maju 1986 roku mieszkańcy tej wsi otrzymali nakazy płatnicze wyższe o sto procent od dotychczasowych, to we wsi tej powstał bunt. Wszyscy chłopci odesłali nakazy władzom. Kiedy postraszone ich, że należność będzie ściągana przez komornika, to na znak solidarności z Boniewem podobnie postąpili mieszkańcy 12 okolicznych osad z tej samej gminy. Do sejmiku PRL wystosowano specjalny memoriał. Władze jednak nie zareagowały. Latem ubiegłego roku mniej więcej w ten sam sposób postąpili mieszkańcy wsi Osinki w woj. tarnobrzeskim. Swoje poparcie dla protestujących chłopów z Fajstławic i Osinek w specjalnym liście do sejmiku wyrazili też chłopcy z kilkunastu gmin województwa tarnobrzeskiego. W czasie ostatnich uroczystości dożynkowych organizowanych na Jasnej Górze starosta, działacz „Solidarności wiejskiej” Władysław Piksa w specjalnym przemówieniu do 150 tys. pielgrzymów wezwał do odbudowywania struktur „Solidarności” po wsiach i w gminach, bo wiem, jak stwierdził, „nadszedł już najwyższy czas”. Zaś przewodniczący powołanej w kwietniu tego roku Tymczasowej Krajowej Rady „Solidarności Rolników”, Józef Ślisz, przekazał obecnym w Częstochowie dziennikarzom zachodnim informację, że na posiedzeniu rady podjęto decyzję o zorganizowaniu ogólnopolskiego protestu przeciwko postanowieniom obowiązującej ustawy emerytalnej. Protest ten ma polegać na tym, że mieszkańcy wsi odmówią zapłacenia 4-tej ubiegłorocznej raty składki do czasu, kiedy władze podejmą konkretne działania zmierzające do modyfikacji ustawy.

Mam również kopię listu skierowanego do Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 2 sierpnia, w którym Jan Kozłowski z Chwałowic i Jan Mokrzewski z Łychowa w gminie Węglin zwracają się z prośbą o uchylenie decyzji władz, podwyższającej wysokość składek emerytalnych chłopów. Do tego listu dołączona jest kopia wyciągu z kilku wcześniej wystanych do sejmiku PRL petycji, podpisana przez kilkudziesięciu rolników z województwa tarnobrzeskiego.

Przez dłuższy czas władze nie reagowały na chłopskie skargi i protesty. We wsi Fajstławice chłopów ostatecznie przymuszono do wniesienia opłat, posługując się komornikiem. Władze mogą powiedzieć, że tam batalię wygrały. Jest to jednak pozorne zwycięstwo. Przecięż w ludzkich umysłach pozostała gorzka, a nieufność do rządzących przybrała jeszcze bardziej na sile. Da to o sobie znać przy pierwszej lepszej okazji. Zresztą są podstawy, by twierdzić, że i w urzędach centralnych w Warszawie zapanał niepokój. Nie jest przypadkiem, że w końcu października w prasie przeznaczonej dla wsi pojawił się króciutki artykuł, omawiający kierunki ewentualnych zmian ustawy emerytalnej.

Jednak zmiany te proponuje na razie Zakład Ubezpieczeń Społecznych, instytucja wykonująca postanowienia uchwał i ustaw rządowych. Należy więc oceniać ten fakt jako próbny sygnał sondażowy, mający wskazać władzom ustawodawczym margines swobody na przyszłość, a jednocześnie uspokoić nastroje na wsi. Jednak sam fakt, że zajął się tym problemem ZUS świadczy, iż na rychłe załatwienie sprawy przez władze nie ma co liczyć. Wspomnę tylko, że w tych opublikowanych sugestiach obok oczekiwanych przez właścicieli gospodarstw zmian znajdują się postulaty, z którymi nie sposób się zgodzić już teraz. Proponuje się na przykład przywileje dla tych gospodarzy, którzy chcieliby przekazać gospodarstwo państwu. Jest to więc próba wywierania presji na rodziny chłopskie, by pozbywali się swoich gospodarstw na rzecz państwa.

Projekt ten potwierdza jeszcze raz, że system ubezpieczeń społecznych w państwie rządonym przez komunistów jest narzędziem politycznym rządzących, a nie wyrazem ich troski o los człowieka. Powtarzam, za mało jest jeszcze przesłanek, by jednocześnie powiedzieć że władze naprawdę przejęły się sprawą i szukają jakiegoś dogodnego dla zainteresowanych rozwiązania. Jeżeli zapowiedziany w Częstochowie protest przybierze szerokie rozmiary, to i bieg wydarzeń może przybrać na sile oraz tempie. Poza tym formalnie osoby, które wniosły wnioski do Sądu Administracyjnego mogłyby twierdzić, że nie uiszczą opłat dopóty, dopóki sąd nie rozstrzygnie, po której stronie jest racja. Ale to znowu tylko hipoteza.

ORGANIZACJE ZWIĄZKOWE I PROCES O CENY

Formalnie instytucją, która powinna bronić interesów chłopskich przed rządem jest Krajowy Związek Rolników Kótek i Organizacji Rolniczych. O ile o OPZZ można powiedzieć, że od czasu do czasu ich głos jest brany pod uwagę, o tyle o KZRKiOR powiedzieć tego nie można. Przeciwnie, ostatnie lata przyniosły wiele przykładów kompromitującej organizację niemocy i potwierdziły jej całkowitą uległość wobec władz. Doszło do tego, że i prasa oficjalna nie szczędzi jej krytyki. Kompletnym blamażem były tegoroczne konsultacje o nowe ceny skupu płodów rolnych. Związek zażądał 40-procentowej podwyżki cen. Władze przyznały 20,3%. W komunikatach o zmianie cen powiedziano, że wszystko zostało przekonsultowane z organizacją związkową. W rzeczywistości nawet prób negocjacji nie było. KZRKiOR został potraktowany instrumentalnie. Sprawa nie mogła nie przedostać się do wiadomości publicznej. Zdesperowani arogancją władz członkowie Rady Głównej zaczęli składać swoje mandaty, uważając, że zostali oszukani. Urzędnicy zajmujący w tej organizacji najwyższe stanowiska musieli przystąpić do jakiejś kontrakcji ratującej twarz związku. W październiku skierowano pozew do Sadu Wojewódzkiego w Warszawie. Stroną oskarżającą jest KZRKiOR, oskarżonym minister finansów PRL. Zarzucono mu, że obowią-

zujące od 1 lipca nowe ceny skupu są sprzeczne z wytycznymi wspólnego XI plenum KC PZPR i ZSL, w których zawarto zasadę równości dochodów ludzi pracujących w rolnictwie i w gospodarce społecznej. Pierwsza rozprawa miała się odbyć 27 października. Niestety na sali sądowej nie pojawił się pełnomocnik oskarżonego, czyli ministra finansów. Dziwnym trafem akurat tego dnia zachorował. Następnym termin wyznaczono na 10 listopada. Mało kto, jeżeli w ogóle ktokolwiek, przypuszczał, że w wyniku tej rozprawy władze podniosą ceny skupu płodów rolnych o dalszych kilka procent. 10 listopada rozprawa się odbyła. Działacze KZRSIOR poprosili o wyznaczenie następnego terminu, bowiem minister finansów dostarczył pismo, którego treść muszę przeanalizować. Nowy termin rozprawy wyznaczono na połowę grudnia. Prasa oficjalna zaczęła nawet sporo o tym wydarzeniu pisać. Obiecywano, że i z następnej rozprawy będą zamieszczone obszernie sprawozdania. Opublikowano także owo ministerialne pismo, z powodu którego działacze kółkowi zażądali przerwy w procesie. Minister domagał się przede wszystkim, by wycofać oskarżenie przeciwko niemu i zobowiązał się, że przy kolejnej zmianie cen skupu postulaty związku będą przez władze uwzględnione. Zatem minister zakpił sobie i ze związku, i z samego procesu. Do dzisiaj nie wiadomo, czy zapowiedziana na grudzień rozprawa sądowa się odbyła, czy też nie. Temat, zapewne za sprawą wytycznych partii, przestał nagle istnieć. Działacze kółkowi milczą. Ale trzeba przyznać, iż jest to pewien precedens. Szkoda, że doszło do niego tak późno. Jeżeli bowiem przyjrzymy się podwyżkom cen skupu z lat poprzednich, to za każdym razem wspomniana zasada była pomijana i za każdym razem w wyniku zmiany cen skupu chłopci tracili. Dokładna analiza dochodów, kosztów utrzymania i cen środków produkcji pokazuje, że dzisiaj chłopci za swoją pracę otrzymują mniejszą zapłatę niż rok temu, rok temu otrzymywali mniejszą zapłatę niż dwa lata temu, dwa lata temu otrzymywali mniejszą zapłatę niż trzy lata temu itd. Chłopska kieszeń jest dzisiaj znacznie uboższa niż cztery lata temu. Przy czym w ciągu minionych czterdziestu lat nie znajdziemy okresu, w którym ta chłopska kieszeń byłaby zasobna. Sami rolnicy opisują swoją sytuację materialną w ten sposób, że jeżeli jeszcze 5-6 lat temu kogoś było stać na kupno nowego ciągnika, to dzisiaj ten kto taki ciągnik wówczas nabył nie ma pieniędzy, by dokonać w nim większej naprawy. Ta właśnie rzeczywistość tworzy obecnie postawy i nastroje na wsi polskiej.

Skoro poświęciłem tyle uwagi organizacji prorządowej, to wypada jeszcze kilka słów napisać o działalności niezależnej. Jednym z jej objawów są już opisane zachowania i działania, związane z walką o nową ustawę emerytalną. Przez cały okres stanu wojennego działała i działa do dzisiaj tzw. Komisja Rzeszowska. Jest to kilkuosobowe ciało, powołane do życia w okresie strajków chłopskich w lutym 1981 roku w Ustrzykach i Rzeszowie. Jej członkowie zostali zobowiązani do kontroli bieżącej realizacji porozumień, podpisanych pomiędzy strajkującymi chłopami i przedstawicielami władz. Komisja ta nie została rozwią-

zana w czasie stanu wojennego i wydawała ca. y czas oświadczenia oraz opracowywała raporty, które kierowała do najwyższych władz państwowych. Przewodniczący tej komisji, Józef Ślisz, w kwietniu tego roku został przewodniczącym Tymczasowej Krajowej Rady „Solidarności Rolników”. W jej skład wchodzi około 30 osób. Dziewięć osób stanowi prezydium działające jawnie, pozostałe osoby są społeczeństwu nieznane. Wiadomo mi również, że regionalne struktury zorganizowano już w około 30 okręgach. 4 września 28 rolników z województwa siedleckiego skierowało do Sądu Wojewódzkiego wnioski o zarejestrowanie organizacji o nazwie „Solidarności Rolników Indywidualnych województwa siedleckiego”. Nie wiem, czy rozprawa już się odbyła, czy też nie. Sądząc na podstawie doświadczeń „Solidarności” robotniczej w wielkich zakładach pracy, gdzie wszystkie złożone wnioski o rejestrację oddalono, można z góry przewidzieć, że taki sam werdykt zapadnie i w tym przypadku. Nie należy wykluczać, że i w innych regionach zostaną złożone podobne wnioski. Niewiele one dadzą, ale w świadomości władz i mieszkańców wsi pozostanie jakiś ślad, który może kiedyś zaowocować.

Za największy sukces niezależnej od władz działalności na wsi polskiej w 1987 roku należy uznać chyba obecność członków Prezydium TKRR „Solidarność” na obradach Europejskiej Konferencji Rolnictwa w Rzymie. Było to pierwsze od 1981 roku wyjście niezależnych działaczy chłopskich na forum międzynarodowe. Osobiście uczestniczę w tych kongresach już od kilku lat. Mogę powiedzieć, że jest to licząca się federacja. Skupia ona około 500 organizacji chłopskich, banków obsługujących rolnictwo, instytucje doradcze i oświatowe, handlowe i przedsiębiorstwa zaopatrujące gospodarstwa w środki produkcji z 20 państw Europy zachodniej. Każdego roku jesienią odbywa się kongres CEA (*Confederation of European Agriculture*). Uczestniczą w nim szefowie wszystkich zachodnioeuropejskich związków chłopskich, kierownictwa wielkich korporacji bankowych itd. Jest to więc okazja, by w jednym miejscu w ciągu kilku dni spotkać wiele osób mających sporo do powiedzenia na temat realizowanej w ich krajach polityki rolnej i kontaktów zagranicznych. Dwa lata temu w obradach takiego kongresu w Szwajcarii uczestniczył biskup Michalski z Gniezna. Pamiętam, jak przemawiając w czasie plenarnego posiedzenia Kongresu powiedział: „Może dziwnym się wydawać zebranym na tej sali fakt, że o położeniu i sytuacji chłopów w Polsce będzie wam opowiadał biskup Kościoła katolickiego, a nie sami chłopci. Ale taka jest właśnie rzeczywistość w naszym kraju”. Tym razem, w Rzymie, do uczestników kongresu przemawiali już sami chłopci. W dniu otwarcia studium w RFN córka znanego działacza „Solidarności” na wsi, obecnie członka prezydium TKRR „Solidarność”, Jola Kozłowska, odczytała list przysłany specjalnie na kongres przez Jana Kozłowskiego. W drugim dniu obrad na sali pojawili się dwaj członkowie prezydium TKRR „Solidarność”: Artur Balazs (tak to nazwisko się pisze), właściciel 40-hektarowego gospodarstwa rolnego w województwie szczecińskim i Edward Lipiec (gospo-

darstwo ogrodnicze) z województwa zielonogórskiego. Ich przyjazd wzbudził wielkie zainteresowanie.

Ostatniego dnia, podczas plenarnego posiedzenia kongresu, ponownie udzielono głosu gościom z Polski. Artur Balazs w kilkunastominutowym wystąpieniu przedstawił sytuację, w jakiej żyją i pracują polscy chłopcy i zapoznał zebranych z niezależnymi działaniami, jakie mają miejsce na polskiej wsi. Urzędujący prezydent CEA, Austriak Orsini-Rosenberg, dziękując za to wystąpienie wypowiedział wiele ciepłych słów i oficjalnie zaprosił przedstawicieli chłopskiej „Solidarności” z Polski na następny kongres, który odbędzie się w tym roku w Austrii.

CEA nie utrzymuje oficjalnych kontaktów z organizacjami z państw komunistycznych. Chociaż dwa lata temu w Szwajcarii na obrady przybyli goście rządu węgierskiego, to występowali tam jako obserwatorzy. Obradom kongresu każdorazowo przysłuchują się także obserwatorzy departamentów rolnictwa z USA i Kanady. Dodam jeszcze tylko, że konfederacja ta w statucie swoim zapisała, że naczelnym jej zadaniem jest obrona interesów rodzinnych gospodarstw rolnych.



Przedstawiłem w tym szkicu tylko to, o czym można już pisać. Zapewniam, że nie jest to jeszcze wszystko, co może i powinno złożyć się na pełną odpowiedź na postawione w tytule pytanie, „czym żyje wieś?”. W ogóle nie poruszyłem tutaj problemów związanych z produkcją i codzienną pracą w gospodarstwie rolnym. A to przecież przede wszystkim wypełnia czas każdego powszedniego dnia na wsi. Jest to jednak tak ogromny temat, zwłaszcza w roku wymarznionych sadów, bardzo mokrych i trudnych żniw, galopującej inflacji i niezaoranych ośmiuset tysięcy hektarów pól z powodu braku paliwa, że trzeba by mu poświęcić odrębnych kilkanaście stron. Jeżeli jednak udało mi się zwrócić uwagę czytelników na to, że walka o lepsze jutro naszego kraju nie ogranicza się tylko do wielkich miast i zakładów pracy, lecz toczy się także i na wsi polskiej, to już bardzo wiele.

Chłopcy dobrze wiedzą, co miesie ze sobą komunizm. Nie czekają, aż ktoś wystąpi w ich obronie. Starają się bronić sami. Nie mają żadnego swojego przedstawicielstwa zagranicznego. Nie mają sponsorów, którzy chcieliby ich w tej działalności wesprzeć. Wszystko robią z własnej inicjatywy i z własnych środków. *Kultura* w każdym kolejnym numerze drukuje nazwiska osób, które deklarują pomoc dla działalności niezależnej w kraju. Wśród adresatów nie widzę ani działaczy, ani organizacji, ani wydawnictw chłopskich. Szkoda.

Aleksander ŚWIEYKOWSKI

Najboleśniej „biała plama”

Ostatnio w Polsce modne stało się słowo „biała plama”. Padło ono po raz pierwszy w komunikacie o rozmowach Jaruzelskiego z Gorbaczowem w Moskwie wiosną 1987 roku. Była w nim mowa o przemilczeniach dotyczących różnych odcinków dziejów polsko-sowieckich czy polsko-rosyjskich, które należałoby wypełnić właściwą treścią informacyjną. Jak wszyscy zrozumieli, dotyczyło to zbrodni dokonanych na Polakach przez władze sowieckie (bo o nie zapewne chodziło w komunikacie, a nie o zaszłości z czasów carskich), o których do tej pory nie mówiono, lub których istnieniu zaprzeczano: Zgodnie jednak ze starą praktyką komunistów nie nazwano rzeczy po imieniu, lecz odwołano się do enigmatycznego i metaforycznego sformułowania „biała plama”, które to sformułowanie zostało natychmiast podchwyczone przez środki masowego przekazu, publicystykę a także przez środowiska historyków.

W powszechnym odczuciu owa „biała plama” miała dotyczyć przede wszystkim Katynia. Oczekiwano bezpośrednio po wspomnianym komunikacie następnego, ujawniającego prawdę o zbrodni dokonanej w podsmoleńskim lesie w 1940 roku (oraz o losie pozostałych kilku tysięcy oficerów). Jak dotąd komunikatu takiego nie doczekano się. Samo jednak oficjalne potwierdzenie istnienia spraw „tabu” w stosunkach polsko-sowieckich dało asumpt do sporej aktywności w prasie obu obiegów oraz wśród przedstawicieli nauk historycznych: aktywności w kierunku uiawniania przemilczeń, rewizji naszej wiedzy z pogranicza polsko-rosyjskiego czy polsko-ukraińskiego sięgającej niekiedy aż XVI wieku. Odbyło się kilka konferencji na temat „białych plam”, w niektórych towarzystwach naukowych stworzono do ich badania specjalne komisje. Przywołano sporą ilość faktów: zarówno znanych i pamiętanych, o których tylko do tej pory nie można było pisać, jak i dużą liczbę takich, których nie uświadamiano sobie lub które poszły w zapomnienie.

Wśród nich jednak nigdzie nie zauważyłem wzmianki o jednym przypadku: o martyrologii polskiej mniejszości narodowej w ZSSR w latach 1938/1939. Owszem była mowa o rozwiązaniu KPP w 1938 roku (od 1956 roku uznanym za „błąd i wypaczenie”, ale niechętnie przypominanym i objętym częściowym zapisem cenzuralnym), wspomniano też ogólnie o ciężkiej sytuacji Polaków w ZSSR w całym międzywojennym dwudziestolecu. Nie dostrzeżono natomiast faktu, iż likwidacja KPP pociągnęła

za sobą nie tylko eksterminację przywódców i dużej części członków tej partii, ale odbiła się boleśnie na losie całej polskiej mniejszości narodowej w ojczyźnie socjalizmu, której przytłaczająca większość nie miała nic wspólnego z komunizmem.

Zastanawiające, iż sprawa ta w ogóle nie dotarła do świadomości Polaków w kraju, a jak się wydaje także na emigracji. Nie znam oczywiście dobrze literatury powstałej na obczyźnie. Ale starałem się dotrzeć do najgłośniejszych dzieł, które napisano na temat Polaków w ZSSR. Wszystkie one dotyczą doświadczeń ludzi z ośmiu województw wschodnich, które po 17 września 1939 roku znalazły się pod okupacją sowiecką. Nie dotyczą Polaków — obywateli sowieckich przed 1939 rokiem. Niewielkie wzmianki na ich temat znalazłem w pamiętnikach Krakowieckiego (ale i w nich brakuje całokształtu obrazu tego, co działo się z nimi w latach 1938/1939). Prawie w całości mówią o bohaterach moich rozważań „Wspomnienia z Kazachstanu” księdza Władysława Bukowińskiego. Lecz i one dotyczą ich życia już w wiele lat po wywózkach ze stron ojczyści. Nie znajdziemy w nich relacji o doświadczeniach tych ludzi u schyłku lat trzydziestych.

A przecież Polacy w ZSSR przed wojną stanowili prawie milionową grupę. Skupiali się głównie na terenie Białorusi i prawobrzeżnej Ukrainy, w pobliżu granicy z Polską. Byli tu rozproszeni wśród miejscowej ludności, ale tworzyli też zwarte enklawy. Jedną z nich, na południe od Owrucza (rozległości dużego powiatu) uznana została za „Polski Obwód Autonomiczny im. Juliana Marchlewskiego” (tzw. Marchlewszczyznę). W niektórych miastach, np. w Żytomierzu czy Szepietówce, Polacy stanowili większość mieszkańców, a w ogóle byli największą obok Żydów grupą mniejszościową wśród ludności miejskiej na terenach na zachód od dawnej granicy Rzeczypospolitej z 1772 roku.

Co się z tymi Polakami stało? Dlaczego po 1945 roku nie było już „Marchlewszczyzny”, dlaczego Polacy zniknęli z Połocka i Mińska, Żytomierza i Berdyczowa? Nad tym jakoś nikt się nie zastanawiał w ostatnim czterdziestoleciu, ani w kraju, ani nawet na emigracji.



W sprawie tej usiłuję się czegoś dowiedzieć już od dość dawna, od jakichś dwudziestu lat. Dysponuję jednak niewielkimi możliwościami. To prawda — z racji mojego zawodu wielokrotnie bywałem służbowo w ZSSR, w tym także w Kijowie czy Mińsku (ale już do Żytomierza, mimo pewnych starań, nie udało mi się dotrzeć, nie mówiąc o Rosji azjatyckiej, gdzie być może spotkałbym kogoś z interesujących mnie ludzi). Wszędzie starałem się pytać o losy Polaków — przedwojennych obywateli ZSSR. Obraz, jaki wyłania się z otrzymanych odpowiedzi, jest pełen luk.

Uzyskanych informacji nie byłem w stanie weryfikować. Te, które zebrałem, nie są bezpośrednie. Niestety nie udało mi się dotrzeć do żadnego Polaka z Ukrainy czy Białorusi, który sam przeżył represje 1938/1939 roku i chciałby o nich mówić. To, co mi podano, może więc być nieścisłe. Nie mniej zdecydowałem się powiedzieć o tym, co wiem, gdyż moim zdaniem najwyższa pora, aby sprawa stała się przedmiotem szerszego zainteresowania i aby zbiorowo postarać się uzupełnić naszą wiedzę o wydarzeniach sprzed pół wieku, na które w swoim czasie opinia polska nie była w stanie zareagować, bo władze sowieckie robiły rzecz w ukryciu, a świadomość Polaków tak była zaabsorbowana zagrożeniem hitlerowskim, iż uchodziło jej uwagi to, co mogło się dziać za wschodnią granicą.

Mój tekst traktuję nie tylko i nie tyle jako informację o zdarzeniu, ale i jako apel do wszystkich cokolwiek wiedzących o tej sprawie, aby się odezwali, uzupełniali bądź zweryfikowali to, co niżej napiszę. To zaś, co mam do przekazania, przedstawię tak jak narastało w mojej świadomości. A więc w sposób w jakimś sensie „epicki”. Sądzę, że tak lepiej rzecz się uwyraźni.

Po raz pierwszy z problemem zetknąłem się jeszcze na początku lat sześćdziesiątych, gdy z wycieczką studencką znalazłem się w Kijowie. Wśród ludzi opiekujących się nami znalazł się także dobrze mówiący po polsku młody Ukrainiec, pracownik naukowy Uniwersytetu. Ponieważ przypadliśmy sobie do gustu i nabraлиśmy do siebie zaufania, wyrwałem się z nim indywidualnie na zwiedzanie Kijowa. Pokazując mi różne nie zauważane przez oficjalnych turystów osobliwości miasta, zatrzymał się w pewnym momencie przed jednym z kin i powiedział: tu przed wojną mieścił się teatr polski. Zdziwiłem się, że w ogóle istniał w ZSSR teatr polski. Dowiedziałem się, że nie tylko istniał, ale że w dwudziestolecie mieszkała w Kijowie znacząca kilkudziesięcioletnia grupa ludności polskiej, mająca poza teatrem także swoje szkoły, czasopisma, stowarzyszenia, że język polski można było przed wojną słyszeć na kijowskiej ulicy niemal na równi z ukraińskim, rosyjskim czy żydowskim. Dowiedziałem się także, iż wszyscy ci Polacy w krótkim czasie, pod koniec lat trzydziestych zniknęli z Kijowa. Gdzieś ich wywieziono. Mój rozmówca był wówczas dzieckiem, nie pamiętał dokładnie całej akcji, ale przypominał sobie, że nastąpiło to krótko przed wybuchem wojny polsko-niemieckiej. Teraz skłonny był kojarzyć ten fakt z rozwiązaniem w 1938 roku KPP.

W czasie tejże wycieczki zostaliśmy przyjęci przez mówiącą świetnie po polsku panią profesor. Gdy kierownik naszej grupy, zwiędzony tym, zapytał czy nie jest Polką, zaprzeczyła, przedstawiając się jako Rosjanka. Mój znajomy mrugnął wówczas do mnie, a po wyjściu powiedział: jaka ona Rosjanka? Nazwisko

czysto polskie, na „ski”. Może się wprawdzie trafić i wśród Rosjan, ale zważ na imię — Stanisława. Jakiż kacap nazwie tak swą córkę? Ona po prostu z tych, którym udało się jakoś w 1938 roku zmienić w paszporcie narodowość i w ten sposób ocalała. Ale bardzo to ukrywa.

Gdy po wielu latach znalazłem się znów w Kijowie i odnalazłem swego znajomego, byłem lepiej przygotowany do rozmów na interesujący mnie temat, a i on sam starał się mi pomóc. Dowiedziałem się wówczas, że nie tylko z Kijowa Polacy zniknęli tuż przed wojną, ale z całego Naddnieprza, a także z sowieckich części Podola i Wołynia. Natomiast ocalała — także w dwudziestoleciu dość duża — kolonia polska w Odessie. Do Odessy nigdy nie udało mi się dotrzeć, ale był tam jeden z moich znajomych i potwierdził informację. Poznał tam dwie starsze panie — Polki, urodzone w Odessie i mieszkające tam stale. Kolonia polska jest tu zresztą współcześnie w stanie zaniku, gdyż młode pokolenie w ciągu ostatniego półwiecza całkowicie się wynarodowiło.

To samo da się powiedzieć o skupiskach polskich w Moskwie i Leningradzie, z przedstawicielami których osobście zetknąłem się w czasie pobytów w tych miastach. Represje lat trzydziestych dotknęły tu także wiele osób, ale nie objęły Polaków jako całości. Podobnie jak w Odessie, proces wynarodowienia obejmuje tu całe młode pokolenie.

Inaczej jest natomiast w Mińsku. Zachodziłem w czasie pobytu w tym mieście do znajdującego się na cmentarzu kalwaryjskim jedyne go czynnego na wschodniej Białorusi kościoła katolickiego. Dotarłem tą drogą do stosunkowo licznych miejscowych Polaków. Jest ich w stolicy Białorusi — jak sami określają — 80 tysięcy. Ale przybyli tu po wojnie i pochodzą z dawnych polskich województw poleskiego, nowogródzkiego i wileńskiego. Brak wśród nich inteligencji. Są to wyłącznie robotnicy. Nie mają nawet świadomości, że przed nimi, w dwudziestoleciu, byli tu także Polacy. Tę świadomość spotkałem natomiast wśród inteligencji białoruskiej. Wielu jej przedstawicieli pamiętało, że przed wojną mieszkali w Mińsku także Polacy, że w okolicy było wiele wsi polskich (głównie dawnych zaścianków), istniały polskie szkoły, a w Mińsku była nawet wyższa uczelnia z polskim językiem wykładowym, Instytut Pedagogiczny (kształcący nauczycieli szkół polskich). Rozmówcy moi pamiętali też, że wszystko to zniknęło gdzieś na krótko przed wojną. Jeden z nich opowiedział mi rzecz mrozącą krew w żyłach. Otóż zaraz po wojnie, w czasie studiów, mieszkał jakiś czas w domu akademickim w jednym pokoju z Polakiem, byłym wychowankiem domu dziecka. Gdy już dobrze się poznali i zaprzyjaźnili, Polak opowiedział mu w tajemniczy historię swego życia. Pochodził z zaścianka położonego w pobliżu Ślucka. Otóż wiosną 1939 roku pewnego dnia nad ranem przy-

jechało do wsi NKWD. Wygarnięto wszystkich mieszkańców, podzielono na dwie grupy, dzieci i dorosłych. Dorosłych natychmiast rozstrzelano. Dzieci załadowano na auta i wywieziono do różnych domów dziecka. Współmieszkaniec mojego rozmówcy miał w 1939 roku 13 lat i był jak na swój wiek wyrośnięty. Oficer podobno chwilę się wahał, czy zakwalifikować go jako dziecko czy jako dorosłego, zanim okazał mu łaskę.

Z innym śladem losów Polaków — przedwojennych obywateli ZSSR — zetknąłem się w Wilnie. Istnieje w tym mieście Instytut Pedagogiczny mający wydział polonistyki. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dziekanem tego wydziału był absolwent analogicznego, wspomnianego wyżej Instytutu, działającego przed wojną w Mińsku, człowiek o starym, historycznym polskim nazwisku. Informatorzy moi nie znali jego przedwojennych i wojennych losów. Po 1945 roku objawił się w Wilnie i wkrótce objął wspomniane wyżej stanowisko. Podobno ma w paszporcie wpisaną narodowość rosyjską, jego żona — białoruską. Dzieci natomiast występują jako Polacy. (Jest w ZSSR takie śmieszne prawo, iż jeśli oboje rodzice mają tę samą narodowość, dzieci także muszą ją mieć wpisaną do paszportu. Jeśli natomiast małżonkowie są różnej nacji, ich dzieci mogą mieć zarówno jedną z tych dwóch, jak i jakąkolwiek inną narodowość). Dziekan, o którym mowa, znalazł się więc w sytuacji podobnej, jak wspomniana wyżej profesor Uniwersytetu Kijowskiego. Wyszedł obronnie z opresji 1938 roku, dokonując (co *nota bene* nie jest w ZSSR sprawą prostą) zmiany narodowości, zapierając się polskości. Ale jednocześnie na tyle był do niej przywiązany, iż przywrócił ją w paszportach swoich dzieci.

Tak wyglądają ślady interesującej mnie sprawy, z jakimi zetknąłem się w podróżach po ziemiach naszego wschodniego sąsiada. Nie są to ślady obfite, ani dokładnie informujące o losie rodaków mieszkających niegdyś na wschód od linii ustalonej w traktacie ryskim. Jedno jednak wynika z nich niezbicie: iż na krótko przed wybuchem wojny 1939 roku został całkowicie oczyszczony z Polaków obszar wzdłuż tejże linii sięgający kilkuset kilometrów w głąb kraju. Nie ruszono wówczas natomiast skupisk polskich położonych dalej od granicy. Jak bliżej wyglądała całość tej akcji — nie wiadomo (informacje, jakie udało się zebrać, nie pochodzą przecież od bezpośrednich świadków). Trudno także cokolwiek powiedzieć o intencjach, jakie kierowały Kremlom. Czy chodziło o wysiedlenie niepewnego elementu z przedpola frontu w ramach przygotowywanej wojny z Polską, czy był to jedynie wyraz nienawiści Stalina do naszego narodu, a wybór padł na te właśnie tereny dlatego, iż Polacy byli tu bardziej zakorzenieni, czego nie można powiedzieć o miastach leżących w głębi państwa, które nigdy wcześniej do Polski nie należały?

W każdym razie mogę stwierdzić, iż Polaka, przedwojennego mieszkańca tych terenów, nie udało mi się spotkać w Mińsku czy Kijowie (wyjątki stanowią ci, którzy zaparli się swojej narodowości, ale od nich — ze zrozumiałych względów — nawet, gdybym próbował, nie mógłbym się niczego dowiedzieć). Spotkałem natomiast takich ludzi w Moskwie i Leningradzie — a także w Kownie, Rydze czy Dyneburgu (a więc miastach, które wcielono do ZSSR w 1940 roku). Zastanawiające jest także, iż Polacy z obszarów, które znalazły się pod sowiecką okupacją po 1939 roku, wywożeni w czasie wojny tak masowo w głąb Rosji, niesłychanie rzadko spotykali się ze swymi rodakami zza przedwojennej granicy wschodniej i co więcej — z owych zetknięć nie wynieśli żadnego obrazu akcji, która musiała się odbyć w latach 1938/1939.

Tymczasem wiele wskazuje — przede wszystkim wspomnienia ks. Bukowińskiego — iż tych, którzy nie padli ofiarą mordu, wywożono w kierunku Kazachstanu i Syberii, a więc w tym samym kierunku, w jakim podążyły wkrótce transporty z okolic Lwowa i Wilna. Te ostatnie objęły po dwóch latach rezultaty umowy Sikorski - Majski. Duża część zesłańców jeszcze w czasie wojny opuściła państwo Stalina. Nie korzystali natomiast z dobrodziejstw tej umowy Polacy — przedwojenni obywatele ZSSR. Nie mogli też oni trafić do armii Andersa. Z pośrednich źródeł — tak ustnych jak i publikacji (m.in. pamiętników Putramenta) — wiem jednak, że jakaś ich część trafiła do armii Berlinga. Niektórych po wojnie wycofywano z powrotem do „ojczyzny socjalizmu”. Ale zapewne nie wszystkich. Być może żyją więc w Polsce ludzie pamiętający lata 1938/1939 na Ukrainie i Białorusi. Do nich kieruję apel o odezwanie się, o uzupełnienie bądź skorygowanie jakże skąpej mojej relacji. (Niestety jeszcze i dzisiaj nie mógłbym zamieścić jej w prasie PRL). Kieruję ów apel także do Polaków na obczyźnie, którzy w latach wojny przeszli przez „nie-ludzką ziemię” i cokolwiek wiedzą o tej sprawie. Wreszcie najważniejsi świadkowie muszą jeszcze żyć gdzieś na rozległych terenach państwa Gorbaczowa. Może *pieriestrojka* i *glasnost* stworzą warunki, iż oni również odezwą się i dadzą świadectwo prawdzie.

J. B.

Warszawa, grudzień 1987

Sprawy KULinarne

Niestety! Dystrybucja *Kultury* w kraju nadal pozostawia wiele do życzenia; numer z kwietnia 1987 dopiero niedawno dotarł do rąk piszącego te słowa, który znalazł w nim nie tylko pasjonujący

list Krzysztofa Dybciaka w obronie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Obronę tę spowodowało jedno zdanie z artykułu niejakiego Szretta ze styczniowo-lutowego numeru tegoż pisma, ocenione przez polemistę jako „zdumiewająco niesprawiedliwe i niemądre”.

Z Dybciakiem trudno polemizować, bo „młody — to wojuje” jak mawiali niegdysiejsi włościanie, gdy syn wracał w sobotni wieczór z remizy strażackiej z podbitym okiem lub brakami w uzębieniu. A poza tym porządny gość, tyle że — jak podszeptują służby informacyjne — na KUL-u stosunkowo od niedawna i choć od niejakiego Szretta lepszy, bo obserwujący rzecz z bliska, ale może i zanadto blisko, co powoduje zatrącenie perspektywy. Warto wszelako zwrócić uwagę na podstawowe punkty jego wypowiedzi, zanim przejdzie wypadnie do poszerzonych uwag o lubelskiej uczelni.

Podobno jest ona z innymi uniwersytetami nieporównywalna, bo wykłada się tu w pierwszym rzędzie teologię, biblistkę, kanonistykę. Ale także i inne porównywalne dyscypliny, a nawet w przeciwnym wypadku efekty można by oceniać na podstawie wyników. Czy te są np. na kanonistycę tak olśniewające? Niechże Dybciak odpowie — zna je przecież chyba z bliska.

Młody polemista wylicza też listę nazwisk, które mają świadczyć o naukowym poziomie uczelni w dyscyplinach porównywalnych. Szkoda, że wśród tych dziesięciu nazwisk trzy dotyczą osób emerytowanych (Zgorzelski, Sławińska, Bartoszewski), a pozostali szybko się do tej emerytury zbliżają. A gdzie ich następcy?

Wreszcie pokazuje Dybciak „Encyklopedię Katolicką” jako dowód owocnego działania. Oczywiście — jest to wielkie osiągnięcie i jego splendor sływa na całą uczelnię. Ale należy pamiętać, że jest to osobny komitet redakcyjny, wciągający do współpracy (i słusznie) także ludzi spoza uczelni. To imponujące dzieło jest zasługą władz rektorskich, które inicjatywę podjęły i potrafiły wcielić w życie. Ale czy jest zasługą uczelni, która ma przede wszystkim zadania dydaktyczne? To należałoby oceniać wedle rezultatów, tzn. publikacji przede wszystkim uniwersyteckich zeszytów naukowych, a te, pomijając ogromne opóźnienie — no, bądźmy szczerzy, tak bardzo na rynku naukowym się nie liczą.

Ale to są, ogólnie rzecz biorąc, szczegóły i chyba nie warto, by się nad nimi Dybciak ze Szrettem poszturchiwali. Chodzi o sprawę ważniejszą: o jedyną wyższą uczelnię katolicką na bezmiernym (a Rosjanin mógłby dodać „i bezdomnym”) obszarze sowietyzmu. Tylko, że stwierdzenie to, które powinno być niesione wysoko, jako sztandar, jako świadectwo najwyższej sławy i chwały, bardzo często jest używane jako... usprawiedliwienie.

Byłoby doprawdy ogromnym szczęściem móc powiedzieć: oto uniwersytet, który świeci przykładem, bo choć mniej zamożny od państwowych, chociaż osadzony w mieście raczej średnim niż dużym, co więcej — narażony na rozmaite trudności, a okresowo i represje, przewyższa poziomem nauczania tamte — bogatsze i bardziej „centralne”. Czy tak jest? Niech Dybciak uczciwie odpowie!

Oczywiście są na KUL-u świetni naukowcy, są kierunki o doskonałych osiągnięciach (np. historia kierowana przez dynamicznego prof. Kłoczowskiego), ale jest tego za mało, jak na ambicje katolickie, które by w KUL-u chciały widzieć emanację intelektualną polskiego katolicyzmu. O to chodzi, a nie o spieranie się o stopień rangi naukowej. Bo ona powinna być najwyższa. Musi być najwyższa.

Trochę historii. Uniwersytet powstał u zarania II Rzeczypospolitej ... z niczego. To oczywiście przesada, ale konieczna do unaocznienia jeszcze jednego aspektu tego wciąż na nowo „rewaloryzowanego” okresu: w kraju zniszczonym wojną, zlepionym z trzech oddzielnych części, w kraju jeszcze trochę po jarry'owskemu pozornym, gdzie dotychczas uczelnie, poza Galicją, trudno było nazwać polskimi, nie tylko natychmiast po odzyskaniu niepodległości restytuowano dawne uniwersytety, ale jeszcze zakładano nowe. W tym właśnie lubelski, położony (wówczas!) centralnie, bowiem mający centralne zadanie reprezentowania intelektualnego katolicyzmu polskiego.

To był pierwszy okres burzy i naporu, że w ogóle coś takiego udało się stworzyć, że pozyskano szereg naukowców z prawdziwego zdarzenia, że... no, jednym słowem w ciągu tych kilkunastu lat udało się nie tylko uruchomić uczelnię, ale i „postawić ją na nogi”. Na tyle, by przetrwała okupację i zaraz po niej mogła się odrodzić.

W krótkim czasie „przygotowania do stałinizmu” KUL miał kolejne świetne dni: udało mu się zgromadzić zespół uczonych, a to dzięki przechwyceniu ludzi ocalałych z obu przedwojennych kresowych uniwersytetów: Lwowa, a szczególnie Wilna. Trzeci okres — zupełnie wyjątkowy — to przetrwanie czarnych lat stałinizmu. Episkopat i władze uczelni, opierając się na ogromnym poparciu społeczeństwa, potrafiły przeprowadzić uniwersytet przez burze i nawałnice. Były to bohaterskie lata uczelni i ciekawa rzecz: nawet w najgorszych czasach potrafiła ona zachować poważny standard naukowy, a zresztą była jakaś niemówiona koalicja pedagogów i studentów: z jednej i drugiej strony szanowano wiedzę.

Władze starały się uczelnię wykastrować, ograniczyć do roli wyższego seminarium, likwidowano poszczególne kierunki, stworzono nawet w Lublinie uniwersytet konkurencyjny im. Marii Skłodowskiej-Curie. Ale KUL przetrzymał. Rozwijał się i odradzał, odrastały (i jeszcze po dziś dzień odrastają) ucięte dawniej gałęzie. Angażowano ludzi o wysokiej randze naukowej i moralnej...

Ale gdzieś tam w okresie gierkowszczyzny wystąpiły jakby pewne znamiona zastoju. Więcej uwagi poświęcać zaczęto fasadzie (w sensie dosłownym też) niż poziomowi nauczania. Proces ten pogłębił się za czasów „wojny jaruzelskiej”, kiedy zaistniała realna szansa kolejnego „przechwytywania” ludzi o wysokiej naukowej randze. Okazało się jednak, że chętniej rozbudowuje się kadrę administracyjną, a nie naukową. Kogo w tym czasie przyjęto spośród, jak to się ślicznie dziś nazywa, „samodzielnym pracowników naukowych”? Dybciaka? Świetnie — oklaski! Ale kogo jeszcze? Paru duchownych, których, zaiste, trudno posądzić o wysokie inte-

lekturalne loty. Trzeba wyraźnie powiedzieć: KUL stanął w miejscu. A stawanie w miejscu nigdy, przenigdy nie jest świadectwem rozwoju, nie mówiąc o rzukwicie. A szansa na to była. Całkiem realna. Trzeba było tylko, aby sterowali ową nową uczelnią ludzie świadomi tego, co to jest nauka, a nie tylko badawczowie i administratorzy.

Co oczywiście nie oznacza, że niepotrzebne jest budowanie i modernizowanie, że niepotrzebne jest sprawne zarządzanie maszyną, która nie tylko naucza, ale po prostu funkcjonuje ze wszystkimi swymi grubkami, materkami i łozyskami kulikowymi. To inna sprawa i dobrze, że zbudowano efektowną fasadę, choć może za tą fasadą trochę za dużo marmurów, zupełnie jak w kruchcie kościoła w Grajdolowicie. I dobrze, że się coś tam, jak podszeptują służby informacyjne, dalej buduje, podobno nawet dla ludzi, nie tylko dla splendoru.

Ale to wciąż jedna strona medalu. A druga? Wykrusza się stara, zasłużona kadra, a następców niewiele, i mizerny poziom magistrów i doktorantów, nie dorównujący warszawskim, krakowskim czy poznańskim. Wydawnictwa (pomijając rzeczoną Encyklopedię) bardzo rozmaite i obok rozpraw wybornych trócin także dużo. Gdyby zupełnie obiektywnie przypatrzeć się produkcji wydawniczej Towarzystwa Naukowego KUL, młbna by znaleźć tytuły, które nie powinny się były pojawić, bowiem nie chlubę przynoszą. I koniecznie trzeba pamiętać o tym, że właśnie plewy nieraz decydują o publicznej opinii, że widząc je zapomina się o dziełach prawdziwych i cennych.

Więc najogólniej: KUL nie może być ołtarzem wyłącznie akadryzycznym, ale sam ma emanować kadzidlane dymy wiedzy. Nie będąc bowiem ołtarzem, jest ta uczelnia kadzielnicą Kościoła polskiego. KUL jest różny od innych uczelni i te różnice zobowiązują. Jest bowiem uboższą uczelnią (ale czy naprawdę?) od państwowych, a zarazem jest od nich niepomniernie bogatsza. O co? O swobodę nauczania. O wolność poglądów. O wolność, tak — po prostu — o wolność.

A co jest wolności najgorszym zagrożeniem? Kwietyzm, wygodnictwo, zaniechanie. I pod tym względem list Dybciaka jest znamienny! Czy bowiem jest on rzeczywiście przekonany o tym, że wszystko idzie jak najlepiej w tej najlepszej uczelni? Można przypuszczać, że tak jednak nie myśli. Więc dlaczego broni? Czy uważa, że powtarzaniem, iż coś jest blaż dokona się tego, że to coś istotnie przestanie być czarnym? I czy uważa, że jeśli się narwie czerność czernością, to dokonuje się rzeczy karygodnej? Gorzej — niemądrej?

Można zrozumieć, że organy, instytucje i inne mechanizmy władzy nie lubią krytyki, że — o ile to możliwe — nie dopuszczają do niej. I pamiętać też należy, że w sytuacji „drzwi zamkniętych” w życiu politycznym i światopoglądowym działać zaczyna prawo naczyń połączonych. Tymczasem pytanie retoryczne lecz faktyczne brzmi: czy ktoś lub coś może i powinno być wyłączone z krytyki? Odpowiedź wydaje się jednoznaczna.

A za tym idą konsekwencje! Nie ten prawdziwie miluje, co

jeno chwali, a jeszcze mniej ten, który klaszcze. W PRL naprawdę konieczne jest przeprowadzenie reedukacji społecznej, nauczenie tych, których nie nauczono lub nawet zatruto antyetyką społeczną, czym jest wolne społeczeństwo. Chcemy się „wybić na niepodległość”? Ale czym? Klaskaniem? Kadzidłem?

Do życia w kraju wolnym trzeba być przygotowanym, trzeba nań zasłużyć. Poruszony tu wycinek krytyki i chwalby to tylko jeden z wielu. Ale ważny. I trzeba go wyłożyć, by nie tylko tych, których tego nie nauczono, ale i tych, co o tym zapomnieli, oświecić: krytyk nie jest wrogiem. Wręcz przeciwnie: jest on niezbędnym bezpiecznikiem, jest dzwonkiem nie niedzielnym, lecz alarmowym, który przestrzega przed szkodą. A to w ogóle Polakom potrzebne, zbyt już bowiem długo uczą się ze szkód, przy czym wcale nie widać, by byli po nich mądrzejsi. Krytyki są rozmaite — krytyka dla krytyki jest jak sztuka dla sztuki — po jakimś czasie zaczyna funkcjonować jako eksponat muzealny.

Istnieje jednak krytyka, która wynika z troski. Czyli — z miłości. Bo miłością nie jest zachwyty — służą pożądaniam. Miłość to przede wszystkim troska.

I — jeśli znam Szretta — to naprawdę nie ma w tym żadnego interesu, by to co jest po naszej stronie, to znaczy po stronie wolności i sprawiedliwości, krytykować. Nikt za nim nie stoi i — co gorsze — nikt mu za to nie płaci (a w każdym razie oszczędnie), by krytykował. On — pod hajrem — czyni to z troski i jedynie z troski.

Za to z pełną radością może życzyć. KUL-owi zaś życzy, by się na nim wiedza krzewiła, jak na żyznej glebie, by uczonym tam pracującym przybywało bobków (czyli laurów), nie takich wszelako, co się na głowę wciska, ale takich, które się ustawia na półkach bibliotek. I życzę gwałtownego przyrostu młodej kadry, o ile możliwości własnego chowu. A jeszcze i tego życzyć należy, by cała administracja, intendentura, urzędnicy, drukarze, budowlańcy byli jak najlepsi i jak najsprawniejsi. I tyle tylko, by w swym marszu ku świetlanej przyszłości uczelni nie zdeptali w tłumie profesorów!

Józef SZRETT

KOMUNIKAT SPOŁECZNEJ RADY WYDAWNICTW NIEZALEŻNYCH

(...) Zadaniem Rady jest:

1. Okresowe zapoznawanie się ze sprawozdaniami z działalności wydawnictw skupionych w tzw. Konsorcjum oraz innych korzystających z dotacji przyznawanych przez FWN. Termin Konsorcjum oznacza obecnie przedstawicieli 9 największych wydawnictw decydujących o sposobie rozdziału środków FWN.

2. Formułowanie stanowiska w ważnych kwestiach niezależnego ruchu wydawniczego jak na przykład: polityki wydawniczej, polityki cen, stosunków między wydawcami a autorami, kolportażu itp.

3. Wypowiadanie się w kwestiach problemów społecznych i etycznych wyłaniających się w działalności niezależnego ruchu wydawniczego.

4. Opiniowanie planów działalności wydawnictw w razie potrzeby.

Jak z tego wynika, Rada nie ma i nie rości sobie prawa do decydowania czy zatwierdzania decyzji w przedmiocie rozdziału dotacji finansowych, planów wydawniczych, nakładów książek i czasopism, profilu wydawnictw. Nie uczestniczy ona również w podejmowaniu rozstrzygnięć dotyczących bieżącego kierowania wydawnictwami.

Na swym pierwszym posiedzeniu w roku 1988 SRWN (...) doszła do wniosku, że istnieje pilna potrzeba pracy nad ulepszeniem systemu podejmowania decyzji dotyczących polityki finansowej Wydawnictw Niezależnych. Dla przykładu celem, do którego należałoby zmierzać byłoby stworzenie oddzielnego od bezpośredniego zarządzania wydawnictwami ciała odpowiedzialnego za rozdział środków pochodzących z FWN. Potrzeba ta powstaje w szczególności w związku z rozszerzeniem składu Konsorjumu do dziewięciu członków w roku 1988 i perspektywą poszerzenia jego składu o następnych 5 członków. Rada rozumie, że wysokość dotacji dla 6 członków-złożycieli Konsorjumu nie będzie przekraczać w roku 1988 45 % całości Funduszu.

Spoleczna Rada Wydawnictw Niezależnych przypomina, iż podstawowymi zasadami obowiązującymi w niezależnym ruchu wydawniczym są: respektowanie praw autora (tłumacza) i integralności tekstu. Czasopisma nie są od tych zasad wyłączone.

Regułą powinno być uzyskanie od autora lub prawnego dysponenta tekstu zgody na publikowanie dzieła. W warunkach, w jakich pracuje niezależny ruch wydawniczy, wiele dzieł ukazuje się w formule: „bez zgody i wiedzy autora”, co jest całkowicie zrozumiałe i właściwe. Wydawanie w tej formule nie pozbawia wszakże autora prawa do wynagrodzenia autorskiego, a wydawnictwa nie zwalnia z ciągących na nim obowiązków.

Regułą powinno być także wydawanie tekstów w ich integralnej całości. Odstępstwa od tej reguły (np. skróty, wybór fragmentów, opuszczenia przypisów, przedmów itd.), które mogą mieć niekiedy uzasadnienie edytorskie, powinny jednak być wyraźnie zaznaczone i wytłumaczone.

Rada wyraża opinię, że kwoty niewypłaconych honorariów autorskich (np. autorów, którzy zrzekli się honorariów) należy traktować jako dotacje udzieloną wydawnictwu.

Wydawnictwa nie stosujące się w swojej praktyce do powyższych zasad nie powinny korzystać z dotacji FWN.

Rada wyraża również opinię, że istnieje pilna potrzeba przedyskutowania zasad rządzących kolportażem książek i czasopism oraz podjęcia kroków zapewniających zwiększenie zainteresowania materialnego kolporterów ich ważną pracą.

Styczeń 1988

KONKURS NA PLAKAT

z okazji 70-tej rocznicy odzyskania niepodległości

Duszpasterstwo Środowisk Twórczych we Wrocławiu i Duszpasterstwo Ludzi Pracy w Legnicy ogłaszają pod patronatem Jego E. Ks. Kardynała Henryka Gulbinowicza, Metropolity Wrocławskiego, ogólnopolski konkurs

na plakat z okazji 70-tej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę.

Cel konkursu:

1. budzenie świadomości historycznej,
2. podkreślanie ciągłości dziejów ojczystych,
3. kształtowanie uczuć patriotycznych.

W konkursie mogą wziąć udział **WSZYSCY** — plastycy zawodowi, amatorzy i dzieci, w kraju i za granicą. Termin nadsyłania prac w Polsce do 30 kwietnia 1988 roku; dla uczestników mieszkających poza krajem — do 20 maja 1988 roku.

Plakaty nadesłane na konkurs muszą być oznaczone godłem oraz posiadać zaklejoną kopertę oznakowaną godłem i zawierającą wewnątrz kartkę z godłem, tytułem pracy, adresem, imieniem i nazwiskiem oraz krótką biografią twórcy.

Organizatorzy powołują jury, które dokona kwalifikacji prac i przyzna nagrody. W konkursie przewiduje się następujące nagrody:

- I. — 30.000 zł
- II. — 20.000 zł
- III. — 15.000 zł

oraz 5 wyróżnień po 7.000 zł.

U w a g a: Jury zastrzega sobie prawo dokonania innego podziału nagród, pod warunkiem zachowania ogólnej sumy przeznaczzonej na nagrody. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo bezpłatnego reprodukowania i publikowania nadesłanych prac.

Publiczne wystawienie prac konkursowych nastąpi w trakcie VII Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w Legnicy, który odbędzie się w dniach 22-29 maja 1988 roku oraz podczas XI Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu w październiku 1988 roku. Wręczenie nagród nastąpi w dniu 29 maja 1988 roku. Po tym terminie przewidujemy pokaz prac konkursowych w innych miastach Polski.

U w a g a: prace nadesłane na konkurs stają się własnością DLP w Legnicy.

Adres, na który należy kierować prace konkursowe w kraju:

**KS. WŁADYSŁAW JÓŻKÓW — DUSZPASTERZ DLP
PARAFIA PW. ŚWIĘTEJ TRÓJCY W LEGNICY
UL. II ARMII WOJSKA POLSKIEGO 33.**

Adres, na który należy kierować prace spoza kraju:

**ANNA I BOGDAN ZMORZYŃSCY
SCHNEVERDINGER WEG 1
2100 HAMBURG 90.**

Sprawy i troski

Ankieta "Kultury"

Do Polaków,
którzy opuścili kraj po 13 grudnia 1981 roku

DLACZEGO JESTEM NA ZACHODZIE

Polacy ponownie masowo opuszczają ojczyznę. Wiele snuje się na ten temat przypuszczeń i wiele wydaje się pośpiesznych ocen. Jedni oskarżają nowych emigrantów o zdradę, małoduszność lub poszukiwanie łatwego chleba, inni mają żal, że porzucili kraj rodzinny, ale nikt nie zapytał Was, emigrantów, o wasze racje.

Kultura, najstarszy miesięcznik społeczno-kulturalny emigracji polskiej, który powstał wówczas, gdy zwycięscy żołnierze spod Monte Cassino wybierali tułaczkę w wynędzniałej po wojnie Europie, zwraca się do Was, najnowszych emigrantów, o odpowiedź, dlaczego zdecydowaliście się na opuszczenie Polski.

• Odpowiedzcie masowo na Ankietę. Niech wszyscy dowiedzą się, z jakich powodów, po czterdziestu latach „realnego socjalizmu”, tysiące Polek i Polaków decyduje się na emigrację.

Ankiety należy nadesłać do 31 maja 1988 roku na adres:
„KULTURA”, 91, AVENUE DE POISSY, LE MESNIL-LE-ROI,
78600 MAISONS-LAFFITTE, FRANCE.

Wszystkim uczestnikom Ankiety oraz osobom, które zechcą szerzej opisać swoją sytuację, gwarantujemy pełną anonimowość. Wyniki ankiety zostaną ogłoszone w *Kulturze*.

UWAGA: Prosimy o podkreślenie właściwej odpowiedzi w każdym pytaniu lub też o udzielenie obszernej odpowiedzi pisemnej.

REDAKCJA KULTURY

1. Czy na tle ogólnych warunków życia w Polsce swoją sytuację materialną oceniał Pan(i) jako:

1. dobrą 2. średnią 3. złą 4. beznadziejną
ani dobrą ani złą

2. Co składało się na Pana(i) dochody w Polsce:

1. wynagrodzenie z głównego miejsca zatrudnienia
2. wynagrodzenie z drugiego, oficjalnie wykonywanego zajęcia
3. dochody z pracy wykonywanej „na czarno”
4. honoraria i inne nieregularne dochody
5. pomoc rodziny zamieszkałej w kraju
6. pomoc z zagranicy
7. inne:

3. Czy swoje wynagrodzenie za pracę w stosunku do średniej krajowej oceniał Pan(i) jako:

1. wyższe 2. takie same 3. niższe

4. Czy stosunki międzyludzkie panujące w miejscu pracy oceniał Pan(i):

1. z przełożonymi jako: dobre nijakie złe
2. z kolegami, jako: dobre nijakie złe
koleżankami

5. Czy Pana(i) współmałżonek miał stałe zatrudnienie w Polsce:

1. tak 2. nie 3. nie dotyczy

6. Czy pozostając w Polsce miałby Pan(i) szanse na urzeczywistnienie swoich pragnień życiowych:

1. tak 2. nie 3. trudno powiedzieć

7. Czy w Polsce mieszkał Pan(i):

1. we własnym mieszkaniu (kwaterunkowym, spółdzielczym, własnościowym)
2. u rodziców, teściów
3. w wynajętym mieszkaniu lub pokoju
4. inaczej, gdzie

8. Ile m² przypadało na jedną osobę w mieszkaniu przez Pana(ią) zajmowanym:
9. Czy swoje warunki mieszkaniowe w Polsce ocenia Pan(i) jako:
1. komfortowe 2. zadowalające 3. straszne
10. Czy w Polsce posiadał Pan(i):
1. telewizor biało-czarny kolorowy
2. lodówkę
3. adapter, magnetofon
4. pralkę mechaniczną automatyczną
5. magnetowid
6. samochód, od ilu lat
11. Pozostając w Polsce, który lub które z wyżej wymienionych przedmiotów miał Pan(i) ochotę kupić:
12. Czy pozostając w Polsce mógłby Pan(i) zrealizować to pragnienie:
1. łatwo 2. za cenę wyrzeczeń 3. w żadnym przypadku
13. Czy po 13 grudnia 1981 roku był Pan(i) prześladowany politycznie i policyjnie:
1. tak 2. nie
Jeśli tak, to na czym to polegało:
14. Czy ktoś z Pana(i) bliskiej rodziny (współmałżonek, rodzice, rodzeństwo, dzieci) był prześladowany politycznie lub policyjnie:
1. tak 2. nie
Jeśli tak, to na czym to polegało:

15. Dlaczego chce Pan(i) pozostać na Zachodzie:
16. Co było źródłem Pana(i) wiedzy o Zachodzie:
1. informacje od osób mieszkających na Zachodzie
 2. bezpośrednie doświadczenie zdobyte podczas poprzednich wyjazdów
 3. rozgłośnie zagraniczne
 4. prasa i książki wydawane na Zachodzie
 5. rządowa propaganda
 6. inne, jakie
17. Czy w Pana najbliższym otoczeniu panowała opinia, że należy:
1. z Polski wyjechać
 2. w Polsce pozostać
 3. nikt nie miał zdecydowanego zdania
18. Z kim Pan(i) dyskutował decyzję wyjazdu z Polski lub pozostania na Zachodzie:
19. Kto z bliskich Pana(i) osób (krewnych, przyjaciół, znajomych) przebywał już na Zachodzie:
od jak dawna:
20. Jaki typ kontaktu był z nimi utrzymywany:
1. korespondencja
 2. paczki, przekazy pieniężne
 3. gościli u Pana(i) w Polsce
 4. był Pan(i) przez nich zapraszany
 5. inne, jakie
 6. nie było żadnych kontaktów
 7. nie dotyczy
21. Czy przed wyjazdem z Polski znał Pan(i) język choć jednego z krajów zachodnich:
1. tak, biegle
 2. tak, słabo
 3. nie

22. Czy z Polski wyjeżdżał Pan(i):
1. sam 2. z rodziną 3. z przyjaciółmi
23. Czy po przyjeździe na Zachód spodziewał się Pan(i) pomocy od:
1. krewnych
2. instytucji polonijnych
3. polskich misji katolickich
4. przyjaciół, znajomych
5. instytucji charytatywnych
6. państwa, w którym się Pan(i) osiedlił
7. na żadną pomoc Pani(i) nie liczył
24. Czy z Polski wyjeżdżał Pan(i) jako:
1. legalny emigrant
2. z kontraktem pracy, za zgodą zwierzchników
3. z paszportem służbowym na krótki pobyt
4. z paszportem turystycznym
5. inaczej, jak:
25. Czy swój wyjazd z Polski traktuje Pan(i) jako:
1. definitywny
2. jako tymczasowy, planowany na kilkanaście lat
3. jako doraźny
4. trudno powiedzieć, decyzja jeszcze nie zapadła
26. Jaka jest Pana(i) sytuacja prawna wobec władz kraju, w którym obecnie Pan(i) mieszka:
1. obywatel
2. uchodźca polityczny
3. tymczasowa karta pobyłowa
4. wiza turystyczna
5. obóz przesiedleńczy
6. inna, jaka:

27. Które z poniższych opinii są Panu(i) najbliższe:

- każdy człowiek ma prawo żyć tam, gdzie uzna za stosowne
- tylko na Zachodzie mogą zrealizować swoje marzenia i plany osobiste
- na emigracji można skuteczniej walczyć o interesy Polski niż pozostając w kraju
- pierwszym obowiązkiem człowieka jest troska o rodzinę
- w Polsce wszystko zależy od państwa, tu na Zachodzie — wszystko ode mnie
- Polska, to kraj strachu i beznadziei, w którym nie zausi się na jakąkolwiek zmianę
- emigracja to klęska duchowa, ale jednocześnie poprawa warunków materialnych
- nie ma żadnego znaczenia, gdzie mieszkam, bo i tak pozostanę Polakiem

Dane osobiste

28. Płeć

29. Rok urodzenia

30. Wykształcenie

31. Kierunek studiów

32. Czy w Polsce pracował Pan(i) ostatnio w:

1. instytucji lub przedsiębiorstwie państwowym
2. zakładzie spółdzielczym
3. przedsiębiorstwie prywatnym
4. własnym gospodarstwie lub przedsiębiorstwie
5. gdzie indziej:
6. nigdzie, zajęcia dorywcze

33. Przynależność partyjna i związkowa przed 13 grudnia 1981 roku
34. Stan cywilny
35. Liczba dzieci
36. W jakim wieku są dzieci
37. Ostatnie miejsce zamieszkania w Polsce
(Prosimy o podanie miejscowości i województwa)
38. Data wyjazdu z Polski
39. Obecny kraj zamieszkania
40. Czy chce Pan(i) zmienić kraj zamieszkania:
 1. tak — zdecydowanie
 2. tak, ale zależy to będzie od warunków
 3. nie
41. Jeśli tak, to na jaki kraj i dlaczego:



LEKARSTWA
BONY DOLAROWE
dewizowe konta bankowe A
HASKOBA Ltd
81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919

MONACHIJSKI KLUB IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO

W połowie 1986 roku ukonstytuował się w Monachium Klub polityczno-dyskusyjny, którego celem jest między innymi rozwijanie polskiej niepodległościowej myśli polityczno-publicystycznej, obrona prawdy historycznej, popieranie badań z zakresu polskiej kultury i tradycji, współpraca z demokratycznymi ugrupowaniami reprezentującymi narody znajdujące się pod panowaniem sowieckim. Na obszarze Republiki Federalnej Niemiec Klub współpracuje ze wszystkimi, którzy popierają ideę Europy demokratycznej, wolnej i zjednoczonej.

Przewodniczącym Klubu jest Tadeusz Nowakowski, a I wiceprzewodniczącym — Włodzimierz Odojewski.

Klub przybrał imię wybitnego publicysty emigracyjnego, Juliusza Mieroszewskiego. Utworzenie Klubu zbiegło się z dziesiątą rocznicą Jego śmierci.

Klub im. Mieroszewskiego został zarejestrowany według przepisów Republiki Federalnej Niemiec („*eingetragener Verein*”) i posiada status Towarzystwa Użyteczności Publicznej.

Klub stoi na gruncie poglądów pluralistycznych i nie jest związany z żadnym ugrupowaniem politycznym ani z żadną instytucją w Kraju ani na emigracji.

Do Klubu mogą należeć osoby utożsamiające się z jego celami i legitymujące się działalnością niepodległościową. Warunkiem przyjęcia do Klubu jest ponadto posiadanie rekomendacji przynajmniej dwóch członków-założycieli. O przyjęciu kandydata decyduje zarząd.

NIEKTÓRE IMPREZY KLUBOWE 1986/1987/1988

— Dyskusja „Czym jest dzisiaj pojęcie niepodległości?” (referat wstępny: Jeremi Sadowski, koreferat: J. Iranek-Osmecki, wieczór odbył się 24 października 1986).

— „Czy Rząd RP w Londynie jest nam jeszcze potrzebny?” (dyskusja o perspektywach legalizmu z udziałem ministra d/s emigracji w Rządzie RP p. Z. Scholtza, wieczór odbył się 10 listopada 1986).

— Otwarte spotkanie z Tadeuszem Nowakowskim (ok. 300 widzów) w przeddzień wyjazdu „Reportera Papieża” z Janem Pawłem II do Australii, we współpracy z Polską Misją Katolicką, Solidarnością Wolnych Polaków w Bawarii i Kołem Monachijskim Polskiej Partii Socjalistycznej. W imprezie wzięli udział aktorzy polscy pracujący w Monachium.

— Spotkanie z Zarządem Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego (22 listopada 1986) i ustalenie planów współpracy.

— 40-lecie *Kultury* i Instytutu Literackiego w Paryżu: wieczór poświęcony życiu i publicystyce Juliusza Mieroszewskiego (referaty: Andrzej Borzym, Jacek Kaczmarski, Józef Ptacek, spotkanie odbyło się 5 grudnia 1986).

— „Otto Schimek — bohater czy legenda?” Z problematyki pojednania polsko-niemieckiego. Wieczór w języku niemieckim. Impreza zorganizowana wspólnie z Katholischer Verein e. V. Referat wprowadzający: J. Marchwiński (spotkanie odbyło się 16 stycznia 1987).

— Co się dzieje w Polsce — prąsówka i wieczór klubowy o aktualnej sytuacji w Kraju (5 lutego 1987).

— Prasa podziemna i prasa oficjalna PRL o sprawie naszych wschodnich granic i o stosunkach ze wschodnimi sąsiadami Polski (wieczór odbył się w lutym 1987, został zorganizowany wspólnie z Towarzystwem Polsko-Ukraińskim, referaty wygłosili Włodzimierz Odojewski i Wiesław Wawrzyniak).

— „Polityka wschodnia Watykanu” — odczyt i dyskusja. Prelegent: Dominik Morawski, wieczór zorganizowany wspólnie z Towarzystwem Polsko-Ukraińskim (28 czerwca 1987).

— „Czy Zachód przetrwa... Michaiła Gorbaczowa? — dyskusja z udziałem Leopolda Ungera (28 maja 1987).

— „Biali kurierzy” — spotkanie z Markiem Celtem, który był w roku 1940 wysłannikiem Rządu RP na tereny Zachodniej Ukrainy zajęte przez ZSSR. Imprezę zorganizowano wspólnie z Polską Misją Katolicką i Samodzielnym Kołem AK w Niemczech Zachodnich. Prezentacja fragmentów prozy w wykonaniu aktorów polskich mieszkających w Monachium (24 maja 1987).

— Spotkanie ze Stefanem Kisielewskim, który mówił o powstaniu pisma *Res Publica* oraz o perspektywach powołania Towarzystwa Przemysłowego i Towarzystwa Gospodarczego (sierpień 1987).

— Spotkanie z Bolesławem Sulikiem, współautorem 9-godzinnej serialu brytyjskiej telewizji pt. „Struggles for Poland”, który wywołał spór wśród społeczności polskiej w Londynie. Spotkanie miało burzliwy przebieg i wywołało ożywioną dyskusję.

— *Pieriestrojka i głasnost'* — co to dla nas oznacza? Spotkanie z prof. Bohdanem Osadczukiem, obserwatorem „szczytu” Reagan-Gorbaczow (luty 1988). Wieczór zorganizowany wspólnie z Ukraińskim Klubem „Porozumienie i Współpraca”.

— Dr Siegfried Lammich, jedyny zachodni obserwator procesu zabójców ks. J. Popiełuszki, odpowiada na pytania — wieczór polityczny na temat zagadnień prawa polskiego i prawa krajów komunistycznych.

— Spotkanie z Horstem Bienekiem (4 marca 1988).

KONFISKATA „SŁOWA OJCZYSTEGO”

Aspektem burzy, rozpetanej w polskim Londynie po emisji serialu dokumentalnego pt. „Zmagania o Polskę” („Struggles for Poland”) jest sprawa *Słowa Ojczystego*. Ten ilustrowany magazyn, poświęcony problemom polskiej oświaty i kultury, jest organem Polskiej Macierzy Szkolnej. W *Słowie Ojczystym* z jesieni 1987 roku redaktor, Jerzy Samborski, wystąpił z obszernym komentarzem na temat „Struggles for Poland” pt. „Lekcja historii”. Píše tam między innymi: ... „Film nie jest płaską i banalną gloryfikacją Polski, Polaków i ich historii. Przeciwnie — często dotyka najszybszych, zenujących i bolesnych prawd. Czasami komentarz towarzyszący przedstawianym obrazom jest nawet, w naszym odczuciu, niesprawiedliwy i krzywdzący. Ale nie zmienia to faktu, że serial przedstawia polską rzeczywistość, czy nam się to podoba, czy nie. Przedstawia nas takimi, jakimi nas widzą obcy. I tacy właśnie — a nie inni — jesteśmy”. ... I w konkluzji: ... „Brek

perspektywicznego spojrzenia, nieumiejętność podjęcia właściwej decyzji we właściwym czasie, nieudolność w przewidywaniu i ocenie rozwoju sytuacji, spóźniony refleks i brak koordynacji w działaniu decydowały o kolejnych klęskach i niepowodzeniach Polski. „The Struggles for Poland” i reakcja polskich odbiorców są dobitnym dowodem na to, że niedowład polskiego myślenia nie został jeszcze przewyciężony”...

W pewien czas po ukazaniu się tego numeru *Słowa Ojczyściego* przez Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Wielkiej Brytanii, p. Czesław Zychowicz, osobiście poinformował Zarząd Główny PMS i redaktora Samborskiego o decyzji władz CPK wycofania numeru jesiennego ze sprzedaży w księgarniach Stowarzyszenia. Powodem miały być ton i treść wypowiedzi redakcji pt. „Lekcja historii”.

Sprawa znalazła swój epilog na szerszej platformie. Tłumaczenie angielskie „Lekcji historii” zostało opublikowane w „Index on Censorship” — pisma walczącego z cenzurą na całym świecie. Komentarz wprowadzający napisał Neal Ascherson, felietonista, komentator polityczny i współredaktor *Observer’a*.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

Blisko 400 tytułów w ciągłej sprzedaży — w tym

90 znacznie przecenionych.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na życzenie.

Stodieck's Buchhandlung,

Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.

Tel.: (030) 341 10 40

O religii bez namaszczenia

Katolicyzm w kulturze politycznej Polski

Katolicyzm jako czynnik przemian w kulturze politycznej może być analizowany w trzech uzupełniających się wymiarach:

1. idee i wartości moralne katolicyzmu oraz ich wpływ na postawy, opinie i zachowania polityczne różnych grup obywateli (wymiar ideowy);
2. działalność Kościoła jako instytucji hierarchicznej skurczającej kapłanów i zakonników oraz jej wpływ na działanie partii i aparatu państwa, będących podstawą hierarchii władzy (wymiar hierarchiczno-instytucjonalny);
3. działalność Kościoła jako wspólnoty wierzących, którzy w życiu świeckim bronią swoich praw obywatelskich oraz wywierają wpływ na interesy, wartości i działania osób nie wyznających religii katolickiej (wymiar aktywności świeckiej).

Nawet krytycy katolicyzmu nie mogą zaprzeczyć, że w pamięci społecznej współczesnych Polaków katolicyzm (jako idea, hierarchia i wspólnota) jest utrwalony jako obrońca tradycji, godności i praw ludzkich. Rola obrony dobra przed złem jest więc postrzegana jako obrona dobra dawnego przed nowym złem, jako obrona tradycji przed różnymi próbami modernizacji. Pamiętają Polacy głosy przestrogi, aby nie ulegać jednostronnej fascynacji tym co nowe i w imię utopijnych nadziei nie przekreślać tego co jest dorobkiem, wyrazem ciągłości i tożsamości.

Obraz katolicyzmu rozpina się więc w ramie, której cztery kąty stanowią: a) tradycja *versus* utopie modernizacji, b) ciągłość zmian ewolucyjnych *versus* rewolucyjne zerwanie ciągłości, c) tożsamość religijna, kulturowa i. na-

rodowa *versus* utrata tożsamości przez przyjęcie obcych wzorów narzucanych siłą lub przez manipulację świadomością, d) prawa podmiotowe osoby, rodziny i narodu *versus* przedmiotowe i instrumentalne traktowanie ludzi przez instytucje świeckie.

1. *Katolicyzm w tysiącletniej historii: z narodem czy z państwem?*

Obrona tradycji dotyczyła wierzeń religijnych, bowiem przez kilka stuleci katolicyzm istniał w Polsce jako jedno z wielu wyznań religijnych. Liczna mniejszość żydowska oraz ponad 120 lat zaborczej dominacji Rosji i Prus sprawiły, że katolicy musieli współistnieć z licznymi wyznawcami judaizmu, protestantyzmu i prawosławia. Ta długa tradycja pluralizmu religijnego jest źródłem tolerancji dla innowierców, a nawet dla heretyckich odłamów katolicyzmu. Jednakże współistnienie różnych religii nie było, również w latach 1918-1939, wolne od konfliktów. Przeważała tolerancja, lecz przecież katolicy polscy bronili się przed utratą tożsamości narodowej, a nie tylko przed innymi formami religijności. Inne niż katolicyzm religie były na ogół wyznawane przez niepolskie grupy etniczne: judaizm był wiarą niemal wyłącznie Żydów, prawosławie poza Rosjanami obejmowało też większość Ukraińców i Białorusinów oraz wielu Litwinów, natomiast protestantyzm był religią Niemców, Austriaków i Czechów, do której przylączyły się jedynie nieliczne grupy ludności polskiej. Nie był to więc pluralizm religii w jednym narodzie, lecz raczej pluralizm kultur różnych narodów i różnych religii. Polacy nie byli jako naród wewnętrznie podzieleni religijnie. Jako religijnie homogeniczna wspólnota kulturowa współżyli na tym samym terytorium z innymi, choć niekoniecznie obcymi, grupami etniczno-religijnymi. Stąd prawda o polskim doświadczeniu ma dwa oblicza. Z jednej strony — tradycje tolerancji, aktywnego przystosowania do wielości religii i obyczajów, pamięć o tym, że Polska była krajem bez wojen religijnych, bez stosów i bez polowań na czarownice¹. Z drugiej strony — silne religijne zabarwienie obronnego nacjonalizmu prowadzące do autorytarnej myśli narodowych demokratów i stereotypu Polak = katolik.

Być „prawdziwym” Polakiem przez większość 1000-letnich dziejów znaczyło być katolikiem. Związki katolicyzmu z państwem i z narodem można opisać jako ewolucję przesuwającą Kościół od roli fundamentu państwa (X-XVIII wiek) do roli czynnika integracji narodowej, sumienia narodu i symbolu kon-

1. Tazbir J., *Państwo bez stosów*, Warszawa 1967. W Polsce tylko raz wykonano wyrok śmierci za opinię, że nie ma Boga (w 1689 roku).

tynuacji tożsamości narodowej (od końca XVIII wieku do 1918 roku). Lata międzywojenne (1918-1939) to częściowo udana próba odzyskania roli kulturowego fundamentu państwa i utrzymywania roli obrońcy wartości narodowych. Ta oscylacja między państwem i narodem była też oscylacją między elitami władzy a ludem złożonym z chłopów, drobnomieszczaństwa i robotników. Dopiero po 1945 roku katolicyzm stawał się kościołem narodowym, a potem ludowym.



I. Dopóki istniało niepodległe państwo polskie, katolicyzm był czynnikiem państwowotwórczym: w wielu sferach życia publicznego miał niemal monopolistyczną pozycję. Powstanie państwa polskiego i wprowadzenie katolicyzmu w końcu X wieku to zjawiska równoczesne. Historia państwa i katolicyzmu zaczęła się w Polsce razem, a dopiero od rozbiorów i likwidacji państwa katolicyzm musiał żyć odrębnie i jego przywódcy szukali zbliżenia z narodem.

Od 1000 roku, gdy stworzono pierwszą w Polsce prowincję kościelną ze stolicą w Gnieźnie, do końca XII wieku Kościół był uzależniony od książąt z rodu Piastów rządzących państwem. Przez dwa wieki państwo decydowało o przyznawaniu urzędów kapłańskich. Wyjęcie duchownych spod sądownictwa świeckiego (1210 rok), a potem wprowadzenie struktur parafialnych i celibatu zwiększało autonomię Kościoła wobec państwa. Kazimierz Wielki i Kazimierz Jagiellończyk odzyskali co prawda decydujący głos przy powoływaniu księży na stanowiska biskupów, ale nie powstrzymało to wzrostu wpływu Kościoła na kulturę polityczną i na samo państwo.

Również dynamizm kościelnej kontrreformacji (XVI wiek) walczącej z protestantyzmem i prawostawiem przyniósł zwycięstwo katolikom, chociaż jego moralna cena była gorzka i niebezpieczna dla humanistycznych idei tolerancji (np. kłątwa episkopatu z 1577 roku przeciw decyzji konfederacji szlacheckiej, która cztery lata wcześniej dała szlachcie wyznań niekatolickich równouprawnienie polityczne w państwie oraz swobodę wyznawania i upowszechniania swych wierzeń religijnych; organizowanie bezprawnych napadów na innowierców mimo iż decyzje sejmowe kolejno w latach 1593, 1596 i 1598 potępiały przemoc fanatyków). Jednakże Polska jako jeden z nielicznych krajów w XVI-XVII stuleciu uniknęła wojen religijnych.

Kapłani katolicy kontrolowali do XVIII wieku główne ośrodki decyzji w polityce zagranicznej i wewnętrznej państwa. Wymiar sprawiedliwości i oświata w szlacheckiej Rzeczypospolitej były pod szczególnie silnym wpływem katolicyzmu. Król i szlach-

ta, jako klasa polityczna na mocy zwyczajów, musieli dawać publiczne świadectwo swej wierności katolicyzmowi. Trafnie przypomniał prof. Joachim Kondziela, że polska szlachta kształciła się głównie w szkołach kościelnych, gdzie uczyła się łaciny. Zwyczaje konstytucyjne w szlacheckiej demokracji traktowały religię katolicką jako gwarancję lojalności króla wobec interesów narodowych.

II. Drugi okres tej ewolucji to epoka rozbiorów (1792-1918). Wówczas katolicyzm *musi* przejąć integracyjne obowiązki państwa: staje się symbolem tożsamości narodu i jedności terytoriów zamieszkałych głównie przez Polaków, chociaż włączonych do trzech różnych państw. Początkowo po upadku państwa hierarchia Kościoła doradzała na ogół swym wiernym konieczność podporządkowania się „legalnym” władzom Austrii, Prus i Rosji. Mimo skłonności polskiego episkopatu do trójlojalizmu, do sojuszu tronu i ołtarza, państwa zaborcze zaczęły ograniczać prawa Kościoła na ziemiach polskich. Cesarz Józef II nakazał poddawać kontroli państwowej wypowiedzi papieży i episkopatu przed ich publikacją. Rozwiązano kilkaset zakonów, a ich majątki zostały skonfiskowane. Szkoły kościelne i seminaria duchowne w zaborze austriackim przekształcono w świeckie szkoły państwowe. W zaborze pruskim rozpoczęło się w 1816 roku stopniowe przemawianie własności zakonów polskich. Duchowni katolicycy byli nadzorowani przez konsystorz protestancki, a w okresie *Kulturkampf* polscy kapłani byli systematycznie prześladowani. W zaborze rosyjskim władze carskie dążyły do odcięcia polskiego duchowieństwa od kontaktów z Watykanem, do nadzoru nad majątkiem kościelnym i nad nominacjami na stanowiska kapłańskie. Od 1801 roku zadanie te spełniało Święte Kolegium w Petersburgu, mocno uzależnione od państwa rosyjskiego².

Radykalizowało to patriotyczną opozycję niższego duchowieństwa wobec państw zaborczych. Po przegranych powstaniach zbrojnych w 1830 i 1863 roku nastąpiły konfiskaty mienia kościelnego i rozwiązano większość zakonów katolickich. Skala represji rosyjskich wobec organizacji katolickich była podobna do represji, które dotknęły społeczeństwo popierające powstania. Katolicyzm polski był z narodem tym bardziej, im dotkliwsze były porażki i cierpienia. Było to zbliżenie dramatyczne, bowiem Watykan nigdy, ani w czasie trzech rozbiorów (1792, 1793, 1795), ani w czasie powstań narodowych (1830, 1846, 1863), nie udzielił moralnego poparcia niepodległościowym dążeniom Polaków. Papieży byli wyrażnie zniechęceni „siłnym powiązaniem

2. Norman Davies, *God's Playground. A History of Poland*, vol. II, 1795 to the Present, Oxford 1985, str. 209-210.

narodowego wyzwolenia z radykalizmem społecznym” w dążeniach polskich³. Mimo to katolicyzm polski stawał się coraz gorliwszym obrońcą wartości narodowych, chociaż nadal był konserwatywny w kwestiach społeczno-gospodarczych. Patriotyzm Kościoła polskiego był niekwestionowany już po powstaniu listopadowym z 1830 roku, chociaż aż do lat 40-tych XX wieku preferował on raczej rolnictwo niż przemysł, raczej agraryzm niż industrializację jako podstawę gospodarki.

III. W latach odzyskanej niepodległości (1918-1939) katolicyzm znów uzyskał uprzywilejowaną pozycję w państwie. Konstytucja marcowa z 1921 roku dopuszczała zawarcie konkordatu między Watykanem a Kościołem rzymskokatolickim. Konkordat z 1925 roku stworzył status prawny tego Kościoła wyraźnie lepszy niż religii protestanckiej, prawosławnej i judaizmu. Katolicyzm stał się religią państwową, chociaż katolicy stanowili nie więcej niż 65 % obywateli Drugiej Republiki (w 1791 roku katolicy stanowili około 54 % obywateli państwa polskiego). Konkordat podważył konstytucyjną zasadę rozdziału państwa i organizacji religijnych, skoro Kościół katolicki miał monopol na prowadzenie w imieniu państwa akt stanu cywilnego, prawo zarządzania swymi majątkami ziemskimi i innymi w oparciu o prawo kanoniczne a nie prawo państwowe, prawo wyłączenia części swych majątków spod parcelacji w ramach reformy rolnej, prawo duchownych do podlegania wyłącznie jurysdykcji kościelnej, prawo do otrzymywania dotacji państwowych. Wbrew konstytucyjnej zasadzie wolności sumienia konkordat wprowadził przymus nauczania religii we wszystkich szkołach podstawowych i średnich. Jedynie w szkołach wyższych nie istniał prawny obowiązek pobierania nauki religii. Głównym uprawnieniem państwa było prawo sprzeciwu prezydenta wobec mianowania biskupa, wobec którego postawiono by zarzuty natury politycznej.

Ze swego statusu korzystał Kościół instytucjonalny w sferze własności i prawa, ale nie popierał autorytarnych tendencji w polityce państwa po 1926 roku. Partia Chrześcijańska Demokracja była dość słabym ugrupowaniem centrowym, dystansującym się na ogół i od endecji i od sanacji. Również ruch chłopski, gdzie katolicyzm był silny, bronił demokracji parlamentarnej. Wzory klerykalnego fanatyzmu, a nawet jawnego antysemityzmu nie były w Kościele nurtem dominującym, chociaż np. czasopismo katolickie *Rycerz Niepokalanej* zdaje się świadczyć o czymś przeciwnym. Postawa oporu wobec okupantów w latach 1939-1945 była wspólnotą łączącą Kościół i naród w dążeniu do odzyskania

3. *Tamże*, str. 212-213. Ponad 1.000 polskich ksiąg było zesłanych na Syberię przez władze rosyjskie w latach 1864-1914.

niepodległego państwa. Ojciec Maksymilian Kolbe swym heroicznym czynem dał temu świadectwo najbardziej spektakularne. I jego biografia najlepiej wyraża też dwoistość kulturową polskiego katolicyzmu — to osobliwe połączenie heroicznej ofiarności z taką żarliwością religijną, która ociera się o fanatyzm⁴.

Trafnie zauważył M. Król, iż w polskich warunkach przed 1918 rokiem a także i później, polityka była tak mocno zdominowana przez problem niepodległości, że musiała być polityką ideologiczną. Specyficzność sfery politycznej zanikała. Pojęcia polityczne jak racja stanu, równowaga sił, geopolityka czy interes państwa były wyrażane chętnie językiem emocji i ocen moralnych. Polityka spletała się ze sztuką i religią, skoro jej celem były problemy ostateczne: być albo nie być narodu⁵. Stąd owo myślenie w duchu krucjaty, stała pamięć o tym, że miarą obywatelskiej postawy jest zawołanie „Bóg, Honor i Ojczyzna”. Wolności brakowało tak długo i tak dotkliwie, że nawet gdy stała się faktem w końcu pierwszej wojny światowej, to nie zanikły jeszcze wzory z przeszłości: patos i prorocze wizje, rytualne gesty i postawy heroiczne, przeciwstawianie honoru i godności trudnej sztuce rozumnego wyboru i kompromisów. Katolicyzm, ze swą moralną pryncypialnością, podtrzymywał tę tradycję Kordianów, myślenie w kategoriach zasad ostatecznych zamiast działania na rzecz sprawnego osiągania celów konkretnych. Katolicyzm jako reduta obronna utrudniał przechodzenie od pytań o niepodległość do pytań o ustrojowy kształt niepodległego państwa. Debaty o drogach do niepodległości tak opanowały wyobraźnię elit kulturalnych i szerokich kręgów społecznych, że obrona demokracji wprowadzonej konstytucją marcową 1921 roku zakończyła się zamachem majowym w 1926 roku. Katolicki w swej większości naród okazał się — jak przewidywał Cyprian Kamil Norwid — wielkim narodem, ale raczej małym społeczeństwem. Połączenie heroizmu i organizacyjnego bałaganu we wrześniu 1939 roku raz jeszcze pokazało, że Polak w nas jest zawsze większy niż obywatel.

4. Warto przypomnieć cenę, jaką wówczas zapłacił Kościół za solidarność z cierpiącym narodem: „Von den 10.000 polnischen Priestern wurden 1.811 in den national-sozialistischen KZ-Lagern ermordet. Zu dieser Zahl kommen noch 836 Ordenspriester und 436 Schwestern verschiedener Kongregationen. In dieser schweren Zeit blieb die katholische Kirche der Nation treu. Sie kollaborierte nicht mit dem Feind wie in Kroatien, in der Slowakei, in der Ukraine oder zum Teil in Frankreich” (Z 10.000 polskich księży 1.811 zostało zamordowanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Do tej liczby należy dodać 836 zakonników i 436 zakonnice różnych kongregacji. W tych ciężkich czasach Kościół pozostał wierny narodowi. Nie kolaborował z wrogiem jak w Kroacji, Słowacji, na Ukrainie i częściowo we Francji). J. Kondziela, *Die katholische Kirche*, w: *Der Bürger im Staat*, Heft 2, Juni 1986, str. 118.

5. Marcin Król, „Duch krucjaty i duch wolności”. *Res Publica* nr 6, 1980 (wydane w Londynie), str. 178-184.

Jednym z kulturowych efektów spłotu katolicyzmu i emocji narodowych była słabość idei liberalnych w myśli politycznej, prawnej i gospodarczej Drugiej Rzeczypospolitej. Liberalizm ze swymi ideami pluralizmu, wolności indywidualnej, przedsiębiorczości i rynkowego dynamizmu był zbyt słaby, aby stawić czoła etatyzmowi w gospodarce i autorytarnym tendencjom w stosunkach politycznych. Słabość liberalizmu w kulturze politycznej Polski wynikała nie tylko ze słabości warstw średnich, z niewielkiej liczebności burżuazji polskiej. Drugim źródłem słabości myślenia liberalnego (obejmującego wszakże też antyklerykalizm, wolność myśli posuniętą aż poza granice religii) była siła katolicyzmu. Być konsekwentnym liberałem znaczy przecież mieć odwagę rzucić wyzwanie także Kościołowi w imię wolności od dogmatu. W kraju, gdzie większość była skłonna myśleć według stereotypu „Polak = katolik” trzeba wyjątkowej odwagi cywilnej, aby być liberałem lub liberalnym socjalistą. Zapewne dlatego zasada liberalnych rewolucji oddzielająca Kościół od państwa nie mogła być zrealizowana w Polsce międzywojennej, ani tym bardziej wcześniej.

Katolicyzm utrwalił obecność historycznej pamięci i tradycji narodowej w kulturze politycznej, a zarazem utrudnił rozwój etosu liberalnej demokracji i demokratycznego socjalizmu. Dlatego też po 1945 roku musiał się bezpośrednio, bez politycznych pośredników, zderzyć z partią komunistyczną.

2. *Katolicyzm wobec państwa komunistycznego i buntującego się społeczeństwa*

System władzy ukształtowany po 1945 roku od początku ograniczał i likwidował legalne działania opozycyjne. Zasada wyłączności i nieprzerwanego rządzenia państwem przez jedną partię wykluczyła z życia politycznego Polskie Stronnictwo Ludowe, które chciało być parlamentarną opozycją, liczyło nawet na zdobycie większości w wyborach 1947 roku. Ten sam los spotkał też chrześcijańsko-społeczne Stronnictwo Pracy Karola Popiela. Nawet odrębność ideowa i organizacyjna Polskiej Partii Socjalistycznej nie była respektowana przez komunistów, dążących do monopolu inicjatywy politycznej.

W ukształtowanym porządku monocentrycznym partia komunistyczna przypisuje sobie tzw. kierowniczą rolę, co oznacza zakaz istnienia wszelkich form zinstytucjonalizowanej opozycji w państwie, a także zakaz jawnego działania frakcji w partii rządzącej. Katolicyzm w trzech formach swego istnienia — jako idea, hierarchia i wspólnota wierzących — został postawiony w tradnej

sytuacji. Jednocześnie musiał pełnić kilka wykluczających się lub częściowo sprzecznych ról w państwie bez opozycji⁶: 1) częściowo przystosować się do nowego systemu politycznego, aby przetrwać, 2) obronić swą tożsamość i rolę symbolicznej integracji w narodzie oraz 3) być jakąś formą opozycji wobec partii i państwa, które mają tak całościowe aspiracje władcze, że „*beabsichtigen sie, nicht nur die Wirtschaft, nicht nur die Gesellschaft, sondern die Natur des Menschen selbst zu verändern*”⁷.

Katolicyzm polski nie ograniczał się do obrony wolności religii i do aktywnego zwalczania ideologii ateistycznej. Po rozwiązaniu partii niezależnych od komunistów, mimo terroru i szykan stalinowców Kościół „*trat als einziger Fürsprecher der Bauern in Polen hervor, als die Regierung versuchte, die stalinistische Kollektivierung zu erzwingen*”⁸. Układ z państwem z 14 kwietnia 1950 roku był jedynie nieudaną próbą współistnienia, o czym świadczy fakt, że wkrótce został aresztowany prymas Stefan Wyszyński i dopiero ruch protestu w 1956 roku zmusił władzę partyjną do uwolnienia go. Stało się tak dlatego, że buntujące się społeczeństwo wymuszało na partii ustępstwa nawet wobec takich osób jak prymas, który był jawnym krytykiem ideologii „diamatu” i dyktatorskiej władzy.

Od października 1956 roku władze partyjne zrezygnowały z prób likwidacji katolicyzmu i zaczęły, z oporami co prawda, przystosowywać swą politykę do warunków trwałego współistnienia komunizmu i katolicyzmu. Nie była to tolerancja, lecz raczej próba zawieszenia walki i częściowej inkorporacji grupy katolików świeckich „Znak” do systemu politycznego. Pięciu posłów z grupy „Znak” próbowało uprawiać politykę krytycznego uczestnictwa w życiu państwowym. Ten osobliwy „neopozytywizm” miał realizować zasadę moralną *Tygodnika Powszechnego* — nie kłamać. Filozofia polityczna tej grupy była tak samo umiarkowana jak rezultaty praktyczne. S. Kisielewski tak określił cele grupy „Znak”: „Nie chcemy rządzić Polską albo mieć większości w Sejmie, ale chcemy być tam obecni, aby wyrażać poglądy katolików i innych ludzi, którzy nie uznają światopoglądu marksistowskiego”⁹. Efekty tej wewnętrzssystemowej opozycyjności były

6. Termin „państwo bezopozycyjne” wprowadził Ghita Ionescu, *The Politics of the European Communist States*, London 1967, str. 4-5.

7. G. Ionescu, J. de Madariaga, *Die Opposition, Ihre politische Funktion in Vergangenheit und Gegenwart*, München 1971, str. 173 („zamierza przekształcić nie tylko gospodarkę, nie tylko przyrodę, ale wręcz naturę człowieka”).

8. *Tamże*, str. 187 („występował jako jedyny rzecznik chłopów w Polsce, w okresie, kiedy rząd usiłował wymusić stalinowską kolektywizację”).

9. S. Kisielewski. „Czy neopozytywizm?”, *Tygodnik Powszechny* z 29 stycznia 1957.

bardzo skromne: w latach 1957-1961 „Znak” głosował przeciw 4 ustawom spośród 174 uchwalonych w tym czasie, w latach 1961-1965 przeciw trzem ustawom na 92 uchwalone. „Znak” złożył 20 interpelacji na ogólną liczbę 140 w latach 1957-1961 oraz 8 na 13 interpelacji w latach 1961-1965. Aktem szczególnej śmiałości była interpelacja po akcjach MO i SB w marcu 1968 roku¹⁰.

Działalność „Znak-u”, Klubów Inteligencji Katolickiej, publikacje *Tygodnika Powszechnego* w nakładzie około 35-40 tysięcy oraz wielu tytułów ściśle religijnej prasy katolickiej wspomagała aktywność kapłanów w głoszeniu idei katolickiej nauki społecznej. Okres 1956-1970 w stosunkach z partią komunistyczną to ewolucja od zawieszenia broni bezpośrednio po Październiku do coraz ostrzejszych konfliktów, których kulminacją był list biskupów polskich do biskupów niemieckich (1966 roku) i protesty Kościoła wobec represywnego tłumienia demokratycznych żądań studentów i inteligencji w marcu 1968 roku¹¹.

Po kryzysie w grudniu 1970 roku i zmianie w kierownictwie PZPR zaczął się dziesięcioletni okres, w którym też na początku przeważał dialog z państwem i rządu PRL z Watykanem, który od 1976 roku przekształcał się w coraz silniejszy opór Kościoła wobec polityki E. Gierka. Opór ten miał jednak raczej gabinetowy, mało jawny charakter (np. krytyczne głosy Episkopatu wobec brutalnego stłumienia rewolty robotniczej, wobec też na VII Zjazd PZPR i projektów zmian w konstytucji PRL, przewidujących uwiecznienie sojuszu z ZSSR i kierowniczej roli partii w państwie to główne przejawy niezależnych działań politycznych Kościoła w 1976 roku).

Polityka oscylacji między dialogiem a konfliktem z partią wzmacniała Kościół i wpływ katolicyzmu na świadomość społeczną. Instytucjonalna i materialna potęga Kościoła stale rosła. W latach międzywojennych było w Polsce około 10.000 kapłanów i ponad 40 biskupów. Ilość biskupów stale wzrastała (1961 r. — 61, w tym 17 powołanych przez Jana XXIII w latach 1958-1960, 1963 r. — 78, 1982 — 84), w 1982 roku było 27 diecezji i blisko 7.300 parafii; tylko w 1981 roku przybyło 68 parafii. Działa też 45 zakonów męskich i 104 zakony żeńskie. Liczba kościołów i kaplic katolickich, ciągle powiększana dzięki ofiarności wiernych i dość liberalnej postawie władz państwowych, zbliża się do 15.000.

10. A. Micewski, *Współzgodzić czy nie kłamać?, PAX i Znak 1945-1976*, Kraków 1981.

11. G. Barberini, *Stato socialista e Chiesa cattolica in Polonia: Storia. Politica. Diritto*, Bologna 1983.

	1963	1982
Księża	ok. 15 tys.	ok. 21 tys.
Zakonnicy	8,6 tys.	9,6 tys.
Zakonnice	29 tys.	27,4 tys.

Jest to wyzwanie wobec monopolistycznych aspiracji w elicie władzy. Minister d/s Wyznań A. Łopatka powiedział: „Kościoł rzymskokatolicki z wszystkich organizacji społecznych działających w Polsce ma największy aparat, bez porównania większy od aparatu partii, związków zawodowych, spółdzielczości, rozmaitych innych organizacji społecznych. Ma również bardzo dobrze przygotowanych do pełnienia swych funkcji ludzi, dysponujących dużymi kwalifikacjami i doświadczeniem. Ponadto w Kościele, jak wiemy, jest znacznie wyższy poziom dyscypliny niż w innych organizacjach społecznych. M.in. dlatego jest to organizacja bardzo wpływowa i poważna”¹². W tym samym przemówieniu A. Łopatka ocenił, że „pewna część biskupów oraz ok. 13-15 % księży jest pozytywnie zaangażowana w ustroj”, a tylko „5-10 % duchownych oraz 12 czy 13 biskupów który czynnie angażowali się i nadal się angażują w zwalczanie tego ustroju”.

Niezależnie od tego, w jakim stopniu ta ocena jest słuszna, warto rozważyć problem, czy i w jakim sensie katolicyzm jest opozycją wobec systemu władzy. Opinie na ten temat są dość rozmaite. Można uporządkować je następująco od najmniej do najbardziej upolitycznionego wizerunku katolicyzmu:

- 1) opozycja moralna i kulturowa;
- 2) arbiter i pośrednik między opozycją polityczną i buntującymi się grupami społecznymi a władzami partii i państwa;
- 3) społeczne ograniczenie samowoli aparatu partyjnego.

Bardziej upolityczniona interpretacja roli katolicyzmu uważa go nie tylko:

- 4) za *quasi*-opozycję polityczną, czy opozycję rzeczywistą, ale także
- 5) za czynnik stabilizujący w okresach eksplozji protestu społecznego.

Kolejno rozważymy te uogólnione opisy roli katolicyzmu w kulturze politycznej.

1. Kościoł jako moralna opozycja to model zbu-

12. Stenogram przemówienia A. Łopatki z 15 grudnia 1982 roku w KC PZPR na temat „Polityka wyznaniowa PRL”.

dowany przez księdza J. Majkę¹³. Moralna opozycja jest tu pojmowana jako zasadniczo odmienna od opozycji politycznej, która jest „siłą społeczną grupy politycznej, na przykład partii politycznej, która stale krytykuje rządzących i usiłuje wyrzucić presję na ich działalność, ale nie po to, żeby im pomóc, lecz przeciwnie, żeby ich osłabić, i w bliższej lub dalszej perspektywie przechwycić władzę i zająć ich miejsce”¹⁴. Opozycja moralna to „podmiot odpowiedzialności... który w każdej sytuacji, kiedy zagrożone jest dobro wspólne lub uprawnienia osób ludzkich, jest w stanie zająć jasne, krytyczne i wyraźnie określone stanowisko i zdolny jest stanowisko to ujawniać”¹⁵. Jest więc Kościół „zorganizowanym podmiotem działania społecznego”, który podobnie jak grupa nacisku nie zmierza do osłabienia lub przejęcia władzy państwowej. „Opozycja moralna” walczy o „wyższe wartości moralne, o dobro wspólne oraz o realizację praw człowieka w życiu codziennym. Grupa taka jest zawsze gotowa nieść pomoc tym wszystkim, którzy cele te pragną realizować. Musi to być zatem grupa, która nie tylko nie walczy o własne interesy, lecz gotowa jest nawet z nich zrezygnować, dając przez to przykład gotowości do ofiary koniecznej dla realizacji dobra wspólnego”¹⁶. Kościół w roli drogowskazu moralnego dla całego społeczeństwa i dla władzy państwowej musi mówić *non licet tibi* lub stanowczo *non possumus* także wtedy, gdy mogłoby to doprowadzić „do konfrontacji z władzą państwową i wystawić go na największe niebezpieczeństwa”¹⁷.

2. Kościół wypełnia obowiązek bycia arbitrem, jeśli może moralnie upominać zarówno władzę jak i obywateli. Koniecznym warunkiem pełnienia roli arbitra moralnego jest niezależność polityczna (od rządu i od wszystkich partii politycznych) oraz finansowa i gospodarcza. Niezależność gospodarcza nie musi i nie powinna wykluczać społecznej bezinteresowności. „Silna pozycja Kościoła w Polsce jako partnera dialogu z rządem wynika między innymi stąd, że nie chciał on dyskutować problemu zwrotu majątków kościelnych”¹⁸. Na to samo źródło moralnej siły zwrócił też uwagę J. Kondziela¹⁹.

Niezależność Kościoła od wszelkich partii politycznych wyrażała się w dystansie wobec PSL i SP w latach 1945-1947, a później w niechęci prymasa Wyszyńskiego wobec projektów odro-

13. Ks. J. Majka, „Kościół jako 'opozycja moralna'”, *Chrześcijaństwo w świecie*, nr 1, 1982, str. 1-12.

14. *Tamże*, str. 2.

15. *Tamże*, str. 2.

16. *Tamże*, str. 2.

17. *Tamże*, str. 3.

18. *Tamże*, str. 20.

19. J. Kondziela, *op. cit.*, str. 119.

dzenia partii chrześcijańskiej, wysuwanych po sierpniu 1980. Ideową podstawą tej niezależności było przekonanie S. Wyszyńskiego, że kapitalizm i socjalizm nie są wobec siebie alternatywą, bo oba „wywodzą się z tego samego środowiska filozofii indywidualistycznej” i dlatego „oba te ustroje są zapóźnione”²⁰. Za rzeczywistą alternatywę obu tych ustrojów gospodarczych był skłonny uważać katolicką doktrynę społeczną, harmonijnie łączącą pluralizm form własności, dobro osób z dobrem wspólnym oraz wolność gospodarczą ze sprawiedliwością społeczną. Od okresu II Soboru przywódcy Kościoła polskiego sytuowali swój ideał gospodarczy ponad kapitalizmem i socjalizmem, ponad sztuczną alternatywą: albo własność prywatna albo państwowa²¹.

Od powstania świeckich i niekatolickich grup opozycyjnych (np. KOR, Konfederacja Polski Niepodległej) Kościół starał się zachować niezależność wobec nich i z tych pozycji być mediatorem między opozycją polityczną a partią komunistyczną. Pozycja mediatora w konfliktach politycznych po Sierpniu wymagała, aby Kościół:

- nie był stroną w konflikcie i zachował niezależność wobec wszystkich stron konfliktu,
- cieszył się moralnym i intelektualnym autorytetem oraz wpływem społecznym płynącym z tego autorytetu,
- chciał i umiał użyć tego autorytetu dla realizacji kompromisów politycznych²².

Nawet w trudnym czasie stanu wojennego Kościół spełniał te warunki i próbował mediacji, występując w obronie osób i organizacji represjonowanych (bez popadania w zależność od nich).

3. Kościół jako jedno z głównych ograniczeń samowoli aparatu partyjnego (*social check on the party-apparat*) to propozycja G. Ionescu. Wśród tych ograniczeń Ionescu wyróżnił ponadto: opozycję i opinię publiczną, chłopów, robotników, intelektualistów i osobistości o autorytecie moralnym, byłych członków partii komunistycznej²³. Samo względnie niezależne istnienie i artykulacja własnej tożsamości wystarczają, aby grupa lub organizacja była takim ograniczeniem. Społeczne

20. Przemówienie kardynała S. Wyszyńskiego na II Soborze Watykańskim z dnia 5 października 1965 r.

21. Cz. Strzeszewski, *Własność. Zagadnienie społeczno-moralne*, Warszawa 1981.

22. W. Lamentowicz, *Institutional Interests and Mediation Procedures in the Polish Political System* (niepublikowany maszynopis 1983 r.).

23. G. Ionescu, *The Politics of the European Communist States*, London 1967, *passim*.

granice władzy nie są bowiem uznawane w doktrynie komunistycznej i partii rządzącej dążą do eliminacji z areny politycznej wszystkich niezależnie działających. Ci, których usunąć nie mogli, będą przynajmniej czasowo traktowani jako konieczne ograniczenie swobody manewru. Tym bardziej tak właśnie postrzegali Kościół, którego prymas 30 stycznia 1966 roku powiedział w Warszawie o swym stosunku do polityki partii: „My nie możemy się płaszczyć przed chwilową racją stanu”.

4. Nie należy też do rzadkości opinia, że katolicyzm to opozycja polityczna *de facto*²⁴ albo *quasi-opozycja*²⁵. Opozycja *de facto* to sytuacja, w której Kościołowi brakuje aspiracji, a władzom partyjnym odwagi; aby traktować go jako opozycję *de iure*. Doktryna PZPR i konstytucja PRL wykluczają uznanie legalności opozycji w jakiegokolwiek formie, w tym także w formie Kościoła lub stowarzyszenia religijnego. Faktyczność tej opozycji to nie tylko jej pozanormatywne istnienie. To także jej świadome samoograniczenie: przedstawienie alternatywy moralno-kulturowej i powstrzymanie się przed głoszeniem programów politycznej alternatywy wobec systemu.

Alternatywa moralna katolicyzmu polega na obronie tradycji, wartości kultury narodowej, praw obywatela, godności człowieka i samego chrześcijaństwa. Jeżeli partia głosi zasadę prymatu polityki nad gospodarką i kulturą, to katolicyzm proponuje zasadę prymatu etyki nad polityką i gospodarką. „Z prymatu etyki nad polityką wynika ranga osoby ludzkiej jako wartości nadrzędnej. Prymat zaś moralności nad gospodarką przeciwstawia się orientacjom myślenia i planowania gospodarczego poddanych mitowi postępu i przeswiadczeniu o wszechmocy techniki w budowaniu szczęśliwego świata”²⁶.

Jeżeli partia planuje dalsze rewolucyjne przemiany, to katolicyzm opowiada się za pokojową zmianą ewolucyjną, bez przemocy i burzenia²⁷. Pokojowe wyzwolenie człowieka wymaga stopniowej odnowy struktur społecznych i odrodzenia moralnego narodu. Ewolucjonizm jest uzasadniony aksjologicznie przez przekonanie, iż najcięższą niewolą jest zniewolenie umysłu i serca oraz paraliż sumień. Stąd postulat budzenia sumień i wrażliwości

24. J. Kondziela, *op. cit.*, str. 119.

25. D. Bingen, *Die polnische Kirche und die Systemkrise, Der Bürger im Staat*, Heft 2, Juni 1986, str. 134.

26. Ks. Ryszard Iwan, „Program odnowy narodu i państwa w nauczaniu kardynała Stefana Wyszyńskiego”, *Chrześcijańca w świecie* nr 128, maj 1984, str. 10-11.

27. T. Mazowiecki, *Próba nadziei i próba charakteru: o społecznym nauczaniu Jana Pawła II*, w: *W kręgu nauczania Jana Pawła II*, Kuria Metropolitalna Warszawska 1985, str. 9.

na niesprawiedliwość. Częścią istotną moralnej alternatywy jest też zasada prymatu rodziny nad wielkimi organizacjami biurokracyjnymi, bowiem rodzina nie zniewala umysłów.

5. Kościół w ostrych stadiach kryzysu władzy państwowej często występował w roli potencjalnej i realnej siły stabilizującej. Kardynał Wyszyński zawsze apelował do zbuntowanego społeczeństwa (1956, 1968, 1970, 1976, 1980) o umiar i cierpliwe oczekiwanie na stopniową poprawę losu, chociaż moralnie popierał intencje protestów. Uczył rozważa nawet wówczas, gdy masy społeczne domagały się odwagi. Kościół często angażował swój autorytet przeciw radykałom, przez co łagodził przebieg eksplozji gniewu.

System monocentryczny stabilizuje pośrednio także niechętny stosunek katolicyzmu do myśli liberalnej. Wartością zalecaną jest integracja, solidarność i wspólne dobro, a nie rywalizacja idei i organizacji. Również konkurencja gospodarcza często jest oceniana krytycznie jako maska skrywająca egoizm. Wolność indywidualnego wyboru jest wartością mniej cenioną niż sprawiedliwość, miłość, wiara. Nie tylko w nauczaniu kapłańskim momenty liberalne są na ogół piętnowane jako zgubny indywidualizm. Także w publicystyce *Tygodnika Powszechnego* (poza S. Kisielewskim) dopiero od niedawna pojawiają się głosy na rzecz indywidualnej przedsiębiorczości gospodarczej i spontanicznych ruchów obywatelskich.

Ponieważ idee demokratyczno-liberalne są potencjalnie bardzo groźne dla systemu monocentrycznego, to fakt iż katolicyzm jest często antyliberalny ułatwia partii rządzącej „przywracanie porządku” po kolejnych eksplozjach.

Stabilizatorem systemu politycznego jest też centralizm, hierarchiczność i rytualizm w Kościele, co upodabnia go pod względem strukturalnym do partii komunistycznej. Słabość form udziału wiernych w zarządzaniu parafiami i diecezjami (np. rady parafialne rzadko są wzorem metod demokratycznych) jest podobna do bezradności szeregowych członków partii. Dwie hierarchie — kościelna i partyjna — są oddalone od codziennych kłopotów zwykłych ludzi.

Masowy rozwój duszpasterstwa świata pracy, środowisk twórczych i studentów sprawia, że tolerancja kapłanów wobec niekatolickich wykładawców i artystów występujących w kościołach stale się pogłębia. Nowe przyzwyczajenie do pluralizmu opinii wypiera wyuczoną orientację na wierność ortodoksji doktrynalnej. Zwłaszcza młodzi księża współpracujący ze świeckimi w swoim wieku są organizatorami obywatelskiej, pluralistycznej debaty pod opiekunческими skrzydłami kościołów. Pokolenie „Solidarności” demokratyzuje obyczaje w Kościele. Młodzież licealna i

studencka jest grupą najczęściej deklarującą wiarę i praktyki religijne (85 % badanych w 1986 roku z tej grupy wieku przez Centrum Badania Opinii Społecznej przy rządzie). Spotkanie pokolenia „Solidarności” z następną generacją młodzieży właśnie w Kościele może być czynnikiem stopniowej demokratyzacji struktur i zwyczajów nie tylko kościelnych. Gdy religijność ludowa połączy się z religijnością młodej inteligencji, wychowywanej na dorobku ideowym „Solidarności”, otworzy się nowy horyzont zmian w kulturze politycznej Polaków²⁸.

Wojtek LAMENTOWICZ
Uniwersytet Warszawski

28. W. Piwowarski, red., *Religijność ludowa. Ciągłość i zmiana*. Wrocław 1983, Z. T. Wierzbicki, *Tradycyjna religijność wiejska*, „Roczniki Nauk Społecznych KUL”, tom 7, 1979, str. 115-176.

LIST PASTERSKI
synodu biskupów Świętego Polskiego Autokefalicznego
Kościoła Prawosławnego
do wszystkich dzieci duchownych w Chrystusie Jezusie
z okazji Tysiąclecia Chrztu Rusi

W 1988 roku spełnia się Tysiąclecie Chrztu Rusi. Wspaniały to Jubileusz! Nie każdemu pokoleniu dana jest taka uroczysta radość, jak nam.

Przeto, żegnając się znakiem Krzyża świętego, z głębi duszy powiedzmy w modlitewnym dziękczynieniu: Chwała Tobie, nasz Łaskawco na wieki [...]

Co się zaś tyczy Zachodu, to jego oświecenie na ziemiach słowiańskich zaczęło się znacznie wcześniej przed Chrztem Polski (966 rok). Właśnie tutaj na Zachód, na Wielkie Morawy przybyli święci bracia Cyryl i Metody w 865 roku, przynosząc ze sobą przetłumaczoną na język słowiański Ewangelię i niektóre obrzędy liturgiczne. Wielka w tym zasługa wielkomorawskiego księcia Rościsława. Na jego prośbę zostali przysłani z Konstantynopola święci bracia pochodzący z Sołunia. Należy powiedzieć, że od tych czasów światłość Chrystusa zaczęła przenikać na tereny Słowian zachodnich i północnych. Jak twierdzą niektórzy znawcy historii tych czasów, nie było Chrztu Polski podobnego do Chrztu Rusi w Kijowie. Bez wątpienia książę Mieszko I był oświecony przez uczniów św. Metodego. Był także ożeniony z księżniczką czeską Dąbrówką, bliską wierze i wpływom wschodniej kultury chrześcijańskiej i liturgii.

Przejście Mieszka pod wpływ Rzymu i liturgię rzymską było podyktowane dobrem jego księstwa i słowiańskich plemion, uciskanych przez agresywne plemiona germańskie. Z tego to powodu Mieszko szukał obrony w Rzymie i obronę tę znalazł. Na tym początki misji uczniów św. Metodego zatrzymały się i zostały wycofane. Wtedy, w IX wieku, wschodnie chrześcijaństwo słowiańskie zostało wypędzone i zaprowadzono łacińską formę chrześcijaństwa. Gall Anonim zamknął usta kronikarzom słowiańskim i szeroko odkrył karty kronik dla zwyczajów łacińskich. Nieliczne ślady pozostały po tamtych czasach. Wszystkie pamiątki po misji słowiańskiej zostały bezpardonowo zniszczone.

Na szczęście jednak nie wszystkie. Pozostał mianowicie stary zabytek — to pieśń do Najświętszej Bogarodzicy Dziewicy Maryi „Bogurodzica, Dziewica Bogiem stawiona Maryja...”. Według treści i formy, jest to wschodni bizantyjski „Deisis”. Pieśń ta jest znana w polskim katolickim narodzie do dzisiaj, a pamięć św. braci Cyryla i Metodego jest świętowana 14 kwietnia jako patronów Narodu Polskiego. Autorami pieśni „Bogurodzica” byli święci bracia lub jeden z uczniów, św. Gorazd lub św. Kliment z Ochrydy.

Jakże niezbadane są wyroki Boże! W 1947 roku na zachodnich ziemiach Polski, we Wrocławiu, została otworzona parafia prawosławna. Po tysiącu stu latach wschodnie prawosławie powróciło znowu na swoje, określone przez Bożą Opatrzność miejsce, aby świadczyć o woli Bożej i niemożliwości sprzeciwiania się Jej. Prawica Pańska w czasie misji św. Metodego szczerze zasadziła swoją winnicę. W tych czasach byli biskupi w Smogorzewie, Przemysłu, Kamieniu Pomorskim i w Krakowie. Z Krakowa biskup został przeniesiony do Wiślicy i na jego miejsce na miejscu jego katedry założono arcybiskupstwo i katedrę łacińską. Król Kazimierz Wielki próbował uregulować problemy prawosławia, prosząc w 1370 roku Bizancjum o przystanie do Halicza metropolity, co zostało spełnione. Metropolita Antoni zaprowadził porządek na wschodzie Polski. Jadwiga, żona Wielkiego Księcia Litewskiego i Króla Polski Władysława Jagiełły, Królowa Polska, także interesowała się losem prawosławnej ludności i po koronacji broniła prawosławnych, co polegało na tym, że zostali oni zrównani w prawach z łacinnikami. Nastąpiło to w roku 1380 w związku z przyłączeniem Rusi Czerwonej do Polski. W ten sposób zaprowadzona została równość wierzących wobec prawa w Polsce. Ostatecznie problem ten został rozwiązany w Polsce Ludowej, za co winniśmy być wdzięczni.

Kiedy na Zachodzie prawosławie zostało prawie zniszczone, to jego ekspansja, po chrzcie Kijowa, szybko rozprzestrzeniła się do granic etnicznych polsko-łacińskiej ludności. Dwa kierunki prawosławnej wiary Chrystusowej przenikały do naszego kraju. Pierwszy z Wielkich Moraw, ale na skutek ekspansji łacińskiej został jak gdyby zniszczony i zatrzymany, a drugi z Rusi Kijowskiej mając bardzo silne impulsy aktywnej działalności misyjnej. W ten sposób wschodnie źródło słowiańskiego chrześcijaństwa było silniejsze i żywsze od zachodniego. Skutkiem tego doszło

ono aż do granic Krakowa. W rezultacie konfrontacji tych kierunków i wydarzeń historycznych aż do roku 1947 granica chrześcijaństwa wschodniego i zachodniego przechodziła niedaleko Krakowa, na rzece Wiśle. Tak mniej więcej określiły się granice wpływów wschodnich. Na zachód od tych granic rozprzestrzenia się chrześcijaństwo łańskie. [...]

Po drugiej wojnie światowej prawosławie ruszyło na Zachód naszej Ojczyzny. Minęło prawie tysiąc sto lat od czasów świętych braci Cyryla i Metodego oraz ich uczniów św. Gorazda, św. Klimenta z Ochrydy i innych. Któż by pomyślał, że prawosławie się odrodzi? Wola Boża jest wszechmocna i nie można się jej sprzeciwić. Trudno iść przeciw „Ościeniowi”, powiedział Jezus Chrystus do Szawła.

Jak już powiedziano, 40 lat temu, w 1947 roku, utworzono prawosławną parafię we Wrocławiu, a w 1951 roku przybył na ziemię zachodnie prawosławny biskup Michał Modrow, biskup wrocławski i szczeciński. Obecnie istnieje tam 40 parafii. Na Warmii i Mazurach 30, w górach na Łemkowszczyźnie 35, w Przemysłu odrestaurowano dawną — przemyską — po trzystu latach jej nieistnienia. Niezbądany wyrok Pański odrodził prześladowane prawosławie jako żywy ogień-światłość, o czym świadczą obecność Świętego Prawosławia na tych właśnie ziemiach.

Kościół grekokatolicki okazuje szczególne zainteresowanie w aspekcie historycznym także i dzisiaj. Po unii personalnej Polski i Litwy (Krewska z 1385 roku), państwowej (Lubelska z 1569 roku) i na koniec kościelnej (Brzeska z 1596 roku) — czyniono próby połączenia dusz prawosławnych i rzymskokatolików. Jeżeli pierwsze dwie unie okazały się znośnymi dla Litwy i udanymi dla Polski to trzecia, można tak powiedzieć, okazała się nieudaną dla obu stron, a nawet przewrotną w swych następstwach. Wniósł ona rozpad i rozłam, w rezultacie których upadła idea unii, gdyż nie była ona przeprowadzona według woli Bożej a według ludzkich planów w odniesieniu do Litwy i jej prawosławnej ludności. Unia ta była zaprowadzona metodami niemoralnymi. Zaprowadzono ją dwieście pięćdziesiąt lat. Unia ta przyniosła niezliczone nieszczęścia: morze łez ludu prawosławnego, aż nastąpił rok 1839, kiedy rozpoczął się jej upadek. A potem przyszedł rok 1875 na Chełmszczyźnie i rok 1946 we Lwowie. Nasi bracia grekokatolicy pozostali w rezultacie bez hierarchii i rzuceni na pastwę losu. Nikt nimi nie interesował się. Zostali pozostawieni sami sobie po skasowaniu Kościoła grekokatolickiego na Soborze watykańskim II. Tego Kościoła już nie ma, on nie istnieje. I cóż dalej? Część naszych braci powróciła na łono naszego Kościoła prawosławnego, który kiedyś przyjął ich po bratersku, dając im możliwość życia ich życiem kościelnym w pełnym sensie tego słowa.

Jaki jest los Kościoła grekokatolickiego, który przetrwał prawie 250 lat? W życiu tego Kościoła nastąpiło coś nowego. Kościół rzymskokatolicki powołał do życia na ruinach Kościoła grekokatolickiego, tak zwany Ukraiński Kościół rzymskokatolicki ze wschodnią liturgią. W ukraińskiej liturgii rzymskiego charakteru

nie ma. Oznacza to, że grekokatolicy są w istocie rzymskokatolikami, a tylko dla starszego pokolenia pozostawiono wschodnią liturgię. Unia Brzeska miała na celu zlikwidowanie prawostawia na rzecz tradycji łacińskich. Teraz stało się jasnym, że to nie było zjednoczenie, a prozelityzm, realizowany wszelkimi sposobami.

W epoce dialogu i dążeń do jedności, my prawosławni nie możemy żywić zaufania do decyzji i działalności Kościoła rzymskokatolickiego, dopóki nie zostanie ostatecznie rozwiązana kwestia Unii. Według opinii niektórych teologów zachodnich unia była wielkim sukcesem i największym dobrem Kościoła, jako szczególnie ważny pionierski wkład w początki ekumenizmu. Na to jednak odpowiadamy stanowczo — nie! Naszym braciom grekokatolikom pozostało jedno: schylić pokornie głowy i przyjąć tradycje łacińskie. Wydaje się, że nie ma innego wyjścia. Czyż mamy rozstawać się z wami, Bracia i Siostry? Czyż tutaj rozjedną się nasze drogi? Czyż koniecznie musicie zerwać związek z Waszymi przodkami, którzy przyjęli św. Ewangelię od świętych Cyryla i Metodego oraz z Rusi Kijowskiej? Oto Tysiąclecie Chrztu naszych ziem. Pomyślmy, gdzie mamy iść dalej? Pójdźmy razem po drodze, którą ukazał Pan i którą wybrali nasi przodkowie — jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół!

Nasz cel — być wiernym Kościołowi, chronić jego niezmienną dogmatyczną naukę. Jego naturę, jego skarbnicę św. Ewangelii. [...]

Teraz, w dniu wielkiego jubileuszu św. Chrztu Rusi, Pan mówi do każdego z nas: „Przestań się lękać tego, co będziesz cierpieć. Oto diabeł ma niektórych pośród was wtrącić do więzienia, abyście próbie zostali poddani, a znosić będziecie ucisk... Bądź wierny aż do śmierci...” (Ap 2,10). [...]

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

W sowieckiej prasie

Dość przytoczyć kilka liczb, aby sobie uświadomić, co się działo w ubiegłym miesiącu w ojczyźnie wciąż jeszcze dojrzewającego socjalizmu. Pierwsza liczba: trzy lata. Równy trzy lata temu (11 marca 1985) Michaił Gorbaczow objął stanowisko generalnego sekretarza KC KPZS. Druga liczba: dwa miliony. Ministerstwo Zdrowia ogłosiło, że z rejestrów szpitali psychiatrycznych wykreślono dwa miliony sowieckich obywateli. Sens tej wiadomości wymaga chwili zastanowienia. Znacząca ona tyle, że jakaś bardzo wysoka i widocznie bardzo kompetentna instancja uznała, iż dwa miliony psychicznie chorych mężczyzn, kobiet, młodzieńców i starców wyzdrowiało (do tej chwili na pewno byli chorzy, bo jakże by inaczej mogli figurować w rejestrach szpitali psychiatrycznych?). Liczba ta budzi jeszcze jedną myśl: jeśli kompetentne organy błyskawicznie zdołały wyleczyć dwa miliony chorych, to ilu jeszcze zostało cbiłakanych lub podejrzanych o obłąd? Jawność nie posunęła się jeszcze do tego, by ogłosić ogólną liczbę chorych, ale w tygodniku *Argumenty i fakty* nr 8/1988 profesor psychiatrii Androma oznajmił, że 5% do 7% członków „nieformalnych grup” — punków, hippiesów, metalistów, rockersów, pacyfistów — nadaje się do leczenia psychiatrycznego.

Kolejna liczba to szesnaście milionów. Tyle będą wynosić według wstępnych obliczeń zastępy sowieckich bezrobotnych w roku 2000. Dane te ogłosił sekretarz KC i członek Biura Politycznego Jegor Ligaczow, należy więc brać je na serio. Łatwo sobie wyobrazić, że perspektywa ta nie zachwyca ludzi pracy, bo zagraża ich głównemu przywilejowi.

Najnowsza i najstraszniejsza liczba dotyczy ofiar pogromu Ormian w azerbejdżańskim mieście Sumgait. Oficjalnie zabite zostały 32 osoby; zdaniem świadków (zagranicznym dziennikarzem zabroniono wstępu do Armenii i Azerbejdżanu, a skąpe informacje dziennikarzy sowieckich są surowo cenzurowane) zginęło ponad 300 osób.

Wydarzenia, jakie przetoczyły się przez Armenię i Azerbejdżan w ciągu ostatnich tygodni są nie tylko zwieńczeniem pierwszych trzech lat ery Gorbaczowa, ale też wyrazem wszystkich jej specyficznych cech. Wysuwają one na pierwszy plan prawdziwe problemy, które usiłuje rozwiązać Gorbaczow bez nazywania ich po imieniu. Zrelacjonujemy jednak najpierw fakty. Przede wszystkim trzeba wspomnieć demonstracje w stolicy Armenii, Erywanii. Wszystkie telewizje świata (poza oczywiście moskiewską i jej podobnymi) pokazały fragmenty nakręconego z ukrycia filmu: widać na nim ludność Erywanii, która z własnej woli wyległa na główny plac miasta i przylegające doń ulice, aby porozmawiać o tym, co ją interesuje. 20 lutego przyszło 30 tysięcy ludzi, 23-go już 200 tysięcy, a 27-go może i milion (liczby naturalnie przybliżone). Stolica Armenii blisko tydzień nie pracowała, tylko demonstrowała. Jak za najlepszych dni „Solidarności” — w mieście nie było kradzieży, pijaków, wszyscy się bratali. Siergiej Grigoriantz, redaktor pisma *Głasnost'*, oświadczył po powrocie z Erywanii do Moskwy: „Po raz pierwszy od kilku wieków zobaczyliśmy jedność całego narodu. Jest to niebywały sukces o wielkim znaczeniu dla całej Rosji”.

Cóż się stało w Erywanii? Fragmentaryczne sprawozdania zachodnich dziennikarzy, informacje telefoniczne, jakie dochodzą do paryskiej *Russkoj mysli* z Moskwy i Erywanii pozwalają na sporządzenie prowizorycznego kalendarza i wstępną analizę wydarzeń.

Przede wszystkim należy zwrócić uwagę, że pierwszy sekretarz KC ormiańskiej kompartii od 1977 roku, Demirczian, znajduje się od mniej więcej roku pod ostrym ostrzałem Moskwy. Stosunkowo niedawno usiłowano nawet obalić go na plenum miejscowego KC. Próba się nie udała, ale nie ulega wątpliwości, że zostanie ponowiona. Dodajmy, że zeszloroczne zamieszki w Ałma-Acie wybuchły po usunięciu pierwszego sekretarza kazachskiej kompartii, Kunajewa. W Erywanii bunt poprzedził usunięcie pierwszego sekretarza. Po drugie należy zwrócić uwagę, że w lutym nawet paryscy Ormianie wiedzieli, że w Erywanii będą demonstracje, tyle że z zupełnie innego powodu. Wszyscy spodziewali się wystąpień przeciw ekologicznemu wyniszczaniu Armenii. W ostatnich latach republika znalazła się w dramatycznym położeniu: zatrute są powietrze, woda, gleba. Ostatnią kropką goryczy była zaaprobowana przez miejscowe władzy decyzja Moskwy, by zbudować w mieście Abowian w pobliżu Erywanii kombinat chemiczny, uprzednio przewidziany dla Kazania. Ormianie utworzyli Komitet Ekologiczny, zaczęli zbierać podpisy pod listem protestacyjnym, szykowali demonstracje. Aż tu nagle wybuchnęła kwestia Górnego Karabachu.

20 lutego obwodowa rada Autonomicznej Republiki Górnego Karabachu podjęła uchwałę (110-ma głosami za, 17-ma przeciw) o oderwaniu się od Azerbejdżanu i przyłączeniu do Armenii. Tu należy wtrącić krótkie objaśnienie historyczne. Górny Karabach — góry i pastwiska — zamieszkuje od wieków Azerzy, szczep turecko-irański wyznania muzułmańskiego (szyici). Na początku

XIX wieku napłynęli tu dwiema falami Ormianie, uciekający z Turcji i Iranu (chrześcijanie). Nieustająca wrogość między obu narodami wybuchała od czasu do czasu pogromami, zwanymi „rzeziami tatarsko-ormiańskimi” (w imperium rosyjskim Azerów nazywano Tatarami). Do najbardziej krwawych rzezi należy pogrom w Baku 1905 roku. Potem nastąpił rok 1917. W maju 1918 powstały na Kaukazie trzy niezależne republiki — Gruzja, Armenia i Azerbejdżan — usiłujące bronić swej autonomii równocześnie przed Rosją i Turcją i walczące zarazem między sobą. W 1920 roku Armia Czerwona podbiła Azerbejdżan, za nim Armenię, a w lutym 1921 weszła do Gruzji. W toku negocjacji pokojowych z Turcją przed podpisaniem pokoju w marcu 1921 roku Moskwa zgodziła się nie wcielać Górnego Karabachu do Armenii. W wyniku tego ustępstwa „autonomiczny obwód Górny Karabach” został w 1923 roku wcielony do Azerbejdżanu. 94 % ludności obwodu stanowili Ormianie. Liczba Azerbejdżan nieco się dziś zwiększyła — przy ostatnim spisie naliczono 126 tys. Ormian i 37 tys. Azerów.

Kolejność wydarzeń, poprzedzających gigantyczne demonstracje w Erywanii budzi wiele wątpliwości, na które trudno dziś odpowiedzieć. W 1986 roku ekonomista Igor Muradian zaczął zbierać podpisy pod petycją o oddanie Górnego Karabachu Armenii. Jesienią 1987 roku miał 75 tys. podpisów. W listopadzie udał się do Moskwy, gdzie przyjął go jakiś niski urzędnik i co do meritum sprawy się nie wypowiedział. W styczniu ponownie zjechała do Moskwy delegacja Ormian. Tym razem przyjął ich zastępca członka Biura Politycznego, Piotr Demiczew, który stwierdził, że „ruch nie wydaje się ani antysowiecki, ani nacjonalistyczny”. W lutym przyjęto trzecią delegację — jeszcze serdeczniej. Wydawało się jasne, że Moskwa popiera karabachskich Ormian.

20 lutego obwodowa rada Górnego Karabachu uchwaliła większość głosów, że obwód odrywa się od Azerbejdżanu i jednoczy z Armenią. 21-go rezolucję tę opublikowała miejscowa gazeta *Sowieckij Karabach*. Odpowiedź była zaskakująca. 24 lutego gazety centralne ogłosiły komunikat TASS-a następującej treści: „Po rozpatrzeniu informacji o wydarzeniach w autonomicznym obwodzie Górnego Karabachu KC KPZS uważa, że działania i żądania rewizji istniejącego obecnie układu narodowościowo-terytorialnego są sprzeczne z interesami ludu pracującego Azerbejdżańskiej i Ormiańskiej SSR i przynoszą szkodę stosunkom między narodowościami”. Komunikat wspominał też o „nieodpowiedzialnych apelach ekstremistycznie nastawionych jednostek”.

Przede wszystkim rzuca się w oczy, że Komitet Centralny podjął uchwałę, zarezerwowaną w konstytucji ZSSR dla Rady Najwyższej. Po drugie władze moskiewskie dokonały nagłej wołty. Ruch Karabachów długo popierano, po czym nagle potępiono. Oskarżenia brzmiały znajomo: „nieodpowiedzialne apele”, „ekstremiści”.

Do Górnego Karabachu i do stolicy Azerbejdżanu Baku wysłano po dwóch przedstawicieli Biura Politycznego. Goście z Mos-

kwy przede wszystkim poradzili obwodowemu komitetowi partii Górnego Karabachu, by wybrał sobie nowego sekretarza, a następnie zebrali „aktyw partyjny”, bo powątpiewali w posłuszeństwo komitetu. „Aktyw”, czyli wyselekcjonowane podpory Moskwy, spełnił pokładane w nim nadzieje: „Zebranie partyjnego aktywu obwodu — głosiła rezolucja — bez zastrzeżeń i w całości podziela ocenę KC KPZS, że powstała w autonomicznej republice Górnego Karabachu sytuacja jest poważna”. Zebrani zgodzili się z tym, że „w wyniku apeli nieodpowiedzialnych jednostek oraz biernej postawy obwodowych organów partyjnych i sowieckich wszystko stało się możliwe”. Nowy sekretarz *obkomu* oświadczył w wywiadzie dla gazet centralnych, że jeśli nawet Ormianie z Karabachu mieli pewne trudności, to winę za to ponosi „byłe kierownictwo *obkomu* partii”.

Tymczasem liczba demonstrantów w Erywaniu rosła z dnia na dzień. 26 lutego zastępca członka Biura Politycznego Dołgich odczytał w miejscowej telewizji i radiu apel Gorbaczowa do azerbejdzańskich Ormian. Tekstu tego moskiewskie gazety nie opublikowały. Różni się on od rezolucji KC tym, że nie ma w nim słowa o „nieodpowiedzialnych wystąpieniach ekstremistów”. Generalny sekretarz apelował do „poczucia odpowiedzialności, rozsądku i świadomości”, przypominając, że jedyne, o czym wszyscy mieszkańcy ZSSR powinni myśleć, to *pieriestrojka*. „Nie należy oddawać najpoważniejszych problemów losu narodowego we władzę namiętności i emocji. Jest bardzo ważne, aby widzieć swoje kłopoty w kontekście nie tylko warunków lokalnych, ale i pod kątem toczącego się w kraju procesu rewolucyjnej odnowy”. Gorbaczow podsumował: „Jesteśmy całkowicie pochłonięci *pieriestrojką*, od której zależy los socjalizmu, los naszej ojczyzny i każdego z nas”. Wszystko w tym oświadczeniu jest starannie przemyślane, przede wszystkim słowa „każdego z nas”. Po wystąpieniu apelu Gorbaczow zaprosił do Moskwy dwoje bardzo szanowanych pisarzy ormiańskich, Siłwę Kaputikian i Zorija Bałajana. Natychmiast po powrocie oboje stanęli przed demonstrantami, których liczba w międzyczasie wzrosła do ok. miliona. Głównym argumentem Bałajana, który skłonił demonstrantów do rozejścia się i poczekania przez miesiąc, była groźba, że dalsze demonstracje doprowadzą do obalenia Gorbaczowa. Właśnie to miał na myśli generalny sekretarz, mówiąc o „losie każdego z nas”.

Komitet organizacyjny Ormian postanowił w zgodzie z demonstrantami dać władzy moskiewskiej miesiąc na podjęcie decyzji; jeśli decyzji nie będzie albo będzie niezadowolająca, demonstracje mają zostać wznowione.

W czasie kiedy Armenia i Karabach stawały do buntu, Azerbejdżan podejmował środki zaradcze. Pierwszy sekretarz KC Azerbejdżanu Bagirow odwiedził Górny Karabach i zatrzymał się w miasteczku Agdam. Nikt nie wie, co tam powiedział, wiadomo tylko, że 22 lutego agdamscy Azerbejdżanie ruszyli na stolicę obwodu, Stepanakert. Świadkowie opowiadają, że po drodze zaczęli podpałać domostwa i samochody Ormian. Zaczęły się po-

gromy. Największy odbył się w miasteczku nafciarzy Sumgait, jednym z największych ośrodków przemysłowych Azerbejdżanu. Świadkowie którzy dojechali do Moskwy opowiadali, że milicja nie interweniowała przez 24 godziny, oddając ormiańskie części miasta we władanie morderców i gwałcicieli.

9 marca zebrano się KC, najprawdopodobniej dla przedyskutowania zdarzeń, wyciągnięcia wniosków i podjęcia decyzji. Wyśłuchano pierwszych sekretarzy Armenii i Azerbejdżanu, Demircziana i Bagirowa. Sprawozdanie z obrad (*Prawda* z 10 marca) podkreśla mądrość „przywódcy naszej partii”, którego apel „został gorąco poparty przez narody Azerbejdżanu i Armenii” jako „oświadczenie niezmiernie na czasie”. Podczas zebrania przemówił też sam „przywódca naszej partii”, M. S. Gorbaczow. Oznajmił, że „najważniejszym obecnie zadaniem jest konsekwentne wcielanie w życie leninowskich zasad polityki narodowościowej, umocnienie przyjaźni narodów azerbejdżańskiego i ormiańskiego...”, po czym zakończył: „Najmniejsze zaostrenie sytuacji może nas cofnąć w tył od wielkich zdobyczy przyjaźni narodów, do jakich nasz kraj doszedł przez siedemdziesiąt lat swego istnienia”. Wytarte, powtarzane do znudzenia liczmany, wyprane z wszelkiej treści, powtarzane jak magiczne zaklęcia slogany — oto jedyny owoc „nowego myślenia” Gorbaczowa.

Nasuwają się liczne pytania. Najprostsze brzmi: coż się stało z *głasnością*, dumą ery Gorbaczowa? Krótkie, nic nie mówiące notatki — jeśli w ogóle były — nie pozwalały zrozumieć, co się dzieje na Kaukazie. Brak informacji doprowadził do tego, że plotki i fałszywe informacje — zwłaszcza na terenie rozruchów — rozpały namiętności, pogłębiały napięcie, prowadziły do dalszych rzezi.

Drugie pytanie jest bardziej kłopotliwe. Gdzie się podziały stosowne organy? Dlaczego słynni ormiańscy czekiści nie byli uprzedzeni o szykującej się demonstracji, a niemniej słynni azerbejdżańscy czekiści o pogromach? A może wiedzieli, tylko nikomu nie powiedzieli? Albo powiedzieli temu, kto nie chciał się mieszać? Czytając *Moskowskije nowosti* z 9 marca odkryłem, że nie ja jeden zadaję sobie takie pytania. Naczelnny redaktor pisma, Jegor Jakowlew, napisał: „Kim by nie byli ludzie, pragnący skorzystać z krytycznej sytuacji, jedno jest jasne: popełniono błędy w ocenie stanu ducha mas i jego możliwych konsekwencji”.

Jakie będą konsekwencje rozruchów na Kaukazie? Nie warto się zastanawiać — pod koniec miesiąca uzyskamy pierwsze odpowiedzi. Ich charakter można odgadnąć na podstawie przemówień Gorbaczowa, zobaczymy, jak zostaną sformułowane. Gorbaczow musi wziąć pod uwagę wiele rozmaitych czynników. Armenia jest skazana na pozostanie w granicach ZSSR; nawet gdyby chciała, nie miałaby się dokąd podziać — graniczy z Iranem i Turcją. Ale Armenia ma atut w postaci 3-milionowej, wpływowej w zachodnim świecie diaspory. Należy bezwzględnie docenić wagę precdensu: jeśli Gorbaczow ustąpi Ormianom, stanie w obliczu licznych innych żądań. Kwestia narodowa okazała się w trzecim

roku ery Gorbaczowa najbardziej palącą, najbardziej pilną i najbardziej widoczną. Materiał zapalny jest wszędzie. 20 lutego rozegrała się w Moskwie „bitwa”, w której uczestniczyło ok. 500 ludzi. Po jednej stronie Rosjanie, po drugiej — Uzbegy, tzw. tymczasowi. W Moskwie żyje (o ile można to nazwać życiem) bardzo wielu „tymczasowych”, zwerbowanych do ciężkich, czarnych robót niekwalifikowanych robotników (moskwiczanie nie chcą tych prac wykonywać). Przedsiębiorstwa, które potrzebują rąk do pracy, dostają „limit”, tzn. zezwolenie na zatrudnienie określonej liczby zamiejscowych robotników, którym jednak nie wolno zameldować się w Moskwie. Mieszkają w hotelach robotniczych; opisy strasznych warunków, jakie tam panują, zaczynają powoli przeciekać do prasy. Robotnicy ci, zwani po rosyjsku *limitczkami*, są odpowiednikiem Turków w RFN czy Algierczyków we Francji, z tym, że żyje im się naturalnie nieporównanie gorzej. Wspominam o nich, bo i oni stanowią materiał wybuchowy, i to pod samymi murami Kremla.

Przeciwnicy Gorbaczowa podkreślają, że jego polityka uchyliła wieko kotła, w którym kipią namiętności narodowe ludów imperium sowieckiego. Stronnicy Gorbaczowa twierdzą, że należy koniecznie wypuścić nagromadzoną pod pokrywą parę, bo inaczej kocioł wybuchnie. Sam Gorbaczow prosi, aby wszystkie siły poświęcić *pieriestrojce*, która za jakiś czas sama jakimś magicznym sposobem rozwiąże wszystkie problemy i wszystkich uspokoi.

Trzy ubiegłe lata pokazały, że kwestia narodowa jest na razie problemem zastępczym: zastępuje pytania o naturę systemu, o możliwości zreformowania go, o rolę partii. Kwestia narodowa okazała się najbardziej zrozumiałym, wszystkim dostępnym sposobem wyrażenia niezadowolenia ze wszystkich innych aspektów życia sowieckiego. Z tego punktu widzenia zainteresowanie kwestią narodową w tych formach, w jakich się teraz wyraża — walka krymskich Tatarów o prawo powrotu na swoje ziemie, żądanie mieszkańców Górnego Karabachu, aby ich wcielili do Armenii — chyba niezbyt niepokoi kierownictwo sowieckie.

Kwestia narodowa jest symptomem problemu znacznie poważniejszego z punktu widzenia kierownictwa sowieckiego. Przez dwadzieścia lat rządów Breżniewa republiki zdobyły taką niezależność, że przekształciły się w niemal samodzielne satrapie. Jest to jednak samodzielność szczególnego rodzaju. Władyka Uzbekistanu (pierwszy sekretarz KC) Raszidow nie potrafił (nie chciał) wymusić na Moskwie zezwolenia na zbudowanie w Uzbekistanie przędzalni bawełny: Uzbegy uprawiali bawełnę, odsyłali ją do Rosji centralnej i stamtąd dostawali tkaninę. Władyka Armenii (pierwszy sekretarz Demirczian) nie potrafił (i nie chciał) skłonić Moskwy do przerwania budowy fabryk, zatruwających powietrze, rzeki i glebę Armenii. Listę tę można by kontynuować. Każdy z zarządców prowincji zadowalał się prawem do grabienia swoich poddanych jak tylko mu się chciało. Objąwszy ster państwa, Gorbaczow zrozumiał, że nie zdoła w pełni władzy dopóty, dopóki nie skonsoliduje zdeorganizowanego systemu zarządzania. Nadmierna władza w rękach satrapów — pierwszych sekre-

tarzy republikańskich kompartii — osłabiła władzę centralną. Jej odbudowa jest motorem wszystkich posunięć Gorbaczowa.

Miałera załiar króciutko podsumować trzy lata rządów Gorbaczowa. Niespodziewanie jednak przeczytałem artykuł Borysa Asojana pt. „Psychologia i polityka” (*Literaturnaja gazeta* z 2 marca). Artykuł ten jest właśnie podsumowaniem. Przytoczę kilka cytatów: „Tam odstępstwo od normy uchodzi za normę, słowa nabierają przeciwstawnego znaczenia, absurd przedstawiany jest jako rozumna decyzja... Reakcja rządzących na nowe warunki była łatwa do przewidzenia: przystosować się, przeprowadzić reformy z minimalnym uszczerbkiem dla systemu, zachować przywileje mniejszości... Rzeczywiście, dobrobyt mniejszości — porządne mieszkanie, dobrze płatna praca, lepsze wyżywienie, łatwiejszy dostęp do informacji, wykształcenia i lecznictwa — możliwe są tylko w ramach istniejącego systemu... Wszzechmocny aparat biurokratyczny... uniemożliwia nawet dozwolone przez rząd reformy i grozi, że w ogóle sprowadzi do zera program przemian, jeśli nie zostanie mu zagwarantowana trwałość jego pozycji... Jednak nie tylko opór biurokracji stoi na drodze prawdziwych przemian. Rzecz także w tym, że polityczne kierownictwo rządzącej partii nie jest w stanie wyzwolić się choćby z części ideologicznych pęt, które wszystko dławią...”

Pozostaje tylko wyjaśnić, że artykuł Asojana dotyczy Afryki Południowej. Podtytuł zaś brzmi: „Skuci jednym łańcuchem, czyli dlaczego Botcie nic się nie udaje”.

Dlaczego Botcie nic się nie udaje wynika z artykułu. Dlaczego nic się na razie nie udaje Gorbaczowowi, tłumaczy moskiewski dowcip. Japońskiego i sowieckiego robotnika pytają, dlaczego pracują. Japończyk odpowiada: w jednej trzeciej dla siebie, w jednej trzeciej dla firmy, w jednej trzeciej ku chwale Japonii. Sowiecki robotnik odpowiada: w jednej trzeciej pracuję dla siebie, firm u nas nie ma, a chwałę Japonii mam gdzieś.

Adam KRUCZEK

13 marca 1988

Czechosłowacki Ośrodek Dokumentacji Literatury Niezależnej

Na początku marca 1986 grupa czeskich uchodźców w Hano werze (RFN) założyła Czechosłowacki Ośrodek Dokumentacji Literatury Niezależnej (*Československé dokumentační středisko nezávislé literatury — ČSDS*). Ośrodek został zarejestrowany jako

zrzeszenie użyteczności publicznej. Przewodniczącym zarządu został pisarz Jan Vladislav, jego zastępcą również pisarz Jiří Gruša, zaś kustoszem historyk Vilém Prečan. Do członków-założycieli należą prócz wyżej wymienionych František Janouch, Josef Jelinek, Ivan Medek, Jiří Pelikan, Karl Jan ze Schwarzenbergu i Pavel Tigríd. Członkami honorowymi ośrodka są m.in. Vaclav Havel i Ludvík Vaculík. Przewodniczącym rady naukowej mianowano kanadyjskiego historyka i politologa prof. H. Gordona Skillinga.

W listopadzie 1986 siedzibą ośrodka stał się zamek Schwarzenberg w Scheinfeld koło Norymbergi. Zaadaptował go do potrzeb ośrodka i udostępnił Karl Jan ze Schwarzenbergu.

Od wiosny 1987 ośrodek wydaje kwartalnik *Acta*. Pierwsze dwa numery zawierały omówienia dwóch projektów wydania dzieł zebranych Jana Patočky, oraz szczegółową prezentację samizdatowej serii książkowej *Nove cesty myšlení* (*Nowe drogi myślenia*) oraz czasopisma *O divadle* (*O teatrze*).

Za najlepszego znawcę sytuacji niezależnej literatury czechosłowackiej uchodzi kustosz ośrodka, dr Vilém Prečan. Korzystając z jego pobytu w Wiedniu na kongresie pisarzy na wygnaniu, przeprowadziłem z nim rozmowę na temat samizdatowego piśmiennictwa w Czechosłowacji.



A.M.P.: — *Zanim przejdziemy do niezależnego czasopiśmiennictwa, może zechce Pan powiedzieć kilka słów o ośrodku, który Pan prowadzi?*

VILEM PREČAN: — Nazywamy się Czechosłowackim Ośrodkiem Dokumentacji Literatury Niezależnej. Pod pojęciem „niezależne” rozumiemy wszystko, co nie jest zarządzane i manipulowane przez totalitarne państwo, władzę, partię komunistyczną itd., inaczej mówiąc, wszystkie działania obywatelskie. Do literatury natomiast zaliczamy nie tylko powieść, poezję i dramat, ale również historiografię, filozofię, publicystykę polityczną oraz cały niezależny system informacji, który się rozwinął w samizdacie.

A.M.P.: — *Czy również literaturę emigracyjną?*

V.P.: — Oczywiście. Literaturę czeską i słowacką traktujemy jako całość niezależnie od tego, gdzie powstaje, i naszą ambicją jest mieć w naszej podręcznej bibliotece także wszystko to, co wychodzi za granicą.

A.M.P.: — *Gdzie znajduje się Wasz ośrodek, jak można doń dojechać?*

V.P.: — Naszą siedzibą jest zamek Schwarzenberg w miasteczku Scheinfeld w RFN, w pół drogi między Norymbergą a Würzburgiem, blisko autostrady A3. Najbliższa stacja kolejowa nazywa się Markt Eibart.

AMP.: — Czy mógłby Pan wymienić najważniejsze podziemne periodyki? Kto je redaguje, jak często wychodzą i jaką tematyką się zajmują?

VP.: — Istnieje dziś z półtora tuzina ważnych czasopism, może nieco więcej. Spróbuję wymienić niektóre z nich. Zaczęę od miesięcznika literackiego ukazującego się dziesięć razy do roku (w lipcu i sierpniu nie wychodzi) pod tytułem *Obsah (Spis treści)*. Jego objętość waha się w granicach 100-150 stron maszynopisu. Ponadto raz do roku dokonuje się wybór najważniejszych pozycji z ostatnich dziesięciu numerów. Nazywa się on *S obsah* i liczy 60-70 stron formatu A1.

Kolejnym piśmem jest *Kritický sporník*, ok. 100-stronicowy kwartalnik, poświęcony zagadnieniom historii literatury, krytyce literackiej, teorii literatury, ale też trochę muzyce, teatrowi, sztuce plastycznej. Każdy numer zawiera również informacje o czasopiśmie i książkach wydawanych w podziemiu w seriach takich jak *Edice Felice (Ryciel)*, *Edice Expedice (Ekspedycja)*, *Nové cesty myšlení (Nowe drogi myślenia)* i inne.

Ważnym czasopiśmem jest półrocznik *O divadle (O teatrze)*. Do tej pory ukazały się dwa numery, pierwszy liczył 250 stron, drugi już 450. Ponadto znajdują się dwa czasopisma filozoficzne, *Paraf. i Reflexe*. *Paraf.* (skrót do *Paralelné Akta Filozofie*) wydawany jest przez katolików. Do tej pory wyszło siedem numerów; rocznie wydawane są dwa-trzy numery objętości 100-150 stron maszynopisu.

Twórcą i redaktorem *Reflexów* jest Ladislav Hejdanek. W piśmie tym publikują przede wszystkim filozofowie i teolodzy protestanccy, ale zdarzają się także katolicy.

Istnieje też kilka czasopism literackich dla młodzieży lub wydawanych przez młodych. Jedno z nich nazywa się *Revolverová revue jednonohou (Revolverowy przegład jedną nogą)*. Publikuje się tam wiele przekładów, które młodzi ludzie chcą czytać, np. Władimira Bukowskiego. Pismo *Vokno (Okno)* z kolei ma już dłuższą historię. Jego wydawcy byli w latach 1981-1983 więźni, po czym zaczęli wydawać swe czasopismo na nowo.

Almanach *Sítelni Evropa (Europa Srodkowa)* prezentuje teksty autorów o światopoglądzie katolickim, zajmujących się problemami tego właśnie obszaru. Do tej pory ukazało się osiem numerów. Publicystykę polityczną i gospodarczą znaleźć można w periodyku *Ze zapsniku* i z *bloku (Z notesu i z bloku)*, wychodzącym trzy-cztery razy do roku.

Istnieją też dwa nowe słowackie pisma literackie. Jedno z nich nazywa się *K* i wyszły do tej pory trzy numery, drugim jest *Fragment*, z którego znam dwa numery.

AMP.: — Nie wspominał Pan o *Infochu*, czyli Informace o Chartre 77 (Informacje o Kartce 77).

VP.: — Rzeczywiście. Jest to najstarszy z istniejących periodyków, wychodzący od 1978 roku biuletyn Karty 77 i VONS-u

(Komitetu Obrony Nieśluszenie Prześladowanych). Rocznie wka-
zuje się 12-14 numerów.

A.M.P.: — Czy mógłby Pan omówić czasopiśmiennictwo czeskie
i słowackie na uchodźstwie?

V.P.: — W Paryżu ukazują się trzy razy do roku *Svedectvi*, pismo
istniejące od 1956 roku i nierozdzielnie związane z nazwiskiem
Pavla Tigrida, który niedawno obchodził siedemdziesiąte urodzi-
ny. Od roku 1971 wychodzą — najpierw cztery, potem sześć razy
w roku — *Listy*, wydawane przez Jiříego Pelikana w Rzymie.
Listy mają coroczny ważny dodatek, tzw. *Čtení na léto* (*Lektury
na lato*) — almanach liczący dziś już ponad 200 stron drobnego
druku, w którym ukazują się teksty autorów emigracyjnych i
krajowych.

Istnieje też czasopismo *Studie*, wydawane przez Akademię
Chrześcijańską w Rzymie i sygnowane imieniem Karla Skalicky.
Aleksander Tomasky wydaje w Londynie przegląd filozoficzny
Rozmluvy. Kolejne pismo, to dwumiesięcznik *Reporter*, nawig-
ujący do *Reportera*, który ukazywał się w Czechosłowacji
do 1969, kiedy to został zakazany. W Kanadzie grupa młodszych
ludzi wydaje pismo *Zapad* (*Zachód*).

Istnieją też socjaldemokratyczne *Pravo lidu* (*Prawo ludu*) uka-
zujące się w Wuppertalu cztery razy do roku w gazetowym for-
macie, monarchijski miesięcznik *Ceske slovo*, którego tradycja się-
ga daleko do czasów I Republiki, wiedeński kwartalnik *Pater-
noster*, wydawany przez młodych z *undergroundu*, który ma już
w dorobku 18 numerów.

A.M.P.: — Czy sporządzane są również kasety magnetofonowe
lub video?

V.P.: — Oczywiście. Istnieje na przykład video-magazyn wydawa-
ny przez *Kulturní Klub* w Paryżu, który ukazuje się w dwumie-
sięcznym rytmie. Do tej pory wydano 12 kaset plus jeden numer
specjalny. Jego redaktorem jest Karel Kinca, czeski dziennikarz,
który od roku 1962 żyje w Anglii i jest współpracownikiem czeso-
pisma *Index on Censorship*. Każdy z magazynów trwa 120 minut
i zawiera najważniejsze informacje zagranicznych stacji telewi-
zyjnych, których czechosłowacki widz nie ma okazji oglądać, a
także zdjęcia z ważnych wydarzeń nakręcone w Czechosłowacji,
np. z pogrzebu Vaclava Černego, z rocznicowych uroczystości pa-
mięci Tomasa Masaryka, ze spotkania przedstawicieli „Solidar-
ności” i Karty 77. Moim zdaniem czechosłowacko-polska współ-
praca ludzi z organizacji niezależnych otwiera nowy, pełen na-
dziei rozdział polsko-czechosłowackich stosunków.

W przeszłości było między Polską i Czechosłowacją sporo
problemów i konfliktów, nie doszło np. do realizacji planowa-
nej podczas drugiej wojny światowej konfederacji polsko-cze-
chosłowackiej. Między naszymi narodami brak było zawsze zau-
fania. Dla Polaków Czesi byli — już w minionym stuleciu —
zbyt plebejscy, a przy tym zbyt demokratyczni. Czesi też mieli

wiele uprzedzeń do Polaków i ignorowali ich. Reżym zawsze z tego korzystał, a w czasie, kiedy bał się zarazy „Solidarności”, prowadził perfidną, zniekształcającą kampanię antypolską („Polacy są leniwi, nie pracują, i teraz my, Czesi, musimy za to płacić, wysłać im mięso, którego wkrótce sami mieć nie będziemy” itp.). Po prostu reżym — nie w gazetach, ale bardzo dobrze i obrotnie szerzoną kampanią — chciał zapobiec wpływowi polskich wydażeń na Czechosłowację.

Ale z drugiej strony istnieje współpraca między KOR-em i Kartą 77. Z pewnością wie Pan, że Karta informowała o tym, co się działo w Polsce, że ostrzegała Polaków w chwili, gdy się zdawało, iż przygotowuje się (a może rzeczywiście się przygotowywała?) interwencja „bratnich państw” przeciw Polsce.

A.M.P.: — Skoro już jesteśmy przy tematyce polsko-czechosłowackiej, chciałbym Pana zapytać o przekłady polskich autorów w czechosłowackim samizdacie. W Polsce ukazują się dramaty Havla, powieści Kundery i wielu innych. Co zaś może poznać czytelnik czeski bądź słowacki?

V.P.: — Istnieje np. pismo pt. *Solidarność*, którego widziałem cztery numery. Ukazują się tłumaczenia polskiej literatury, artykuły takich autorów jak Adam Michnik i Jacek Kuron. Istnieją — tak w Czechach, jak na Słowacji — grupy tłumaczy, którzy śledzą polskie periodyki, zarówno wydawane w Polsce, jak za granicą: *Aneks, Kultura, Zeszyty Literackie, Puls, Zeszyty Historyczne*, a potem najważniejsze rzeczy z nich są przekładane. Starano się też, by polscy bohemiści mieli do dyspozycji czeską literaturę niezależną, aby byli na bieżąco poinformowani o tym, co się ukazuje. A to dlatego, że oni tak dużo przekładają...

A.M.P.: — Serdecznie Panu dziękuję za rozmowę i życzę sukcesów w pracy ośrodka.

Rozmawiał Aureliusz M. PĘDZIWIOL

Wiedeń, grudzień 1987 - styczeń 1988

P.S.: Adres Czechosłowackiego Ośrodka Dokumentacji Literatury Niezależnej: Dokumentationszentrum, Schwärzenberg 6, D-8533 Scheinfeld, RFN, tel.: 09162/7761. Ważna informacja: dr Vilém Prečan mówi po polsku.

Kronika ukraińska

30 października 1987 roku w więzieniach ZSSR przebywało nadal 454 więźniów politycznych, w tym 112 Ukraińców. W dniach 12-14 stycznia br. odbyło się w Erywaniu spotkanie przedstawicieli komitetów obrony więźniów

surczenia z Ukrainy, Armenii i Gruzji, na którym postanowiono powołać ogólnowiązkowy komitet obrony więźniów politycznych.

Na początku października 1987 roku powstało w Kijowie i Lwowie „Ukraińskie Stowarzyszenie Niezależnej Inteligencji Twórczej” — UANTI. Wśród jego członków założycieli znalazło się 14 byłych więźniów politycznych, członków ukraińskiej Grupy Helsińskiej i wydawców niezależnego *Ukraińskiego Wiśnyka*. „Jesteśmy głęboko przekonani — piszą sygnatariusze deklaracji programowej — że oficjalne związki pisarzy, artystów, aktorów i filmowców Ukrainy nie reprezentują w pełni duchowych, literackich, kulturalnych i publicznych procesów, które zachodzą wśród inteligencji na Ukrainie i nabierają obecnie coraz większego znaczenia”. W Kijowie UANTI wydało zbiór prac literackich poświęconych tysiącleciu chrztu Rusi oraz w styczniu br. pierwszy numer swego organu, który nosi tytuł *Katedra*. Wydawcą nowego czasopisma jest Mychajło Osadczy, były długoletni więzień polityczny.

Kijowski Klub Kultury i Ekologii po raz pierwszy wystąpił publicznie na początku sierpnia 1987 roku. Początkowo działał on za aprobatą władz, które zgodziły się na jego oficjalną rejestrację. 4 października w spotkaniu klubowym poświęconym „białym plamom” w historii ukraińskiej kultury wzięło udział około 200 osób. Omawiano wówczas m.in. kwestię sztucznego głodu wywołanego w 1933 roku przez Stalina. Uczestnicy dyskusji otwarcie mówili o „ludobójstwie”, „zniszczeniu kultury ukraińskiej”, „systemie władzy totalitarnej”, „walce o prawa jednostki i narodu” oraz o obozach w Mordowii. Na zakończenie wieczoru minutą ciszy uczczono pamięć ofiar sowieckich obozów i więzień. Już 19 października pojawiły się w prasie pierwsze ataki na Klub. W dzienniku *Weczirnyj Kyjiv* ukazał się obszerny artykuł krytykujący członków klubu za propagowanie tzw. „barzdużynnego nacjonalizmu” i działanie z poduszczenia zachodnich ośrodków. Autorowi w szczególności nie spodobał się projekt wzniesienia pomnika ku czci „Ukraińskich patriotów”, którzy cierpieli i zginęli z ręki władz oraz tematyka spotkania z 4 października. Nowy atak na Klub opublikowała 17 listopada *Robitnyca Hazeta*. Władze wycofały też zezwolenie na organizowanie publicznych spotkań i jako warunku pełnej rejestracji zażądały od członków Klubu wprowadzenia do swego statutu dwu poprawek: uznania ideologii marksistowsko-leninowskiej oraz zobowiązania się do walki z „ukraińskim burżuazyjnym nacjonalizmem”. Jak dotychczas żądania te zostały całkowicie odrzucone, zaś pod adresem władz wysunięto postulat by raczej zainteresowały się one resnącym szowinizmem rosyjskim. Członkowie Klubu otrzymali oficjalne ostrzeżenie, iż jeśli będą nadal działać nielegalnie, poniosą konsekwencje prawne. Na zebranie 15 listopada, którego celem było przedyskutowanie aktualnej sytuacji Klubu, przybyło około 150 członków; obradowali oni na świeżym powietrzu i w asyście milicji. Członkowie Klubu podzielili się na małe grupy seminaryjne i kontynuują swą pracę w mieszkaniach prywatnych. Wśród omawianych tematów znalazły się takie jak: znaczenie Tysiąclecia chrztu Rusi, twórczość literacka autorów zakazanych i kwestia ich rehabilitacji, potrzeba wprowadzenia gwarancji konstytucyjnych dla języka ukraińskiego oraz białe plamy w najnowszej historii Ukrainy. 17 stycznia, w rocznicę 50-tych urodzin zamordowanego w Mordowii poety Wasyla Stusa, Klub zorganizował w prywatnym mieszkaniu wieczór pamięci, który zgromadził około 100 uczestników. Tymczasem w oficjalnej prasie po raz pierwszy wymieniono nazwisko poety; 2 grudnia *Weczirnyj Kyjiv* oświadczył: „nie będziemy podejmowali dyskusji na temat losu Wasyla Stusa... Z pewnością czas uporządkuje wszystkie sprawy”. Niespodziewanie ten sam *Weczirnyj Kyjiv* w listopadzie podał, że otrzymał w sprawie Klubu Kultury i Ekologii 106 listów od czytelników, w tej liczbie 33 potępiające napady na Klub. Zamieszczono też wybór 9 listów, w tym czterech, które wyrażały poparcie dla Klubu i jego działalności. Kuzniecowa — jeden z czytelników — pisał,

że dysydenci i byli wicznikowie polityczni, w tym członkowie działacze Klubu Kultury i Ekologii, pomogli wytyczyć drogę obecnej przebudowy. Przedstawiciele redakcji spotkali się następnie z delegacją Klubu, ale rozmowy zostały zerwane, ponieważ redakcja odmówiła opublikowania odpowiedzi członków Klubu na oszczerezy artykuł. Nie był to jednak koniec całej sprawy. 2 grudnia *Wieczorny Kyjw* doniósł, że otrzymał już 173 listy od czytelników, w tym 65 wyrażało poparcie dla Klubu. Spośród zamieszczonych czterech listów i dwu fragmentów, trzy broniły praw Klubu. Sensacją jednak było wydrukowanie listu Oksany Meszko, członka-zalotczyca ukraińskiej Grupy Helsińskiej i byłej wicznikarki politycznej.

Jesienią ubiegłego roku powstał we Lwowie inny nieformalny klub ukraiński, który od miasta przybrał nazwę „Stowarzyszenie Lwa”. Klub zorganizował były student Uniwersytetu Kijowskiego Konyk. 26 grudnia „Stowarzyszenie Lwa” urządziło wieczór poświęcony wybitnemu poecie Wasylowi Symonenko. Kluby podobne do kijowskiego i lwowskiego założono również w Odessie, Charkowie i Dniepropietrowsku.

17 listopada *Kultura i Życie* podała informacje o istnieniu na Ukrainie dwu nieznanych dotychczas nieformalnych grup młodzieżowych o charakterze narodowym. Jedną z nich została wykryta w Tarnopolu; założył ją wraz z trzema kolegami pewien student Instytutu Pedagogicznego. Pierwsza akcja grupy miała polegać na umieszczeniu flagi ukraińskiej na gmachu rządowym w Tarnopolu. Drugą grupę wykryto w Zbarażu. Składała się ona przeważnie z ludzi posiadających wyższe wykształcenie, którzy postanowili rozpowszechniać antyrządowe plotki i w tym celu zebrali już sprzęt drukarski. Członków obu grup zwolniono po udzieleniu im nagany. Autor artykułu w *Kulturze i Życiu* przyznaje, że młodzież na Ukrainie Zachodniej nie podziela negatywnych opinii na temat ukraińskiego ruchu narodowego lat 40-tych, a w wielu wypadkach odnosi się doń nawet zyczliwie i jest podatna na „dywersję ideologiczną” emigracji.

W grudniu Wacław Czornowół założył niezależne Stowarzyszenie Dziennikarzy, które zgłosił składowi Międzynarodowego Stowarzyszenia Dziennikarzy.

Ministerstwo oświaty rozporządzeniem z listopada ubiegłego roku zlikwidowało wydziały literatury i języka ukraińskiego w instytutach pedagogicznych w Woroszyłowgradzie, Drohołyżu, Kirowgradzie, Charkowie, Sumach i Równem.

Wspomniany już *Wieczorny Kyjw* przyznał: „Nikt nie zaprzecza i nie ma prawa negować takich faktów historycznych jak głód na Ukrainie w latach 1930-tych”. Głodowi na Ukrainie poświęcił także sporo miejsca redagowany przez Ukraińca Witalija Korotyca *Ogoniok*. W grudniu na jego łamach demograf Marek Tults stwierdził, że Stalin w 1934 roku podał, iż ZSSR ma 168 mln ludności, podczas gdy w rzeczywistości prawdopodobnie było wówczas tylko 158 mln., zaś w 1937 roku karał sfałszować wyniki spisu ludności, by ukryć rezultaty głodu. W 1932 roku ZSSR kupił za zboże prawie połowę światowego eksportu maszyn i urządzeń. Głód był zatem bezpośrednim rezultatem przyjęcia polityki forsownego uprzemysłowienia. Na początku br. *Ogoniok* zaczął publikować listy czytelników opisujących głód na Ukrainie i rozkulacanie.

15 lutego *Literaturna Ukraina* wydrukowała tekst wystąpienia Oksy Musijenko, wygłoszonego na zebraniu kijowskiej organizacji partyjnej *Związek Pisarzy Ukrainy*. Musijenko oskarżył Stalina o wywołanie na masową skalę głodu na Ukrainie w latach 1932-1933. Jak stwierdził pisarz: za pomocą „mordu głodowego” dokonane „zagłady milionów” ludzi. Następnie Musijenko stwierdził, że wśród przyczyn samobójstwa narodowego komunisty Skrypnyka znalazły się: „okrutny głód” na Ukrainie w latach 1932-1933, „wsieckie ataki” Stalina na politykę ukrajinizacji i kampania przeciwko bronionej przez Skrypnyka Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Zdańsem

Musijenki Skrypnyk zastrzeżił się „na znak protestu przeciw wprowadzeniu kultu Stalina”. Jako obrońca praw republik nierosyjskich popadł ón w konflikt ze Stalinem w „kwestii budownictwa kulturalnego, przymusowej kolektywizacji, a zwłaszcza woluntarystycznych dostaw ziarna jesienią 1932 roku, które stały się jedną z przyczyn masowego głodu na Ukrainie”. Musijenko przypominał, że spośród 193 członków, których liczył Związek Pisarzy Ukrainy w 1934 roku, w latach następnych represjonowano, później rehabilitowano 97 pisarzy, ale pozostała pewna liczba pisarzy do dziś nie zrehabilitowanych. Ofiary Stalina pisarz określił jako „Rozstrzelane odrodzenie” używając w ten sposób terminu przyjętego na emigracji, po opublikowaniu przez Instytut Literacki w Paryżu w 1959 roku, przygotowanej przez Juria Ławrynenkę, antologii tekstów autorów represjonowanych w latach 1930-tych. W wystąpieniu Musijenki po raz pierwszy stwierdzono, że dyktatura Stalina zaczęła się zaraz po śmierci Lenina, w 1924 roku, podczas gdy dotychczas nikt nie śmiał krytykować lat 1920-tych i dopiero następną dekadą uchodziła oficjalnie za uosobienie stalinizmu. Lata rządów Lenina pozostają na razie jeszcze święte i nietykalne. Okres rządów Chruszczowa pisarz ocenia pozytywnie, zwłaszcza ze względu na „likwidację specjalnych obozów dla więźniów politycznych” i zaprzestanie stosowania terroru. Chruszczow jednak — jak pisze Musijenko — „jednocześnie jechał na dwu koniach, które ciągnęły w różnych kierunkach”. Następna epoka, Breżniewa, oznaczała „odnowienie systemu kierowania ukształtowanego w okresie kultu jednostki”. Zdaniem Musijenki Związek Pisarzy Ukrainy powinien wywierać presję celem pełnej rehabilitacji wszystkich pisarzy ukraińskich, którzy nie zostali zrehabilitowani w latach 50-tych i 60-tych. Ich prace powinny zostać opublikowane i spopularyzowane. Należy usunąć „białe plamy” w historii i kulturze narodu ukraińskiego. I wreszcie po trzecie: twórcze siły narodu powinny zwiększyć swą aktywność.

Serhij Bilokin opublikował w *Literaturnej Ukraini* z 10 grudnia artykuł poświęcony Skrypnykowi. Zdaniem Bilokina Skrypnyk uważał, że władze Ukrainy Sowieckiej ponoszą odpowiedzialność „za pełnienie służby narodowej i kulturalnej” wobec ludności ukraińskiej żyjącej poza Ukrainą. Następnie Bilokin powołał się na przykład współpracy między władzami ukraińskimi i kazachskimi w latach dwudziestych celem zapewnienia mniejszości ukraińskiej w Kazachstanie „rozwoju kultury ukraińskiej, ukraińskich szkół i gazet w okręgach zamieszkałych przez ludność ukraińską”. Autor kończy swój artykuł uwagą: „Teraz czasy się zmieniają i można by mieć nadzieję, że po zaspokojeniu potrzeb kulturalnych Rosjan w Kazachstanie przyjdzie kolej na Ukraińców na Kubaniu, Dalekim Wschodzie itd.”. Nieco wcześniej, w październiku zeszłego roku Dmytro Czerednyczenko, jeden z redaktorów literackiego miesięcznika *Prapor*, domagał się by rozgłoszenie radiowe nadejście w językach republikańskich były tak silne, aby programy w dowolnym języku można było słuchać w każdym zakątku kraju, co przeciwdziałałoby wynarodowianiu skupisk danej narodowości mieszkających poza swą republiką. W styczniu tego roku na łamach tygodnika *Kultura i Żyttis* Iwan Dziube, znany z obrony narodowego komunizmu w latach 1960-tych, zarzucił Ukraincom, iż zapomnieli o swoich rodakach żyjących na Kubaniu, w Kazachstanie i Syberii oraz o około milionie Ukraińców mieszkających w Moskwie.

12 lutego *Izwiestia* opublikowały artykuł swego korespondenta z Ukrainy, w którym podał on, że w Centralnej Bibliotece Naukowej ukraińskiej Akademii Nauk zaczęto udostępniać czytelnikom książki Mychajła Hruszewskiego. Jego sylwetce oraz okresowi ukraińskiej Republiki Ludowej poświęcił artykuł również *Literaturna Ukrainajna*. Hruszewskiego określono w nim jako wybitnego historyka, choć skrytykowano jego poglądy polityczne. Ostatnio zaczęto również pisać i wydawać niektóre prace M. Chwyłowego oraz W. Wynnyzenki.

17 lutego 1988 roku, podczas wizyty w Kijowie brytyjskiego ministra

spraw zagranicznych Geoffrey'a Howe'a, grupa ukraińskich działaczy przekazała mu, za pośrednictwem korespondenta *Daily Telegraph*, list, w którym zwróciła uwagę na konieczność natychmiastowego zwolnienia więźniów politycznych i zagwarantowania wolności słowa oraz poprosiła o otwarcie brytyjskiego konsulatu w Kijowie, zorganizowanie w tym mieście centrum dla dziennikarzy, utworzenie ukraińskiej sekcji BBC, a także poprosiła o pomoc w staraniach o zniesienie zakazu działalności Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej i Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej oraz innych grup religijnych.

17 lutego przewodniczący Komitetu Obrony Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej Iwan Mel wręczył A. Grzymce petycję podpisaną przez 5451 sygnatariuszy, domagających się „odnowienia statusu prawnego naszego Kościoła, ponieważ istnienie UOK w kutaikumbach jest sprzeczne z art. 32 Konstytucji ZSRR”. Petycja nie została przyjęta. I. Mel oświadczył wobec zagranicznych dziennikarzy: „Zbierzemy nawet więcej podpisów i przekażemy nasze żądania przez kanały dyplomatyczne do Papieża. Począwszy od stycznia rozpoczęliśmy wydawanie miesięcznika i przygotowujemy otwarte obchody na czerwiec”. Tylko w regionie Lwowa działa 300 księży. W całym mieście istnieje tajne seminarium duchowne, do którego uczęszcza 25 kandydatów. 5 biskupów przebywa nadal w podziemiu, a 3 ujawniło się. Jeden z nich, bp Wołodymyr Terniuk uważany jest we Lwowie za biskupa pomocniczego kardynała Lubaczewskiego.

Grupa ukraińskich uczonych wystosowała list do władz, protestując przeciwko dalszej rozbudowie elektrowni atomowych na Ukrainie ze względu na zanieczyszczenie środowiska i ryzyko społeczne.

We Lwowie powstała, wzorowana na moskiewskiej, „Grupa Budowy Zaufania”. Liczy ona około 30-50 członków. Założycielami Grupy są m.in. Olek Olysewycz, autor manifestu: „Ideologia sowieckich hippiesów” i mąż Dmytro Tyszenko. Grupa chciała zorganizować 26 grudnia demonstrację przeciwko wojnie w Afganistanie. Niestety, w nocy 25 grudnia jej członkowie Mykoła Margorin i Dmytro Kaminskyj zostali zatrzymani w czasie próby rozrzucania ulotek zawiadamiających o demonstracji. Następnego dnia milicja otoczyła plac, na którym miał odbyć się protest i uniemożliwiła zebranie się demonstrantom. Członek Grupy S. Hura, który demonstrował w Moskwie, został skazany na grzywnę w wysokości 50 rubli.

13 grudnia 1987 roku przybył na Zachód Mykoła Rudenka, założyciel ukraińskiej Grupy Helsińskiej, pisarz i wieloletni więzień Cefagu.

(c.d.n.)

Josef BARSKI

Kronika niemiecka

Niemiecka organizacja GFFS (*Stowarzyszenie Wspierające Pobyt Studentów Polskich w RFN*) dysponuje miejscami na półroczne stypendia w Niemczech Zachodnich dla doktorantów i studentów wyższych lat oraz na wakacyjne kursy językowe. Zgłoszenia: *Papieska Akademia Teologiczna, Wydział Filozoficzny, 31-064 Kraków, ul. Augustyńska 7* oraz *Katolicki Uniwersytet Lubelski, Wydział Filozoficzny, 20-950 Lublin, Aleje Racławickie 14* (dr Wojciech Chudy). * Przedstawienie opery Rainera Kunada *Mistrz i Młogorzata* obejrżeli wraz z publicznością zgromadzoną na widowni

Teatru Wielkiego w Warszawie, telewizyjnie Erika Krajoń, Emery Zachodniej. Transmisję satelitarną z tego spektaklu, zrealizowaną przez Polskę, dla widzów szwajcarskich, austriackich i zachodnioniemieckich przeprowadziła sieć telewizyjna ZDF (Mogocinaja). Na Uniwersytecie im. Iana Gutenberga w Mogocinie otwarto w listopadzie ub. roku *Instytut polonistyczny* (pierwszą tego typu samodzielną placówkę na terenie RFN). Kierownictwem tej instytucji a także bobemistyką objęła prof. Brigitte Schulte z Uniwersytetu w Getyndze. W projekcie badawczym *Sonderforschungsbereich — die literarische Übersetzung (Spezifische literarische Studien — Übersetzung literarische)* w Getyndze prof. B. Schulte przeprowadza badania nad przekładami dramata polskiego na język niemiecki. W jej osobie polonistka w RFN ze zyskała kompetentnego i bardzo oddanego polskiej literaturze badacza. Na Polskie Linie Lotnicze LOT uruchomili sezonowe połączenie na trasie Warszawa-Kraków-Kolonia (dwa razy w tygodniu). Astor i wykonawca piosenek Stephan Krauszak oraz jego żona, Franz Klier zostali wydalenii z NRD do Republiki Federalnej. Krauszak i Klierzdziesięciu przyciętci zostało aresztowanych we Wschodnim Berlinie podczas manifestacji w rocznicę zamordowania Róży Luksemburg i Karla Liebknechta. W galeiach Związku Polskich Artystów Fotografików, Stary i Nowej, przy Placu Zamkowym w Warszawie, czynna była wystawa wychozonej fotografii artystycznej z RFN — *Inscenizacja*. Twórcą wystawy był Andreas Müller-Polde z Getyngi, wydawca kwartalnika *Europae Photography*. B. Wacław Piątkowski, b. ambasador PRL w RFN: „Wieloletnia umowa gospodarza z 15 października 1970 roku miała — jak zapowiedział Brandt — stworzyć warunki do uzyskania przez Polskę fakturyznych kosztów materialnych, które mogłyby wynosić ok. 10 mld marek, o jakie zabiegał Gomułka. (...) RFN nie zrealizowała jej postanowień w podstawowych punktach, i tak jest do dnia dzisiejszego. (...) Jak obliczono, liczące Polacy przetracowali przynajmniej na rzecz III Rzeszy 53 miliony lit, tworząc określony majątek, o wartość którego w tym czasie nubożyli własny kraj”. Edmund Medlewski, przewodniczący Stowarzyszenia „Wisła-Odra” (zajmł Wacław Piątkowski) wydał broszurę pl. 23 miliony lat niewolniczej pracy (Książka i Wiedza, Warszawa 1988). Zdaniem Medlewskiego pretensje odszkodowawcze nie wygasają nigdy, są dziedzinne. Przewodniczą Stowarzyszenia „Wisła-Odra” jest Instytut Pamięci Narodowej, który „prowadzi całą ewidencję i gromadzi dokumentację” w sprawie odszkodowań. Wygląda na to, że władze niemieckie tylko w doradnych okolicznościach są zainteresowane działalnością tej placówki. Deutscher Akademischer Austauschdienst (DAAD) — instytucja rządowa w RFN, zajmująca się wzmianką z kandydat krajami pracowników nauki i studentów, dopomogła 1.600 polskim naukowcom w odbyciu studiów i przeprowadzeniu badań naukowych w Republice Federalnej Niemiec. Biskupstwo mogocinie diegli pośredniczywa Fundacja im. Maksymiliana Kolbe gościła przez czternaście dni dziennikarę b. więźniów obozów koncentracyjnych z Polski. Polscy KZ-owcy zostali przyjęci m.in. przez bp. Karla Lehmana (przewodniczący Konferencji Biskupów Niemiec) i premiera rządowego Nadrenii-Palatynatu, Bernharda Vogla. W ub. roku premier Bernhard Vogel (CDU) przebywał w Polsce, gdzie dokonał otwarcia domu starców. Rzeczpospolita: „Do budowanych w NRD elektrowni atomowych wysyłamy z Polski dobrych specjalistów. Aby nabrać doświadczenia w pracach, które to doświadczenie owocować będzie później; przy budowie polskich elektrowni atomowych”. P.K.P. uruchamia od 29 maja br. połączenie kolejowe (dwa razy w tygodniu) na trasie Warszawa-Monachium-Warszawa (przez Görlitz i Regensburg). Polskie ofiary eksperymentów pseudomedycznych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych uzyskały pomoc finansową od władz RFN za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Do 1971 roku pomoc ta objęła 1.857 osób (wśród nich Polaków żyjących na emigracji). W 1972 roku strona

niemiecka przekazała Polsce 110 mln na zaspokojenie roszczeń osób, które w pseudomedycznych eksperymentach doznały uszczerbku na zdrowiu. Do 1975 roku działała w PRL instytucja pełnomocnika rządu d/s pomocy finansowej. Wypłacono w złotychkach 60 mln marek (1). *Trybuna Ludu*: „Postanowienie, zamykające drogę do dochodzenia roszczeń, jak i sposób wydania pozostałej sumy, wywołało wiele wątpliwości i sprzeciwów. Ogromne znaczenie miała więc decyzja rządu z grudnia 1981 roku w sprawie rewindykowania 40 mln marek (zatrzymanych na koncie *Urzędu Rady Ministrów* przez premiera Piotra Jaroszewicza — przyp. A. J. Ch.) z przeznaczeniem na zaspokojenie roszczeń osób, które wcześniej z różnych powodów nie uzyskały odszkodowań”. Spośród blisko 13 tys. wniosków uwzględniono jedynie 557. Odkrytą tajemnicą akcję pomocy zakończono „w końcu 1986 roku”. Jakże sumy wypłacane poszkodowanym i w jakim przeliczeniu? Kilku posłów w *Sejmie PRL* zapowiedziało powrót do tej sprawy „po otrzymaniu wszelkich materiałów ze strony zainteresowanych”. ■ Frankfurckie wydawnictwo *Suhrkamp* i powiązana z nim finansowo oficyna *Insel* wydały dotąd 80 tytułów książek polskich autorów (49 tytułów Stanisława Lema o nakładach 40-50 tys. egzemplarzy). ■ Prokuratura w Moguncji postawiła w stan oskarżenia dwóch miejscowych hurtowników żywności, którzy w latach 1981-1982 współdziałali w pomocy charytatywnej dla Polski. Chodzi o mleko w proszku, które miało sporą domieszkę różnych dodatków, obniżających jego wartości odżywcze. Podobno handlarze zarobili na tej kombinacji ok. 300 tys. marek. ■ Opera kameralna *Manekiny* Zbigniewa Rudzińskiego według prozy Brunońa Schulza (premiera w *Operze Wrocławskiej* w 1981 roku) wystąpiła 6-krotnie w monachijskiej *Alabama Halle*. Kierownictwo muzyczne: Robert Satanowski; inscenizatorzy: Janusz Wiśniewski i Marek Grześniński oraz projektantka kostiumów Irena Biegańska. Warszawska realizacja *Manekinów* wędruje po świecie od pięciu lat, pocsynając od serii przedstawień w Paryżu w 1983 roku. ■ Rzekomo stale zwiększa się liczba Polaków pracujących nielegalnie w RFN. Według *Hannoversche Allgemeine* Polacy podejmują się pracy przez 70 godzin tygodniowo, uzyskując stawki od 3 do 10 DM za godzinę. Policja kryminalna badająca te sprawy mówi o „pracy niewolniczej w czystym wydaniu”. Coraz częstsze są przypadki wytoczenia spraw sądowych Polakom nielegalnie zatrudnionym w RFN czy Berlinie Zachodnim. ■ W zachodniobерlińskiej *Galerie am Holten-dorffplatz* otwarto wystawę prac fotograficznych Ryszarda Dąbrowskiego pn. *Gefundene Negative (Znalezione negatywy)*. Berliński *TAZ* poświęcił wystawie całą kolumnę dużego formatu. Ryszard Dąbrowski, ur. w 1950 roku w Szczecinie, mieszka od pięciu lat w Berlinie Zachodnim. Jest to już jego siódma wystawa w tym mieście. ■ Kolońska rozgłośnia *Deutschlandfunk* nadała 20-minutową audycję opracowaną przez dr. Alexandra Uschakowa pt. *Problem Szczecina i Zatokii Szczecińskiej w stosunkach pomiędzy Warszawą a Pankow*. Od dłuższego czasu trwają spory w tym rejonie dotyczące przebiegu linii granicznej. W 1985 roku NRD jednostronnie rozszerzyła zasięg wód terytorialnych z 3 do 12 mil morskich. ■ *Katholische Akademie* (Essen) wystawiła we własnych pomieszczeniach w Mülheim/Ruhr obrazy olejne i rysunki Andrzeja Jana Piwarskiego (zamieszkuje w Essen) z okazji jego 50-tych urodzin i 25-lecia pracy artystycznej. Wystawę otworzył znany pisarz rosyjski Lew Kopelew (Kolonia). ■ Służba graniczna we Flensburgu (Szweczk-Holzstyn) poinformowała, że w roku 1987 liczba Polaków, którzy zdecydowali się na ucieczkę drogą morską do RFN wynosiła 3.969 osób (3.250 osób w roku 1986). ■ Zachodniobерliński *Ullstein Verlag* wydał *Poesie der Welt: Polen (Światowa poezja — Polska)*. Wybór i postawie — Renate i Peter Lachmann. Antologia poezji polskiej zawiera ponad sto wierszy, które dwudziestu pięciu tłumaczy przełożyło na język niemiecki. Czytelnicy niemieccy (obeznani z poezją polską dzięki przekładom Karla Dedeciusa) otrzymali do rąk jeszcze jeden wartościowy wybór wierszy m.in.:

Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, Ignacego Krasickiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego, Cypriana Norwida, Kazimierza Wierzyńskiego, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta i Tadeusza Różewicza. Natomiast Beck Verlag w Monachium opublikował dzienniki inż. Adama Czerniakowa, przewodniczącego Gminy Żydowskiej pt. *Im Warschauer Ghetto (Dziennik getta warszawskiego)*. Obie wyżej wymienione pozycje zostały obszernie omówione przez Tadeusza Nowakowskiego w wielkich dziennikach *Frankfurter Allgemeine* i bońskiej *Die Welt*. ■ W pierwszą rocznicę śmierci ks. prof. Franciszka Blachnickiego, założyciela *Ruchu Światło — Życie*, dr Marek Cisieleczyk zamieścił okolicznościowy artykuł w monachijskim piśmie konserwatywnym *Criticón* pt. *Ein polnischer Gandhi*. ■ W stolicy Hesji, Wiesbaden, podpisano porozumienie o współpracy z Wrocławiem. Jest to pierwsze tego rodzaju partnerstwo między jednym z miast w Republice Federalnej a miastem na byłych niemieckich ziemiach wschodnich (dotąd istnieją partnerstwa: Brema — Gdańsk i Norymberga — Kraków). *Ziomkostwo Niemieckich Ślązaków* w Wiesbaden poparło partnerstwo z „polskim Wrocławiem”. *Der Schlesier* Herberta Hupki o mało nie czekał z tego powodu. Wrzawa w kołach przesiedleńczych trwa nadal; pogrobowcy rewizjonizmu twierdzą, że w bońskim rządzie koalicyjnym CDU/CSU/FDP istnieje „polskie loby”, które traktuje po macoszemu wysiedleńców ze Wschodu i tym samym narusza „konstytucyjno-prawny porządek Republiki Federalnej Niemiec”. Z różnych ankiet wynika, że 76 % społeczeństwa RFN uważa, iż należy pogodzić się z granicą na Odrze i Nysie, a tylko 24 % jest temu przeciwnie. ■ W Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim obradowała konferencja naukowa zorganizowana przez Fundację im. *Konrada Adenauera (CDU)* i *Katolicki Uniwersytet Lubelski*. Było to już trzecie sympozjum zorganizowane przez wymienione instytucje naukowe w ciągu ostatnich 5-ciu lat. Pierwsze odbyło się w pobliżu Bonn, drugie w Lublinie. Obecna konferencja zajęła się etyką polityczną i odpowiedzialnością chrześcijańską w dobie sekularyzacji i kryzysem wartości na Wschodzie i Zachodzie. Omawiano prawa człowieka, odpowiedzialność polityczną, stosunki Kościół — państwo. Niestety z grona oczekiwanych w Konstancji gości nie przybyli ks. prof. Józef Tischner z *Papieskiej Akademii Teologicznej* w Krakowie oraz redaktor warszawskiego miesięcznika *Res Publica*, Marcin Król. Zachodni Niemcy organizatorzy nie podali przyczyn nieobecności obydwu zaproszonych referentów. ■ Eksport PRL do RFN spadł w 1987 roku o blisko 10 % w porównaniu z 1986 rokiem, a import Polski z RFN obniżył się w ub. roku o 7 %. Nie ma nadziei na zdobycie środków na spłacenie narastających należności. Eksperti zachodni Niemcy są zdania, że reforma gospodarcza w Polsce nie wychodzi poza „zabiegi kosmetyczne” i dlatego nie jest w stanie doprowadzić do zdecydowanego zwiększenia wydajności gospodarki oraz jej konkurencyjności na rynkach zagranicznych. ■ Ankieta CBOS-u przeprowadzona w Polsce: stosunki między Polską a RFN są określone przez respondentów w 59,3 % jako „ani dobre, ani złe”, a w 26 % jako „dobre”; „ogółem powinniśmy stosunki z RFN cenić i zacieśniać z tym krajem współpracę”. ■ Ekskluzywny *Klub Niezależnej Myśli Politycznej* im. *Juliusza Miroszewskiego* w Monachium zorganizował spotkanie z znanym poetą i pisarzem niemieckim (*Pierwsza polca*) — Horstem Bienekiem. Całość dwujęzycznej imprezy prowadziła Alina Perth-Grabowska, sekretarz Klubu. Sylwetkę artysty, rzecznika pisarzy zza żelaznej kurtyny, przedstawił Tadeusz Nowakowski, który też przeprowadził z Bienekiem wywiad. Grzegorz Dłubak czytał fragmenty wspomnień niemieckiego pisarza z Wozkuty (*Die Zelle*) we własnym tłumaczeniu. W wieczorze wzięli udział polscy i niemieccy aktorzy: Danuta Mierzanowska, Wojciech Stockinger, Marek Staśko, Roman Christian Skrobek i Jacek Kaczmarski. Na koniec Horst Bienek wypowiedział się wyraźnie za nienaruszalnością naszej granicy zachodniej. ■ *Instytut Literacki* w Paryżu wydał w 1986 roku powieść Andrzeja

Szczypiorskiego pt. *Początek*. Niemieckie tłumaczenie w przekładzie Klaus Staeumlera poszło najpierw w odcinkach we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* pt. *Die schöne Frau Seidenmann*. Wydanie książkowe zrobiło karierę w zuryjskim *Diogenes Verlag*. Sprzedano dotąd 25 tys. egzemplarzy. *Diogenes Verlag* urządził autorowi spotkania z czytelnikami w ZÜRICHU, DÜSSELDORFIE, DARMSZTADIE (*Deutsches Polen-Institut*), KASSEL, KILONII, HAMBURGU, BERLINIE Zachodnim i MONACHIUM. 25 czołowych krytyków literackich rozgłośni *Südwestfunk* wyróżniło książkę Andrzeja Szczypiorskiego nagrodą miesiąca. Przekłady powieści *Początek* ukazały się niebawem w Wielkiej Brytanii, USA, Szwecji, Brazylii, Finlandii, Holandii, Francji i we Włoszech.

ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM:

Ks. Jan Krawiec (*Carlsberg*), *RFN*. — Jeśli *Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów* istnieje nadal i przejawia działalność, to dlaczego Książka prowadzi korespondencję na papierze z nagłówkiem — *Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji ŚWIATŁO — ŻYCIE*? Co stało się z *Maximilianum* i wspaniałą drukarnią? Słyszeliśmy, że dom i część sprzętu poszła po prostu pod młotek. W jakich okolicznościach odeszła z *Ch.SWN-u* p. Jolanta Gontarczyk? *Prawda — Wyzwolenie*, pismo *Chrześcijańskiej Służby*, nie ukazuje się od kilku lat. Dlaczego?

Ks. Jan Krawiec w artykule zamieszczonym w *Ostatnich Wiadomościach* (Mannheim): pisząc o *Międzynarodowym Centrum Ewangelizacji ŚWIATŁO — ŻYCIE* (ani słowa o *Chrześcijańskiej Służbie Wyzwolenia narodów* (1) stwierdza co następuje: „Nie zmienia to jednak faktu, że zaległości finansowe ośrodka przekraczają już zawrotną (...) sumę jednego miliona marek”.

Dr Karl Dedecius (*Darmstadt*), *RFN*. — Dyrektor zasłużonej placówki *Deutsches Polen-Institut* wygłosił w *Abendakademie* w Mannheim odczyt o współczesnej polskiej literaturze (*Kultura* nr 12/1987, str. 99). Odczyt dr. Dedeciusa nie miał nic wspólnego z imprezą w tejże *Akademii*, podczas której Eugeniusz Guz (*PAP*) mówił o gospodarczym i politycznym położeniu Polski. Odbyła się ona dwa tygodnie później. Za nieporozumienie dr. Karla Dedeciusa najmocniej przepraszam.

Andrzej J. CHILECKI

Odszedł historyk

Być historykiem, to nie tylko uprawiać badanie przeszłości jako pewien zawód czy też rzemiosło, nie tylko dysponować pewnym zasobem erudycji oraz przyswoić sobie pewien zespół technik badawczych. Wielkich historyków wyróżniało to, że bycie historykiem oznaczało dla nich również pewien szczególnie sposób istnienia i zakorzenienia w świecie społecznym, pewien swoisty sposób myślenia o świecie.

O tym, czym była dla Witolda Kuli historia, jak ją uprawiał, jak patrzył na przeszłość, jak zakorzeniała go ona w teraźniejszości, pisze się już dzisiaj książki oraz organizuje kolokwia w różnych krajach — i niewątpliwie przybywać będzie tego coraz więcej. Gdy staram się tę jego swoistość zrozumieć sam dla siebie, zdaję sobie sprawę nie tylko z własnej ułomności, ale również, i przede wszystkim, z oryginalności i wielostronności dzieła Witolda Kuli, nieodłącznego od jego osobowości, od jego niepowtarzalnego spojrzenia na świat, od swoistości jego pisarstwa, które potrafiło, w paru zdaniach, zespolić migawkę oraz historyczną czy też socjologiczną syntezę. Nie pretenduję do formułowania uogólnień nie tylko dlatego, że Witold był moim przyjacielem, szczególnie drogim i bliskim; nie tylko dlatego również, że śmierć jego jest wydarzeniem zbyt świeżym i że na skutek tego wszystkiego brak mi, niejako z natury rzeczy, należnego dystansu. Sądzę, że nieustannie coś bardzo istotnego mi umyka — jakaś warstwa najgłębsza tego wielopłaszczyznowego dzieła, jakiś jego aspekt, który zespała wszystkie inne w zamkniętą już dziś, a przecież niezakończoną całość. Sięgam wówczas raz jeszcze do książek, i — nieuchronnie — wracam do wspomnień.

Książką która, jak sądzę, szczególnie pomaga zrozumieć oryginalność i doniosłość dzieła Kuli, są *Miary i ludzie*. Najprościej scharakteryzować ją, czy też raczej zakatalogować, jako dzieło o metrologii historycznej. I rzeczywiście, jest to książka z tego właśnie zakresu; sama zaś metrologia historyczna jest nader szacowną i czcigodną pomocniczą nauką historii, której początki

siegają co najmniej prac erudyków szesnastego i siedemnastego wieku. Tradycyjna metrologia historyczna ucieleśniała niejako ideał nauki pozytywistycznej: inwentaryzowała systemy miar i wag stosowane w przeszłości, ustalała następnie, definitywnie, tablice ich konwersji, wzajemnego przeliczania tych miar i wag, w szczególności na system metryczny. Była to wiedza równie użyteczna co solidna, a jej wyniki i ustalenia były w pewnym sensie ostateczne. Ci wszyscy, którzy się jej choć trochę uczyli, wiedzą również jak potrafiła być niesłychanie nudna. *Miary i ludzie* dokonały rewolucji, której konsekwencje wykraczały daleko poza metrologię historyczną, a z samego jej przedmiotu, zastygłego, zdawałoby się raz na zawsze, uczyniły obszar pełen zaskakujących niespodzianek. Ów „przewrót kopernikański” polegał na tym, że nauki „główne”, jak na przykład historia gospodarcza lub polityczna, potraktowane zostały jako „pomocnicze”, mające pomóc zrozumieć owe czynności najpowszedniejsze, nieodłączne od wszelkiej kultury: mierzyć i ważyć. Zrozumieć owe czynności, ale również — czy też głównie — ludzi, którzy ich dokonywali, którzy w ciągu wieków spierali się o nie, marzyli o „mierze sprawiedliwej”; próbowali reformować i racjonalizować miary istniejące. W ten sposób miary i wagi potraktowane zostały jako „globalny fakt społeczny”, by posłużyć się formułą Marcelego Maussa, wybitnego antropologa francuskiego, tzn. jako fenomen nieredukowalny do jakiegokolwiek jednego wymiaru życia zbiorowego (np. gospodarka, polityka, prawo itd.). Badacz staje więc wobec zadania, aby w owych zjawiskach (takich właśnie, jak najprostsze i powtarzalne akty odważania zboża czy też odmierzania skrawka pola) odnaleźć wszystkie te aspekty życia społecznego jako współzespólone i współwzwiązane. Sformułowanie to wydaje się, zapewne, nader zawiłe i abstrakcyjne.

Przenikliwość i talent Kuli polegały właśnie na tym, że od pierwszych stron książki owa „rewolucja badawcza” narzucała się jako oczywista, jako podejście niesłychanie proste. Jak to często bywa w przypadku wielkich odkryć i dzieł klasycznych, wydaje się nieraz wręcz dziwne, że jakoś nikt przedtem nie wpadł na ten pomysł, nie potrafił tak właśnie spojrzeć na sprawy. Jakżeż można było inaczej zacząć uczone dzieło o metrologii historycznej, o dziejach miar i wag, niż tak właśnie:

„Czy wiecie, kto wymyślił wagi? Na pewno nie wiecie.

Przypuszczacie może nawet, że miary, podobnie jak koło, czy ogień, należą do owych wynalazków kolektywnych rodzaju ludzkiego, wynalazków nie posiadających indywidualnego wynalazcy.

Otóż wiedziecie, że się mylicie.

Widać mylicie się, skoro źródło dostojne, którego wiarygodności nie śmiałbym skrytykować, ujawnia nam imię prawdziwego wynalazcy miar i wag.

Był nim Kain.

Tak, ten sam, zły brat, syn Adama i Ewy, który po zabiciu Abła popełnił jeszcze wiele czynów bardzo grzesznych, a między innymi — pisze Józef Flawiusz — wynalazłszy miary i wagi, zmienił

on niewinną i szlachetną prostotę, w jakiej żyli ludzie póki ich nie znali, w życie pełne oszustwa' (Józef Flawiusz, *Starożytności żydowskie*, I, 2, 2).

Nie śmiećcie się. Źródło naprawdę uważać należy za ważne, a nawet w pewnym sensie wiarygodne. Wiarygodne w tym sensie, że poucza nas, że w mentalności prymitywnej, odmalowanej znakomicie przez tradycję biblijną — tradycję wiernie nam na pewno przekazaną przez Józefa, który — choć kolaborant — wywodził się przecież z rodziny jerozolimskich kapłanów — miara kojarzy się z oszustwem, jest symbolem utraty pierwotnej szczęśliwości; wywodzi się bezpośrednio z grzechu pierworodnego. Przystaniemy się temu dziwić, gdy w toku dalszych rozważań zapoznamy się z wybranymi fragmentami społecznych dzieł miar i wag, gdy zobaczymy ile kryją one w sobie krzywd, dramatów i walk".

Toteż nie dziwnym się, że książka, która zaczyna dzieje miar i wag od Adama i Ewy, taką oto konkluzją zamyka równie odkrywczą, opartą na mozolnej kwerendzie archiwalnej, co fascynującą historię wprowadzenia przez Rewolucję Francuską zunifikowanego systemu miar i wag, naszego systemu metrycznego: „Kraj wołał o jednolitą, niezmienną miarę. Uczni doktrynerzy wymyślili metr. Władcy i administratorzy schwycili wynalazek uczonych i narzucili go ludowi. Spełniając marzenia narodu — jednocześnie podporządkowali go sobie. Naród dostał to, czego chciał — co nie było tym, czego chciał... Reforma unifikacyjna miar i wag — przez tyle wieków wymarzona, tak szeroko przez masę ludową pożądana, przez tylu rewolucyjnych idealistów wychwalana, przez najlepszych uczonych epoki wymyślona — ostatecznie była temu narodowi narzucona. Ale czy taki był los tego jednego tylko dzieła Rewolucji?”. Książka ta powstawała w ciągu dwudziestu chyba lat. W jakimś sensie korzystała ona z pomocy całej sieci korespondentów rozsianych po świecie, którzy wciąż coś tam Witoldowi podrzucali: jedni informacje o osobliwościach lokalnych wag, inni — odważniki Aszantów, jeszcze inni — jakiś nieznaną cytą o miarach. Wszyscy zostaliśmy wciągnięci do tej fascynującej przygody intelektualnej dzięki temu, że Witold, w toku jakiejś rozmowy, komentując jakiś obraz czy też portal kościoła, potrafił przyciągnąć naszą uwagę wydobywając kulturowy sens jakiegoś szczegółu, którego inaczej byśmy nie dostrzegli: raz był to archanioł Michał odważający dobre i złe uczynki, w dniu Sądu Ostatecznego, *sprawiedliwa waga*; kiedy indziej chłop strychujący wypełniony zbożem korzec. Zdawałoby się, że zaraził on nas wszystkich swą pasją metrologiczną; w istocie uczył nas patrzeć jakoś inaczej na dzieła kultury, dostrzegać ukryty ich sens.

Witold Kula był, oczywiście, historykiem gospodarczym, uznany międzynarodowym autorytetem w tej dziedzinie. Zawsze jednak, w najbardziej technicznej, zdawałoby się, z jego prac był on również — jeśli nie przede wszystkim — historykiem kultury, w najszerszym sensie tego terminu. Działania gospodar-

cze stawały się dlań zrozumiałe właśnie jako *fragment i aspekt* określonej historycznie kultury, dzięki wyłuskaniu zawartego w nich, choć często ukrytego, antropologicznego sensu. Stąd też jego wrażliwość na różnorodność kultur, uporczywy wysiłek rozumienia *kultur innych*, w czasie i przestrzeni, a tym samym i relatywizacja naszej własnej kultury, wytworzonych przez nią wartości i modeli zachowań. Bez popadania w nostalgię za „dawnymi, dobrymi czasami” za którą jakże często kryje się zwykłe kołtuństwo (a na kołtuństwo, zwłaszcza zaś na jego „swojskie”, nacjonalistyczne postaci i odmiany, Witold był wręcz alergiczny). Ale również bez fałszywego, podszytego masochizmem, wstydów za naszą własną, europejską kulturę, zwłaszcza zaś za wymóg uniwersalności, który ona właśnie wytworzyła, i niekiedy przynajmniej potrafiła go, z całym należnym rygorem, stosować wobec samej siebie.

Lektury rozbudzają i pociągają za sobą wspomnienia. Kula celował w myśleniu modelowym o zjawiskach społecznych, w interpretacji wykrywającej, w odniesieniu do długich okresów historycznych, struktury działań zbiorowych. Jego *Teoria ekonomiczna ustroju feudalnego* wywołała wyjątkowo płodną międzynarodową dyskusję, która wciąż jeszcze się toczy. Intencja przewodnia była analogiczna do tej, którą już wspominałem: zrozumieć racjonalność innych, odległych zachowań gospodarczych i społecznych, które nam wydają się absurdalne, ale które stają się sensowne pod warunkiem wpisania ich w różne od naszych systemy wartości, znaczeń i wzorów postępowania. „Model” nie był dlań jednak nigdy celem, lecz jedynie *środkiem*, pozwalającym lepiej zrozumieć konkret, konkretny akt społeczny, jego złożoność, wielowymiarowość, obecną w nim, choć nieuświadomioną przez aktorów, przeszłość. W tym sensie każda z naszych powtarzanych codziennie, błahych czynności była dlań „globalnym aktem społecznym”. (Klasycznym wzorem antropologicznego podejścia do dokumentu, który zachował ślad minionej powszedniości, jest jego analiza listów, jakże na pozór banalnych, polskich emigrantów do Stanów i Brazylii, książka, którą miałem okazję omówić w *Zeszytach Historycznych*). W tym kontekście uporczywie wraca wspomnienie książki-zabawy, którą projektowaliśmy, w ciągu wielu miesięcy, w 1959 roku. Mieszkaliśmy wówczas wę wspólnym pokoju w Paryżu, na Lauriston; Witold korzystał ze stypendium VI Sekcji Ecole des Hautes Etudes (lub też Maison des Sciences de l'Homme), ja ze stypendium Forda. Modne były wówczas burzliwe dyskusje o antropologii i historii, strukturze i diachronii. Postanowiliśmy całą tę problematykę szczegółowo przebadać i definitywnie rozstrzygnąć na jednym przykładzie, poświęcając temu dzieło wiekopomne, wielotomowe, oczywiście, nader uczone, opatrzone rozlicznymi przypisami, bogatą bibliografią zgodną z jego charakterem komparatystycznym. Przykład badany posłużyć miał zarazem za tytuł: *Jan kupuje buty*. Pierwszy tom miał być poświęcony wyborowi jako imienia pospolitego właśnie *Jana*, czy też nawet *Jasia* (wszak zdanie *Kalixst kupuje buty* miałoby już zgoła inny sens kulturowo-

historyczny). Owa pospolitość miała być przebadana na przykładzie literatury hagiograficznej, folkloru, dzieł literackich itd.; odrębna część zajmowałaby się ewolucją imion, elitarnych i pospolitych, ich historią porównawczą. Nasz Jan kupujący dziś buty rzecz jasna nie przychodził do sklepu *bosy*. Jego potrzeba zmiany butów była historycznie uwarunkowana; należałoby więc jej historię przebadać — w ramach modelu potrzeb (kiedyś Jasiowie obuci byli w łapcie; buty, jeśli je mieli, starannie nosili na kijku, aby je obuć dopiero przed samym wejściem do kościoła; ileż na to świadectw literackich, obrazów, sztychów). A jakież był numer butów Jasia: 7 czy też 41? Otwierała się tu zupełnie nieprzebadana dziedzina konkurencyjnych systemów numeracji, odnajdywały się i miary i wagi. Witold cieszył się jak dziecko, przynosząc wieczorem z archiwum czy też z biblioteki jakieś tam przypadkowo napotkane fragmenty, migawki o Jasiach, butach, skórze, garbarstwie... (Jak dziecko właśnie: cechowała go dziecięca, nienasycona ciekawość dla różnorodności świata i życia, jego codziennych objawów i przedmiotów; dlatego może tak bardzo na serio umiał się bawić z dziećmi, również z moimi dziećmi). Nie napisaliśmy, oczywiście, tego wiekopomnego dzieła; cała frajda polegała przecież na tym, aby się nim zajmować najpoważniej, zakładając równocześnie, że nigdy nie zostanie ono napisane. Zresztą czasu nie starczało. Wróciliśmy do Warszawy, gdzie czekały nas, zwłaszcza na Uniwersytecie, inne sprawy i kłopoty. Wspomnienie wspomnieniem pogania. Może kiedyś trzeba będzie coś napisać o paranaosobowym seminarium, które się zgromadziło m.in. wokół Witka w latach sześćdziesiątych. Usiłowano ono, poza wszelkimi oficjalnymi instytucjami i cenzurami, w atmosferze całkowitej swobody, przeanalizować narastający kryzys polityczno-społeczny, który stawał się coraz ostrzejszy, coraz bardziej groźny, oraz wnioski praktyczne, które z tego wynikały dla nas na Uniwersytecie, gdzie coraz bardziej pachniało siarką: nie oszczędzono nam pogróżek, a zaczynały się już również relegacje studentów. Z perspektywy czasu owe „konspiracyjne” zebrania i zabiegi wydają się jakże nieśmiałe, raczkujące. Wówczas był to niewielki, ale przez nas samych ustanowiony obszar wolności.

W ciągu ostatnich lat nie mogłem już ani korespondować ani rozmawiać z Witoldem, coraz bardziej pogrążającym się w chorobę. Stał się on już jakby na stałe nieobecnym. Ale przecież jednak *był*. Dopiero teraz, od 12 lutego, już *Go nie ma*. Różnica między ową nieobecnością a niebytem jest metafizyczna — nie przystaje do niej żadna miara ani waga. Pozostały po Witoldzie Kuli Jego książki i nasze wspomnienia. To oczywiście niezmiernie wiele. I tak okropnie, przerażająco mało.

Bronisław BACZKO

Nowości literatury krajowej

MIT OCALENIA

„... Emigracja po powstaniu listopadowym stała się polskim mitem ocalenia. Tak samo rzeczywistym i nierealnym zarazem, jak Wergiliuszowa opowieść o Eneaszu uchodzącym z płonącej Troi. Naród wiedział, że w obcej ziemi zgromadzili się ci, którzy uszli z polskiej Troi zabierając, by ocalić jej wartości, święte pamiątki, cnotliwych starców, co pamiętali jeszcze wolną Polskę, i wieszczów — strażników ducha narodu. Było więc gdzieś centrum polskości, wielka sprawa Wielkiej Emigracji”.

Ten tom szkiców¹ na temat dziewiętnastowiecznych powstań i emigracji, na temat postaw rewolucyjnych i zachowawczych, szkiców opartych na materiale dokumentalnym i literackim, powinien wzbudzić żywą dyskusję, bowiem rozwinięte w nich błyskotliwie problemy są, niestety, nadal aktualne. Na razie doczekał się tylko ostrej reprimendy ze strony pożałuj się Boże publicysty *Polityki*, Kazimierza Koźniewskiego, który eseje Aliny Witkowskiej, profesora Instytutu Badań Literackich, znawczyni epoki romantycznej, odczytał jako apologię „cierpiętnictwa”. Znakomita autorka za wielkie stulecie uznała najbardziej kontrowersyjnie komentowany przez badaczy i polityków okres dziejów Polski, ponieważ narodziła się w tym czasie nowoczesna świadomość narodu, która pozwoliła nam przetrwać czasy zaborów i — dodajmy od siebie, ale zgodnie, jak myślę, z intencją książki — pozwala na przetrwanie czasów sowieckiej dominacji.

Wprowadzając istotne dla obywatela naszego kraju rozróżnienie między państwem a narodem, wskazuje Witkowska na rewolucyjny, czyli antypaństwowy aspekt naszych powstań, szczególnie listopadowego. Czy powstania, które ponosiły klęskę, nie obracały się przeciw społeczeństwu, pozbawiając go resztek suwerennej państwowości? Oto od dawna obecny w polskiej świadomości dyalemat. Próba odpowiedzi, zawsze hipotetyczna, na

1. Alina Witkowska, *Wielkie stulecie Polaków*, PIW, Warszawa 1987.

to iście hamletowskie pytanie określa stanowisko, jakie zajmujemy wobec najistotniejszej sprawy: tożsamości narodowej Witkowska stawia sprawę jasno, bez niedomowień i „taktycznych” uników. W przeciwieństwie do poglądu lansowanego niegdyś przez Wielopolskiego, a obecnie przez różnej maści obrońców polskiej państwowości, że „czasem można coś zrobić dla Polaków, ale z Polakami nigdy”, podkreśla grożącą nam w przypadku społecznej akceptacji politycznego kompromisu utratę narodowej tożsamości:

„Rzekę krwi istotnie wylano i oko patrzące w tę rzekę z nieodległego wzgórką czasu widziało tylko ludzką krew oskarżającą szalonych reżyserów narodowej tragedii. Ale w parę dziesiątków lat później ta krwawa rzeka stała się rzeką symboliczną z obszaru mitów narodowych, która dla jednych była natchnieniem i obligacją moralną, a inni przychodzili czasem prać w niej swe brudne sumienia i małe dusze. Co i też dobrze”.

Bolesna refleksja, bezlitosne stawianie sprawy. Racja powinna być po stronie tych, którzy byt jednostkowy uzależniają od bytu narodowego, a ten od przechowania najwyższych wartości, tworzących kulturę. Gdy naród traci swe państwo, jedyną szansą jego ocalenia jest obrona duchowego jestestwa, czyli zachowanie suwerenności w sferze kultury. Taka jest główna teza książki, którą Witkowska udowadnia na przykładzie losów emigracji XIX wieku. Ten wielokrotnie rozważany już temat ujmuje autorka w sposób intrygujący i nader oryginalny, zwracając uwagę na działalność kulturotwórczą, a nie na poglądy i koncepcje polityczne.

Zasadniczą rolę, jaką Wielka Emigracja odegrała w dziejach naszej ojczyzny, było stworzenie *wspólnoty bez państwa*, „duchowego państwa Polaków”, mimo sprzeczności interesów różnych grup emigracyjnych, mimo sporów i personalnych waśni, mimo postępującej dezintegracji środowiska i tendencji izolacyjnych. Przodkowie nasi dokonali czegoś nader ważnego i trudnego — balansując między Scyllą narodowego getta i Charybdą całkowitej asymilacji w obcym społeczeństwie, zbudowali podstawy kultury niepodległej, przeciwstawionej zarówno cywilizacji Zachodu, przenikniętej egoizmem i obojętnością wobec uniwersalnych wartości, jak i tendencjom rasyfikatorskim, oddziaływującym ze Wschodu.

Nie obeszło się, rzecz jasna, bez utopijnych wizji i irracjonalnych zachowań czy gestów. Opisując to zjawisko Witkowska słusznie zauważa:

„... Polska staje się właściwie utopią polskości, przestrzenią geograficzną, która w tym kształcie nie istniała nigdy i nigdzie. Ziemią piękną i dobrą, która rodziła najwonnejsze kwiaty i najbujniejsze zboża, piękne panny i mądrych starców, a w spiżarniach i na stołach gromadziła potrawy o nieporównywalnym smaku i dźwięku nazw brzmiących jak dziwna muzyka. Estetyka i moralność strzegły ładu w tym kraju osiągalnym we wspomnieniu, naprawdę, lepszym i piękniejszym niż otaczająca rzeczywistość cywilizacji Zachodu”.

Różna jednak była reakcja polskiego społeczeństwa na poli-

tyczne niepowodzenia: od gloryfikacji patriotycznego męczeństwa i poszukiwania wzorów w bohaterskiej przeszłości po postawy nacechowane racjonalizmem i tzw. zdrowym rozsądkiem. Po powstaniu styczniowym podnosiły się głosy krytykujące zębny podobno wpływ emigracji na społeczną świadomość, przeciwstawiano się działaczom na wychodźstwie, pragnąc odsunąć ich od „rządu dusz polskich”. Jak niebezpieczne były te tendencje dla narodowej tożsamości, zdawali sobie sprawę niektórzy wielcy tamtych czasów:

„Dzisiejsze usposobienie kraju jest takie, że dla niego najświętsze prawdy głoszone przez emigrację podejrzanymi się zdadzą. (...) Stan dzisiejszy, stosunek kraju do wychodźstwa (...) jest upokarzający dla obojga. Zdaje się, jakby zapierając się braci nieszczęśliwej, kraj nową przyjął wiarę, wiarę zwycięzców, posłuchał rady zdrowej — precz z marzeniami — i zasklepić się chciał z ranami, które goi”.

Przestroga Bolesławity — pod takim pseudonimem drukował swą publicystykę autor „Morituri” — nie tylko do wielkiego studucia Polaków się odnosi...

Emigracja polistopadowa miała charakter środowiska zamkniętego. Izolacjonizm przybierał czasem formy skrajne. Najbardziej intrygującym, ale i najbardziej kontrowersyjnie intepretowanym zjawiskiem okazał się towianizm. Autorka stara się spojrzeć na tę „hańbę domową” emigracji bez uprzedzeń, korygując obiegowe sądy. Jak wiadomo, utrwalił się wówczas lansowany przez różne ugrupowania emigracyjne pogląd o agenturalnym charakterze działalności Towiańskiego. Pogląd wygodny, bo wszystko staje się wówczas jasne, ale żeby uniknąć trywializacji problemu, należy to podejrzenie opatrzyć znakiem zapytania i odsunąć jako mniej istotne w całej równie wielkiej, jak wielka była emigracja, sprawie. Nie negując zębego wpływu tej sekty na emigracyjną świadomość, a szczególnie na niektóre jednostki, Witkowska z dużą przenikliwością zauważa też pozytywne dla polskiej kultury elementy programu towiańczyków, wyłożone m.in. przez Mickiewicza. Przede wszystkim był to nowatorski ruch w społecznym myśleniu o religii, z której mistrz i jego uczniowie uczynili podstawę terapii indywidualnej i zbiorowej.

Sięgnęli więc towiańczycy po mit prometejski, który był zawsze zarzewiem wszelkiej działalności zmierzającej ku przebudowie człowieka i świata wokół niego. Prawda, że nieraz go wypaczano, szczególnie wtedy, gdy demonstracyjnie abstrahowano od metafizycznych, czyli najbardziej uniwersalnych, treści ludzkiej egzystencji. W towianizmie metafizyki nie brakło, zbyt wiele było jednak demagogii. Dlatego m.in. nie wykorzystano niezwykle istotnej dla przyszłości obu narodów, polskiego i rosyjskiego, sprawy — zastąpienia nienawiści i nacjonalizmu chrześcijańskim zrozumieniem, porzucenia waśni i urazów na rzecz tolerancji. Ale okoliczności, w jakich zaczęto analizować stosunki polsko-rosyjskie, wymagały szczególnej ostrożności, o której zadufani w sobie towiańczycy zapomnieli.

Wielka Emigracja stała się też tematem nowej książki Wiesława Pawła Szymańskiego², krytyka i historyka literatury, związanego z katolickim *Znakiem* i *Tygodnikiem Powszechnym*, który od dobrych kilku lat uprawia szczególną formę eseju. Utwory jego nie są właściwie powieściami ani w tradycyjnym, ani też w nowoczesnym rozumieniu tego terminu. W twórczości Szymańskiego obserwujemy oryginalne, choć nie wyjątkowe, zjawisko: to nie powieść zmierza tu w kierunku eseju, lecz odwrotnie — esej, dobrze przez autora opanowany, chciałoby się rzec opanowany aż do znużenia, poszukuje „zakazanych” związków” z powieścią.

Szymański zadebiutował jako pisarz obszernym tryptykiem *Niedźwiedź w katedrze*. Prototypem bohatera tytułowego był Czesław Miłosz, którego losy przedwojenne, okupacyjne i powojenne stały się tematem centralnym tego zbeletryzowanego eseju-rzeki. Jeszcze mniej powieściowy i bardziej oddalony od współczesności w planie fabularnym okazał się następny utwór, *Chwila bez godziny*, stanowiący w autorskim zamierzeniu pierwszą część historycznej trylogii, obejmującej czasy powstania listopadowego i Wielkiej Emigracji. Nie wprowadza też do niej postaci fikcyjnych, czy na w pół fikcyjnych, lecz zaludnia świat przedstawiony postaciami historycznymi, wyraźnie przy tym zaznaczając obecność autora, który w II części trylogii, zatytułowanej *Listy nad wodami*, przeżywa rozterki związane ze stanem wojennym. Czas narracji nakłada się więc na czas fabularny, zbliżając odległą o przeszło sto lat historię do wrażliwości moralnej współczesnego czytelnika. Bo Szymańskiemu nie chodzi tylko o eksperyment formalny, lecz przede wszystkim pragnie on w nowym świetle, opierając się zarówno na dokumentach i źródłach historycznych, jak i na psychologicznej intuicji, ukazać świadomość ludzi epoki romantycznej.

Pisarz rekonstruuje zatem nie zobiektywizowany czas historyczny, lecz czas subiektywny, co jednak wcale nie oznacza dowolności w opisie świata. Ukazywana nieraz wieloraka natura tego samego zjawiska czy zdarzenia, różnie interpretowanych przez bohaterów, ma nam uświadomić, jak trudno jest zgodnie z prawdą historyczną scharakteryzować czołowe postaci polityków którzy odegrali niebagatelną rolę w dziejach Polski, a zwłaszcza w dziejach polskiej myśli politycznej. Zadanie trudne, ale konieczne do podjęcia, jeżeli chce się oddać sprawiedliwość czasom minionym i jeżeli niepokoi nas współczesność.

Dla Witkowskiej polska rewolucja w XIX wieku była kwestią dziejowej i psychologicznej konieczności i nie ukrywa ona swej sympatii dla tej formy powstania listopadowego, które opisuje jako wielki festyn, jako święto narodowe o cechach ludowej symboliki.

Ten listopadowy festyn przypomina do złudzenia festyn roku 1981, kiedy to podniosłym nastrojom i entuzjazmowi towarzyszyło

2. Wiesław Paweł Szymański, *Listy nad wodami*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987.

poczucie nierzeczywistości, która okazała się bardziej rzeczywista od życia w złudnej stabilizacji lat siedemdziesiątych.

Szymański rozważa kwestię rewolucji w kategoriach raczej psychologicznych, raczej polityczne przyznając ludziom takim jak Czartoryski, a nie Lelewel, chociaż zarówno jeden jak i drugi nie mogliby bez siebie istnieć w rekonstruowanym przez pisarza czasie historycznym. Ścieranie się dążeń i poglądów tych dwóch najwybitniejszych osobowości politycznych epoki napoleońskiej nadaje wymiar narodowego dramatu.

Książę Adam Czartoryski, występujący w obydwu tomach trylogii (a i zapewne w tomie trzecim, nie orientuję się jednak, czy już napisanym), jest postacią centralną i dla stanowiska autora wobec procesu dziejowego najważniejszą, choć nie jest to bohater bez skazy, brak mu też zapału dla własnego posłannictwa, dlatego nie stał się nigdy mężem opatrznociowym na miarę Piłsudskiego. Szymański rehabilituje tę piękną postać naszej historii, pogardliwie na ogół traktowaną przez peerelowskich historyków i publicystów.

Autorowi mniej się udają portrety zbiorowe, na temat skłóconego środowiska emigracyjnego nie ma wiele do dodania, pomija też sporo istotnych problemów, które rozwinęła Witkowska. Okazał się jednak pisarz mistrzem w analizie indywidualnej świadomości swych bohaterów. Portrety Szymańskiego trudno byłoby właściwie nazwać psychologicznymi. Interesuje go w człowieku wyższe piętro świadomości, interesuje go raczej człowiek publiczny niż prywatny i tak też — jako tło dla publicznej działalności — traktuje intymną sferę psychiki swych bohaterów. Najdalej, choć nie bez obawy o efekt artystyczny, zapuścił się w tę sferę charakteryzując Czartoryskiego. Okryty tajemnicą, wywołujący wyrzut sumienia i poczucie wstydu, romans polskiego księcia z żoną cara Aleksandra był brzemienny w konsekwencje, jakkolwiek po latach zrodziły się podejrzenia, że przyczyny mogły być w istocie skutkami i odwrotnie. Szczere i gorące uczucie do pięknej Rosjanki związało Czartoryskiego z carem w sposób dwuznaczny i perwersyjny. Przyjaźń — ale czy rzeczywiście prawdziwa, nie udawana — przekształcała się w uczucie mocno nieokreślone, które po śmierci Aleksandra przybrało postać wyraźnej wrogości do wschodniego mocarstwa. Autor bynajmniej nie sugeruje, że taki stosunek do Rosji miał pobudki przede wszystkim natury osobistej. Przeciwnie, to właśnie nieustająca myśl o losach narodu i nie opuszczająca Czartoryskiego przez lata nadzieja na odzyskanie przez ojczyznę bytu niepodległego na drodze negocjacji z rządami liczących się wówczas państw rzucały mroczny cień na jego prywatne życie, zmącone „złą” miłością.

Adwersarzem Czartoryskiego czyni autor — jak już wspominałem — przede wszystkim Lelewela, któremu więcej uwagi poświęcił w I tomie. W tomie II wprowadza na scenę w dosłownym tego słowa znaczeniu międzynarodową Juliana Ursyna Niemcewicza, człowieka wielkiej szlachetności i prawości, całkiem oddanego księciu panu i jego politycznym koncepcjom, które starał się przedstawiać w spotkaniach z angielskimi dyplomatami.

Najważniejsza jednak obok Czartoryskiego wydaje się postać Maurycego Mochnickiego, jednego z najzarliwszych radykałów powstania listopadowego, który na emigracji przeszedł karkołomną, wydawałoby się, ewolucję — zbliżył się do stanowiska Hotelu Lambert. Ewolucja ta stanowi dla Szymańskiego przykład, jak dzięki sile inteligencji pokonać można emocje i fanatyzm. Zbliżenie do obozu Czartoryskiego nie było wynikiem zmiany politycznego kursu, lecz owocem długotrwałych przemysleń i dramatycznych doświadczeń. Ten trybun ludowy przez lud potem ścigany doszedł do przekonania, że najgorszą rzeczą — również w publicznym działaniu — jest nienawiść, a najpotrzebniejszą tolerancja. W imaginacyjnej rozmowie z bratem Maurycy tłumaczy, że zwolenników Czartoryskiego ceni za odrzucanie przez nich nienawiści w stosunkach międzyludzkich i międzynarodowych. Natomiast działalność rewolucyjna sprzyja wyzwalaniu się nienawiści i uczuć płynących z najniższych pobudek.

Wszystkich jednak bohaterów Szymańskiego łączy jedna, wielka sprawa — *sprawa Polski*. Każdy z nich przechowuje w duszy obraz ojczyzny niepodległej. W *Listach...*, podobnie jak w książce Witkowskiej, wartością najwyższą i bezdyskusyjną okazuje się *duchowa ojczyzna Polaków*, która przetrwała najgorsze burze dziejowe, takie np. jak fatalna klęska powstania styczniowego. Przetrwała do dziś, chociaż w zmienionej już nieco postaci, częściowo jako *ojczyzna prywatna*, ocalająca świadomość współczesnego Polaka przed niwelującym osobowość wpływem cywilizacji XX wieku i indoktrynacji komunistycznej propagandy.

TANIEC NAD PRZEPAŚCIĄ

„Jestem przekonany, że *Agitka*³ Anny Bojarskiej stanowi nie tylko wybitne osiągnięcie, gdy chodzi o gatunek powieści politycznej. Sądzę, że jest ona jednym z wybitniejszych dokonań w zakresie współczesnej prozy polskiej i nie znajduję w krajowej produkcji wydawniczej ostatnich paru lat wielu utworów, które mogłyby stanąć z nią do konkurencji”.

Licentia poetica? A może raczej *politica*? Ale jeśli tak, to komu i na jakiej zasadzie takich licencji się udziela? Bo mówiąc po prostu, to nie jest żadna *licentia*, ale zwykły szwindel. I jeżeli żaden z ekspertów dziesięciomilionowego związku nie był z żadnymi terrorystami powiązany, to komponowanie powieści na takim założeniu opartej ma na celu nie opisywanie rzeczywistości, ale jej fałszowanie”.

Dwie diametralnie odmienne opinie o najnowszej powieści autorki *Lakieru* i *Ja*, książek wydanych w oficynie państwowej — jedna opinia wydawcy, druga Jana Walca, który na łamach 33 nru *Kultury Niezależnej* rozprawia się z Bojarską. Właśnie tak, rozprawia się z pisarką, nie zaś z jej powieścią, stosując chwyt w krytyce literackiej niedozwolone, przypominające niechlub-

3. Anna Bojarska, *Agitka*, Oficyna Wydawnicza Margines 1987.

ny okres socrealizmu, kiedy atakowano twórców za ich światopogląd, tendencyjnie go rekonstruując na podstawie wypowiedzi bohaterów. *Licentia pamphletica?* Recenzja, czy raczej pseudo-recenzja Walca bliższa jest paszkwilu i to on, a nie Bojarska, popełnił szwindel, imputując pisarce kult przemocy i policji!

Agitka nie jest powieścią wybitną, ale też na pewno nie zasługuje na odsądzenie jej od czci i wiary. Autorce może zbyt zależało na czytelnicznym efekcie i dlatego zamiast rzetelnej motywacji postępowania swych bohaterów, a przynajmniej głównego bohatera, Krzysztofa Paliwody, nasyca fabułę elementami sensacji. Sensacyjny jest już zresztą sam temat: kontakty młodego polskiego intelektualisty, zwolennika „Solidarności”, z tzw. „nową lewicą” oraz losy kilku zachodnich terrorystów i ich powiązania z obcymi wywiadami, szczególnie państw komunistycznych. Bojarska zastosowała w narracji technikę zapisu scenariuszowego i chyba lepszy byłby film nakręcony na podstawie tego materiału fabularnego niż powieść, zachowania postaci zbyt bowiem behawiorystycznie zostały potraktowane. Tylko psychice głównego bohatera poświęca autorka większą uwagę, sięgając również po formę strumienia świadomości — jako sposobu penetracji jego wewnętrznego rozdarcia.

Z lektury powieści Bojarskiej wyłania się świat wyjątkowo ponury i odrażający, nie można jednak wizji tej generalizować, bowiem autorka przedstawia tylko wycinek rzeczywistości, zaludnionej przez ludzi związanych z „nową lewicą”. Mimo że zasadniczą akcją, nie biorąc pod uwagę licznych retrospekcji oraz prologu, przedstawiającego kongres zwołany na początku lat siedemdziesiątych z inicjatywy bożyszczka lewicowego ruchu, rozgrywa się na początku lat osiemdziesiątych, nie wydarzenia w Polsce stanowią główny jej temat. Bojarską od dość dawna interesuje, może nawet fascynuje, terroryzm jako zjawisko z dziedziny psychologii indywidualnej i zbiorowej i z dziedziny polityki. Dała już temu wyraz w wielce oryginalnym utworze *Ja*, w którym jednak zachowanie terrorystów stanowiło figurę metaforyczną odstawiającą w aluzyjny sposób mechanizm terroryzmu państwowego w komunistycznym kraju. W *Agitce* nie działa już prawo kamufażu, wynikające z obostrzeń cenzuralnych, świat przedstawiony ukazany tu został jasno i dobitnie, bez aluzyjnych odsyłaczy do rzeczywistości PRL-u, choć nie pozbawiony jest pewnych niedomówień z powodu pilnie strzeżonych przez wywiady różnych mocarstw tajemnic. Od lat sześćdziesiątych w Zachodniej Europie terroryzm na masową skalę stosują różne ugrupowania pod szyldem lewicy. Krytykowanie „nowej lewicy” nie tylko ze względów humanitarnych, ale również politycznych za jej powiązania z wywiadami państw bloku wschodniego nie jest już obecnie dowodem szczególnej przenikliwości. Wystarczy właściwie powtórzenie obiegowych sądów, bo tylko dla ludzi naiwnych (z Zachodu), czy od lat skutecznie dezinformowanych (ze Wschodu) sprawa ta może nie wydawać się oczywista. Zatem nie rewelacje polityczne, lecz przenikająca narrację pasja antyrewolucyjna stanowią o walorach powieści. Autorka z dużą przenikliwością, a na-

wet, powiedziałbym, zajądłością analizuje proces *rewolucyjności*, czyli narastania żywiołowego z początku buntu, płynącego najczęściej z młodzieńczej niecierpliwości, i jego przekształcanie się — pod wpływem oślepiającej nienawiści do rzeczywistości, nie poddającej się niwelatorskim działaniom — we własne przeciwieństwo: zgodę na moralnie i politycznie podejrzaną zależność. Reakcje bohaterów Bojarskiej na oferty współpracy z wywiadami komunistycznymi były różne: od rozczarowania do ruchu i definitywnego wycofania się z działalności aż po cyniczne zakładanie i entuzjastyczną aprobatę zależności od KGB. Przykładem pierwszego stanowiska jest żarliwa obrończyni prawa do walki klasowej w Irlandii, Marthy Doherty, przykładem stanowiska drugiego — niemiecki adwokat terrorystów, Rolf Sperling, uwikłany w działalność czechosłowackich służb wywiadowczych i manifestującą swoją „prosowieckość” oraz oburzenie z powodu „kontrrewolucji” w Polsce.

Dążenia rewolucyjne na Zachodzie — udowadnia przekonywająco Bojarska — nie interesują mas ludowych, lecz są udziałem nieopierzanej czy po prostu sfrustrowanej młodzieży albo snujących w ciszy gabinetów abstrakcyjne koncepcje polityczne intelektualistów. Ostatecznie jednak wszystkie te dążenia zostają prędkiej czy później ujęte w twarde prawa polityki, panujące we współczesnym świecie.

W XIX wieku było jeszcze możliwe, żeby polski dyplomata i strateg, książę Czartoryski, w rozmowie z ministrem Anglii podkreślał:

„(...) — Polityka nigdy nie była dla mnie jedynie czystą grą. Zawsze uważałem, że w polityce, wśród ludzi, którzy ją uprawiają, winny się także liczyć wartości etyczne i moralne”.

Czy w świecie przez Bojarską przedstawionym rozmowa o podobnej treści byłaby możliwa?

„Szpiedzy, szpiedzy, ci ludzie to szpiedzy, szpicle, szperacze, obojętne, jak ich nazwać, i samo ich istnienie składania do wiary w Boga; ich istnienie, na którym opiera się świat! Jeżeli są szpiedzy na ziemi, musi być i Bóg na niebie; Boże, wybacz mi moją ślepotę. Ktoś przecież musi znać prawdę! Prawdę, którą oni — niezliczone pionki krzyżujących się wywiadów — gmatwają, ukrywają, deformują, rozdzielają na strzępki, nie mogące się już nigdy, w niczych rękach złożyć w całość. Świat podarty, świat rozszarpany! (...) Życie intelektualne Krzysztofa Paliwody! Jego poznawanie świata! Czemu miałbyś się bać poznawania świata, głupcze? A przecież już wie. To nie dziecinna zabawa. To taniec nad przepaścią”

— myśli zrozpaczony bohater, który wskutek naiwnej wiary w nieograniczone możliwości intelektu i wygórowanych ambicji wplątał się fatalnie w sytuację bez wyjścia. Świadomy jest jednak konsekwencji swych decyzji.

Nie jest ważne, że nawiązanie kontaktu przez polskiego naukowca z przedstawicielami francuskiej lewicy przedstawione zostało w sposób mało prawdopodobny. Ważne natomiast, że postać

głównego bohatera posłużyła autorce do kompromitacji typowej dla zachodniej elity intelektualnej, ale obecnej również wśród intelektualistów polskich, postawy, którą określiłbym jako pseudoklerkizm. Pseudo, bo manifestowana przez intelektualistów niezależność jest tylko pozorna, a polega na ostrożnym, żeby nie powiedzieć wyrachowanym nieangażowaniu się w autentyczne ruchy społeczne, na oglądaniu rzeczywistości jak spektaklu teatralnego, nawet wtedy, gdy się ją jakoś akceptuje. Przypadek sprawił, że Krzysztof Paliwoda uczestniczył w strajku Stoczni Gdańskiej w charakterze jednego z wielu doradców robotników. Przeżył wówczas chwile prawdziwego entuzjazmu i podziwu dla „szarych” ludzi, którymi pogardzali jego znajomi z „nowej lewicy”. Ale nie starczyło tego entuzjazmu na długo, nie starczyło w momentach najcięższych i decydujących — podczas internowania i przesłuchań. Bohater załamuje się i tłumaczy to sobie rozczarowaniem do rzeczywistości, która 13 grudnia 1981 zadała kłam optymistycznej wizji „bezkrwawej rewolucji”. Zgadza się więc na współpracę ze służbą bezpieczeństwa. Nie jest to zresztą współpraca specjalnie obciążająca — dotyczy raczej jego kontaktów z terrorystami niż z działaczami „Solidarności”. A jednak okazuje się, że jest to ciężar ponad moralną wytrzymałość polskiego intelektualisty, który uwikłany w „brudną” politykę nie potrafi zapomnieć o czymś takim, jak... etyka. Postanawia więc zabić swojego esbeckiego opiekuna, by stać się „trochę czystsza szmata”.

Powieść o zachodnich terrorystach i degrengoladzie moralnej starej Europy okazuje się również powieścią o polskim ethosie romantycznym, który przetrwał do czasów współczesnych. Planowany przez Krzysztofa Paliwodę czyn należy do repertuaru romantycznego szaleństwa, właściwego dzisiaj jeszcze chyba tylko Polakom.

W podobnych kategoriach należy też rozumieć zachowanie młodego bohatera powieści Jerzego Niecikowskiego⁴, będącej debiutem literackim tego utalentowanego krytyka i eseisty, filozofa i tłumacza, współpracującego niegdyś z *Literaturą na świecie*. Bohater ten jest synem wysokiego funkcjonariusza służby bezpieczeństwa, którego uczynił pisarz narratorem swej politycznej, pełnej jednak psychologicznego napięcia powieści. Świat przedstawiony oglądany jest więc tylko jego oczami i w ramach jego mentalności próżno by szukać wytłumaczenia dla postępowania syna, który został zatrzymany za nielegalną działalność wydawniczą. Generał SB nie potrafi zrozumieć postawy swego syna, zwłaszcza jego zachowania w śledztwie i jego ucieczki z więzienia, a w końcu samobójstwa.

Warto zwrócić uwagę na ciekawą konstrukcję powieści. Autor wykorzystując kompozycję *collage'u* wmontował w nią zapisywane przez narratora notatki, będące czymś w rodzaju prowadzonego na gorąco dziennika. Z formalnego i tematycznego punktu

4. Jerzy Niecikowski, *Reguły gry*, Wydawnictwo Most, Warszawa 1987.

widzenia stanowią one główny, ale nie jedyny, wątek powieści. Dzięki wprowadzeniu innych form podawczych, bliższych dziennikarstwu niż literaturze, takich jak zapisy magnetofonowe rozmów, protokoły, raporty i listy, stworzył Niecikowski powieść wielowątkową, a jednocześnie artystycznie zwartą i jednorodną. Bo wszystkie te formy odpowiadają mentalności narratora, gromadzącego dokumenty potrzebne do śledztwa przeciw własnemu synowi i dla potwierdzenia swych racji, które chciałby synowi narzucić.

„To jest, proszę pana, zbiorowa mądrość, z którą jednostki nie mają nic wspólnego. Moi podwładni to zwykle kółka, małe trybiki, pracujące w maszynie. Ich prawie nie ma, jako ludzie zupełnie się nie liczą, można by ich zastąpić kimkolwiek, a Urząd dalej działałby skutecznie. Nikt, kto dostaje się w nasze ręce, nie ma żadnych szans. (...) Co znaczy jednostka wobec dobrze zorganizowanej instytucji? Nic, proszę pana”.

W taki sposób wprowadzał w meritum sprawy przesłuchiwanego bohatera, który w młodości dostał się do więzienia za udział w antykomunistycznej konspiracji, pułkownik UB. Wytaczał przed nim rozumowe racje przemawiające za postępowaniem zgodnym z biegiem historii, które po wielu latach powtórzy narrator — wtedy przesłuchiwany przez swego przyszłego szefa, potem przesłuchujący własnego syna. Wykładane przez niego w sposób logiczny, ale i cyniczny, racje brzmią przekonująco, ale tylko pozornie. Żyjąc w kraju rządzonym od lat przeszło czterdziestu przez komunistów przyzwyczailiśmy się do argumentów opartych na strachu przed większym złem, niejednokrotnie jednak w historii PRL okazywało się, że nie oznacza to wcale zaakceptowania tej wątpliwej racji. Odrzucało ją zwykle młode pokolenie, nie znużone jeszcze życiem bez perspektyw. Stan wojenny, reklamowany przez ekipę Jaruzelskiego jako trudny, ale nieunikniony wybór mniejszego zła, najostrej przyjęło pokolenie syna narratora powieści Niecikowskiego. W liście, wysłanym do ojca po ucieczce z więzienia, Zbyszek tłumaczył:

„A może miałem usłuchać waszych apeli i zostać pozytywistą, który ocala substancję narodową, w pocie czoła wnosząc pod waszym światłym przewodem solidny most w szczerym polu? Mój Drogi, jeszcze nie zwariowałem. Kiedyś trzeba powiedzieć: dość! Powtarzam: każdy, kto całkowicie nie oślepnął, musi wystąpić przeciw wam”.

Do świadomości generała SB żadne tego rodzaju argumenty nie trafiały, traktował je jako młodzieńczą tromtadrację, która prędzej czy później zniknie bez śladu. Wyznawał on bowiem specyficzną filozofię człowieka, że motorem działania jest nienawiść, że to właśnie uczucie jest najbardziej klarowne i do życia zachęcające, gdyż człowiek powoduje się strachem i zawiścią, dlatego nie solidarność i lojalność wobec drugiego człowieka, lecz przebiegłość i podejrzliwość powinny cechować nasze postępowanie. I tę filozofię cynizmu starał się generał zaszczepić w świadomości syna, pozbawiając go ideałów i wiary w ludzką

szlachetność. Ostatecznym argumentem za przyjęciem założeń takiej filozofii miało być udowodnienie podłości księdza, którego syn uważał za swego ojca duchowego.

Niecikowski ciekawie zarysował bogaty w treści psychologiczny wątek księdza nazywanego „Gnidą”, który szantażowany przez funkcjonariuszy UB zgodził się na współpracę i został kapelanem uwięzionego biskupa, by przekazywać w Urzędzie odpowiednie raporty. Pośrednikiem między renegatem a Urzędem był właśnie młody podówczas narrator, który rozpoczynał swą ubecką karierę w stopniu porucznika. Całkowitym zaskoczeniem było dla niego załamanie psychiczne tak dobrze zapowiadającego się współpracownika UB, który przyznał się przed biskupem do winy, prosząc o przebaczenie. Tej nagłej przemiany człowieka, który wolał ciężkie więzienie od wyrzutów sumienia, bohater nie był w stanie zrozumieć, już wtedy bowiem świadomość jego zdeterminowała filozofia cynizmu.

Człowiek — sądził generał — nie powinien zaprzętać sobie głowy żadnymi ideałami, bo to tylko iluzje prowadzące na manowce, powinien jednak posiadać jasno określony cel życia. Dla bohatera ideą określającą sens jego egzystencji był Urząd, rozumiany jako instytucja, bez której nie można sprawować władzy w żadnym kraju, a szczególnie komunistycznym. A sprawowanie władzy to przede wszystkim umiejętność gry personalnej, polegającej na robieniu kariery, niemożliwej bez wykańczania konkurentów i podporządkowywania sobie słabszych. Nic więc dziwnego, że zajęty ruchami na politycznej szachownicy umieszczonej w Urzędzie nie mógł pojąć, dlaczego syn, tak życzliwie przez niego potraktowany, popełnił samobójstwo, że niezdolny był już nawet do autentycznego przeżycia osobistej tragedii.

Niecikowski kreśli portret narratora bez współczucia, ale i bez nienawiści — kompromitując jego mentalność i postawę wobec świata, chce udowodnić degrengoladę moralną ludzi związanych z Urzędem, w którym człowiek jako jednostka ginie bez śladu.

Mikołaj RUSZKOWSKI

Nihilizm po amerykańsku

Podczas mego ostatniego pobytu w Stanach (listopad 1987) parę osób spytało mnie z naciskiem, czy czytałem już książkę Blooma *Zamknięcie [czy też: zamykanie się] amerykańskiego umysłu** i co o niej sądzę. Jeden z przyjaciół osiadły tam na

* Allan Bloom, *The Closing of the American Mind (How Higher Education Has Failed Democracy and Improperished the Souls of Today's Students)*, Simon and Schuster, New York 1987, 392 p. Foreword by Saul Bellow.

stałe, a dzielący z niżej podpisanym niechęć do stadnej postępowości, historycznych krzyków mody intelektualnej i w ogóle hucpy, już w pierwszych słowach naszej rozmowy telefonicznej przeszedł na Blooma: „*musisz to koniecznie przeczytać, wreszcie ktoś napisał jak trzeba o tych wszystkich...*” (resztę zamilczę). Kupiłem książkę z ogromnego (i stale uzupełnianego) stosu przy drzwiach najbliższej księgarni nowojorskiej i oto małe sprawozdanie dla ewentualnych zainteresowanych.

Książka dotyczy głównie współczesnego stanu uniwersytetów amerykańskich i współczesnego „oblicza” amerykańskich studentów. Jej autor jest profesorem uniwersytetu w Chicago; z danych na okładce („współ-dyrektor Centrum Badań nad Teorią i Praktyką Demokracji” oraz „wykładowca w Komitecie Myśli Społecznej”) nie bardzo można się zorientować w jego specjalności, ale z treści książki i innych danych (jest tłumaczem Platona i Rousseau, napisał też książkę o Szekspirze) wynika, że jest filologiem (klasycznym? nowożytnym?) o zainteresowaniach filozoficznych i socjologicznych. Omawiana praca również świadczy o tych zainteresowaniach: jest to rozbudowany esej na temat negatywnych zjawisk, jakie autor od lat obserwuje w amerykańskiej edukacji i — szerzej — życiu umysłowym. Pełny katalog tych zjawisk jest zbyt długi, by go tu przytoczyć; Bloom omawia takie sprawy jak zanik tradycyjnych kryteriów dobra i zła (zastąpionych sloganem o „wartościach” i ich „względności” w ramach „równouprawnionych kultur”), zanik określonych wzorców osobowych i ich hierarchii (zastąpionych ogólnikami o egoistycznym posmaku w rodzaju: „styl życia”, „rozwój własnej osobowości”, „postawa twórcza”), rosnący indyferentyzm wobec ważnych spraw własnego społeczeństwa i spraw międzynarodowych (pokrywany papuzim frazesem o „*commitment*” [por. dawne francuskie *engagement!*] i „trosce” — przy czym ta ostatnia w jednym sloganie jednoczy np. „*prawa sadomasochistów* i „*Solidarności*”) i wreszcie postępujące ograniczenie racjonalnego myślenia do spraw ściśle naukowych i praktycznych przy rosnącym zamiłowaniu do irracjonalizmu i subiektywizmu w innych dziedzinach myśli (por. popularność freudyzmu, strukturalizmu i „*dekonstrukcjonizmu*”, a także zastąpienie refleksji religijnej i teologicznej modnymi ogólnikami na temat „*mitu*” i „*the Sacred*”); Bloom zauważa, że mimo pozornego namaszczenia pojęcia te nadają równy status 10 Przykazaniom i yodze).

Książka dzieli się na trzy części, zatytułowane: „*Studenci*”, „*Nihilizm po amerykańsku*” i „*Uniwersytet*”. Część druga ma charakter najbardziej teoretyczny (czy też: diagnostyczny) i dlatego użyłem jej tytułu jako nazwy niniejszego omówienia. Teorię „*nihilizacji*” Ameryki jaką prezentuje w swej książce Bloom można najkrócej scharakteryzować przy pomocy dwóch innych tytułów występujących wśród podrozdziałów części II; są to: „*Kontakt niemiecki*” (*The German Connection*) i „*Nietzscheanizacja lewicy lub vice versa*”. Mówiąc najogólniej, Bloom uważa to co nazywa nihilizmem („... *stan duszy* [który] *przejawia się nie tyle brakiem silnych przekonań, co chaosem instynktów i namię-*

ności"; pada też określenie „*entropia psychiczna*”) za import europejski, a w ostatecznym rachunku niemiecki. Według Blooma filozofia — czy może nawet ogólniej: postawa — nietscheańska była w historii myśli europejskiej triumfem uczucia nad rozumem, postawy „naturalnej” nad „cywilizowaną”. Oznaczała ona zepchnięcie oświeceniowego ideału poddania świata i człowieka rozumowi i racjonalnej metodzie do ściśle wyznaczonych sektorów (nauki ścisłe, ekonomia, strategię poczynają zbiorowych) i oddanie wszystkich pozostałych dziedzin ludzkiego życia (moralność, poszukiwanie sensu życia, wybór celów) pod władzę dowolności opatrzonej różnymi nazwami (freudowskie „id”, heideggerowska „*Hingeworfenheit*”, sartre'owska „wolność”, brechtowski cynizm rzekomo biorący stronę „maluczkich”). Bunt przeciw rozumowi był w istocie rebelią przeciw więzom nakładanym przez reguły instynktownie wyznawane przez przeciętnych zjadaczy chleba (w politycznym słowniku „centrum”), a którzy zawsze byli *bête noire* egotystycznych „artystów”, „cnotliwych”, „wizjonerów” i innych ludzi, którzy w głębi duszy uważali, że są trochę (lub bardzo) nad-; siłą rzeczy ci, którzy byli pod-zawycząj otrzymywali pogardliwe przezwiska, z których najpopularniejszym jest termin *bourgeois*. Nienawiść do burżuazji i wszystkie jej parafernalia poczynając od niecodziennego życia osobistego a kończąc na głoszeniu hasła i programów uderzająco radykalnych, paradoksalnych, czy wręcz wariackich stały się zwolna sposobem zaznaczania swej lepszosci, a choćby tylko „mojej, nie innej obecności” czyli tego, co po angielsku nazywa się *self-assertion*. Postawa ta była szczególnie atrakcyjna dla ludzi działających w sferach niejasnych, pośrednich, nie-całkiem-naukowych, a więc humanistów (w sensie specjalności), filozofów, artystów. Wraz z demokratyzacją nauczania nietscheańskie pozy rozpowszechniły się znacznie przy równoczesnej ich dewaluacji: nacisk na „własną autentyczność”, „uzasadniony bunt”, „ustanawianie nowych wartości” etc. stał się po prostu *trendy*, czyli zaczął wynikać z mody.

Sojusz tej tendencji z hasłami i postawami określanymi jako lewicowe, tzn. skierowane przeciw istniejącemu porządkowi w imieniu grup (naprawdę lub rzekomo) upośledzonych Bloom uważa również za wtórny. Jego historiozoficzny wywód na ten temat można streścić następująco: zarówno rewolucja amerykańska jak francuska odbyły się w imię przywrócenia „sprawiedliwego stanu rzeczy” postulowanego przez filozofów Oświecenia. Charakter tych rewolucji był jednak rozmaity i patronami ich byli ludzie (i idee) odmienni (-e). Rewolucji amerykańskiej patronował Locke (przynajmniej jako ogólne źródło postawy racjonalistycznej), ponieważ wybuch ten miał przyczyny nie tyle socjalne, co narodowe (nawet sprawa murzyńska została w tej rewolucji niejako odłożona na później i znalazła się na wokandzie dopiero w okresie Wojny Secesyjnej), natomiast rewolucja francuska rozegrała się pod hasłem równości społecznej, czyli powrotu do rzekomego „stanu naturalnego” gloryfikowanego przez Rousseau. Wiek XIX, stanowiący rodzaj podsumowania obu tych rewolucji

w umysłach kolejnych generacji, uwydatnił tę różnicę: Ameryka uznała swą przeszłość za udaną i słuszną, podczas gdy rewolucja francuska pozostawiła po sobie niejasności, wątpliwości i *malaise*. Burzliwa historia rewolucji francuskiej, jeszcze burzliwsza historia późniejsza, uderzające nierówności społeczne, których rewolucja nie zniwelowała, dyskusje na temat kto winien, że „projekt” się nie udał — wszystko to spowodowało, że historia Francji, a za nią Europy, uznana została przez inspirowanych przez Rousseau romantyków-rewolucjonistów za „nie to”; naturalnym następstwem rzeczy była więc tęsknota za nową próbą ustanowienia „stanu naturalnego”. Najwybitniejszym przedstawicielem tej tęsknoty był Marks. I choć Marks dzisiaj jest już niemodny, bo — jak stwierdza Bloom — „za nudny”, jego bunt przeciw zastanemu światu i związane z buntem poczucie własnej ważności i czystości moralnej przetrwały w Europie do dziś. To co Bloom nazywa nietzscheanizmem (a w jego nowszych awatarach nihilizmem) jest jego zdaniem dalekim echem rozczarowania Europy rewolucją francuską. Transplantacja europejskiego rozczarowania na grunt amerykański odbywa się więc niejako w powietrzu: w słowach, teoriach i pozach, które wyrosły z innych problemów i innej historii. W istocie jednak sprzyja to rozwojowi egzotycznej roślinki, bowiem podświadome poczucie nieautentyczności światopoglądu często prowadzi do wyjaskrawień (przesada neofitów), deformacji (inne prawa ciężenia) i histerycznego prozelityzmu (narzucenie innym poglądów, które w głębi duszy wydają się samym głosicielom wątpliwe w pewnym sensie je „uprawomocnia” — temat dla Gombrowicza!). Mówiąc prościej Bloom uważa, iż import europejskiego niezadowolenia ze świata udał się w Ameryce właśnie dlatego, że był importem.

Części I i III omawianej pracy zajmują się dość szczegółowo (choć trudno powiedzieć: systematycznie) negatywnymi skutkami tej nowej atmosfery intelektualnej w Ameryce w dziedzinie edukacji. Najogólniej mówiąc, jej wynikiem jest dezorientacja studentów i dezintegracja uniwersytetów. Rolę tych ostatnich przyrównuje Bloom do — *mutatis mutandis* — arystokracji w społeczeństwach feudalnych: obie instytucje winny być nosicielami wzorców, które kształtują i ukierunkowują aspiracje reszty społeczeństwa. W wypadku uniwersytetu wzorcem tym winna być nie tyle surowa szkoła określonego fachu (choć i to jest wymagane), co pewien ideał cywilizacji. Nie sposób tu wchodzić w szczegóły dość rozwlekłych wywodów Blooma na ten temat, ale sumarycznie określić można jego ideał jako to, co w Europie rozumiano (dawniej) przez „prawdziwego inteligenta”. Bloom stwierdza, że współczesny uniwersytet amerykański roli swej nie spełnia. Tradycyjny podział dyscyplin na trzy dziedziny: nauki ścisłe, nauki społeczne i humanistykę (a więc w pewnym skrócie dziedziny zajmujące się tym, co „prawdziwe”, „dobre” i „piękne”) stał się obecnie już nie podziałem, a nieomal apartheidem. Prym wiodą nauki ścisłe; ich przedstawiciele uważają się (i coraz częściej są uważani przez ogół) za jedyne prawdziwych naukowców; antropolodzy, socjologowie, politolodzy, nawet historycy gorli-

wie starają się upodobnić swe dziedziny do „prawdziwej nauki”, choć przeważnie z miernym skutkiem; filolodzy, filozofowie i pomniejsza hołota humanistyczna czują się (i nieraz są traktowani) jak zgraja pariasów. Ambitni, a nie w pełni przekonani o swej wartości członkowie tej ostatniej grupy kuszeni są więc najmocniej przez podnoszące samopoczucie „europejskie pozy” i stąd nasilenie jeszcze większe epidemii „otwarcia na innych”, „walki o prawa”, strukturalizmów, „obszarów *sacrum*”, feminizmu i innych form tego, co autor *Zamknięcia* uważa za neo-nietzscheanizm — i regres umysłowy.

Rzadko się zdarza, by jedna — choćby najszlachetniejsza — książka zmieniła natychmiast klimat intelektualny dużego społeczeństwa. Jednak sam fakt, że ta obszerna, przemyślana i przekonująca praca została napisana właśnie teraz i stała się wydarzeniem kulturalnym zdaje się świadczyć, iż dwudziestolecie (jak na Amerykę okres niezmiernie długi!) rozkołysanej wojną wietnamską „postępowości” ma się wreszcie ku końcowi. *Requiescat in pace.*

M. BRONSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- SZULC PACKALEN** (Małgorzata). *Pokolenie 68. Studium o poezji polskiej lat siedemdziesiątych*. Str. 356. (Wyd. Uniwersytet w Uppsali, rozprządza Almqvist et Wiksell International, Stockholm 1987).
- BARAŃCZAK** (Stanisław). *Przed i po. Szkice o poezji krajowej przelotu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych*. Str. 172 i 2 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £ 4, \$ US 10).
- RUTKOWSKI** (Krzysztof). *Bohaterstwo albo śmierć. Zabijanie Mickiewicza w Kole Bożym*. Str. 278. (Wyd. Libella, Paryż 1988).
- MICHNIK** (Adam). *Polskie pytania. Eseje*. Str. 288. (Wyd. Zeszyty Literackie, Paryż 1988).
- BORN-BORNSTEIN** (Roman). *Powstanie Warszawskie. Wspomnienia*. Str. 119 i 1 nłb. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- KORBOŃSKI** (Stefan). *Bohaterowie Państwa Podziemnego — jak ich znałem*. Str. 144 i 8 nłb. (Wyd. Bicentennial Publishing Corp., New York 1988).
- KASPRZYK** (Krzysztof). *Stan zagrożenia. Poezje*. Str. 30 i 6 nłb. (Wyd. Biblioteka Polska w Kanadzie, Toronto 1988).
- SARNICKI** (Radosław). *Jeszcze jeden wiersz. Poezje*. Str. 32 i 4 nłb. (Wyd. Biblioteka Polska w Kanadzie, Toronto 1988).
- CZYŻYCKA** (Magdalena). *Pierwsza miniatura baśni. Poezje*. Str. 32 i 4 nłb. (Wyd. Biblioteka Polska w Kanadzie, Toronto 1988).
- KUSIBA** (Marek). *Samobójstwo Marsjan. Poezje*. Str. 32 i 4 nłb. (Wyd. Biblioteka Polska w Kanadzie, Toronto 1988).
- GORZELANY** (Józef). *Gdy nadszedł czas budowy arki. Dzieje budowy kościoła w Nowej Hucie*. Str. 311 i 1 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1988).

- MARCZEWSKI (Jan). *Ustrój gospodarczy Polski wyzwolonej*. Str. 22. (Wyd. Biuro Zagraniczne KPN w Paryżu, 1988).
- Kiedy brat zabija brata. *Losy żołnierza AK, Mieczysława Romana Szczepieńskiego*. Do wydania przygotował Józef Garliński. Str. 80. (Wyd. OPIM, Londyn 1987).
- SIEMASZKO (Z. S.). *Sprawy religijne wśród Polaków w Sowietach (1939-1942)*. (Nadbitka z kwartalnika „Duszpasterz polski za granicą”, nr 1/1988, Rzym).
- UZIEMBŁO (Adam). *Ludzie i Tary*. Str. 328 i 4 nłb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, cena zł 480).
- Kalendarz żydowski 5748 (1987-1988). Str. 176 i XXXII. (Wyd. Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego w PRL, Warszawa 1988, cena zł 1.000).
- Mieczysław Tadeusz Jankowski (1912-1968). Katalog wystawy monograficznej. Str. 56 i reprodukcje.
- LINDENBERG (Grzegorz), NOWAK (Krzysztof). *Świadomość społeczna wobec kryzysu i konfliktu społecznego. Robotnicy i studenci Warszawy 1983-1984*. Str. 100. (Wyd. Uniwersytet Warszawski, Instytut Socjologii, Warszawa 1987).
- GLEMP (Józef, kardynał, prymas Polski). *Kościół i Polonia. Wizyta duszpasterska w Brazylii i Argentynie 1984. Wspomnienia i kazania*. Str. 321 i 3 nłb. (Wyd. Pallotinum, Poznań - Warszawa 1986).
- Almanach Polonii 1988. Str. 376. (Wyd. Interpress, Warszawa 1988).
- Kalendarz Śląski 1988. Str. 219 i 5 nłb. (Wyd. Profil, Ostrava 1987, cena Kčs 18).
- Phénomnologie et littérature: l'origine de l'œuvre d'art. Hommages à A.-T. Tymieniecka. Actes du colloque de Cerisy-La-Salle publiés et présentes par Marlies E. Kronegger*. Str. 220 i 4 nłb. (Wyd. Editions Naaman, Sherbrooke, Kanada 1987).
- WYRWA (Tadeusz). *L'idée européenne dans la Résistance à travers la presse clandestine en France et en Pologne 1939-1945*. Str. 237 i 5 nłb. (Wyd. Nouvelles Editions Latines, Paryż 1987).
- MOND (Georges). *La fin de la deuxième guerre mondiale en Pologne*. (Nadbitka z *Revue des guerres mondiales et des conflits contemporains*, Paris, janvier 1988, str. 15-18).
- ROLLET (Henri). *Polonisme et catholicisme: l'Église et la Résistance polonaise*. (Nadbitka z *Les Résistances spirituelles, Actes de la Dixième Rencontre d'Histoire Religieuse, les 2, 3 et 4 octobre 1986*, wyd. Presses de l'Université d'Angers 1987, str. 303-312).
- MOND (Georges). *La politique de l'information et de la propagande entre le pouvoir et l'opposition dans les pays socialistes*. (Nadbitka z *Mélanges en hommage à Maurice Duverger*, str. 677-688, wyd. Presses Universitaires de France).
- SADOWSKA (Barbara). *Il est doux d'être enfant de Dieu. Poèmes traduits par Lucienne Rey et Jérôme Rufin*. Edition bilingue. Str. 68 i 4 nłb. (Wyd. Editions Plein Chant, 1987).
- SWIDLICKI (Andrzej). *Political Trials in Poland 1981-1986*. Str. 426 i 2 nłb. (Wyd. Croom Helm, London-New York-Sydney 1987).
- STACHIEWICZ (Wanda). *Journey through History. Memoirs*. Str. 200. (Wyd. Canadian Polish Research Institute, Toronto, Kanada 1987).
- WOJTYŁA (Karol). *The Collected Plays and Writings on Theater*. Przeł. Bolesław Taborski. Str. 395 i 3 nłb. (Wyd. University of California Press, Berkeley-Los Angeles-London 1987).
- WOZNICKI (Andrew Nicholas, S. Ch.). *The Dignity of Man as a Person. Essays on the Christian Humanism of His Holiness John Paul II*. Str. 170 i 4 nłb. (Wyd. Society of Christ Publications, San Francisco 1987).

KRAJ — BLOK WŚCHODNI

1-12-87

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Stanisław Szenic, znany pisarz i publicysta.

1-1-88

W grudniu 1987 roku Rada Miejska Wilna przywróciła kilku ulicom wileńskim ich dawne nazwy i tak obecna ulica Gorkiego znowu jest ulicą Zamkową. Przywrócono także nazwę ulicy Wileńskiej, która do tej pory nosiła imię Ludasa Giry. W końcu listopada 1987 roku odbył się w Wilnie wieczór poświęcony poezji Adama Mickiewicza, Oskara i Czesława Miłoszów i ich związkom z Litwą. Wiersze Czesława Miłosza tłumaczyli młodzi poeci litewscy: Rolandas Rastauskas, Valdas Daskevicius. Nowymi rzecznikami Karty 77 zostali: Stanisław Devátý (lat 36, robotnik z Gottwaldova, w latach 1941-1970 członek partii komunistycznej i Bohumír Janát (lat 39, filozof i psycholog, pracujący jako robotnik). Zastąpili oni Jana Litomiskiego, Libuše Šilhánová i Josefa Vohryzka, którzy pełnili te funkcje w ub. roku. Ukazał się we Wrocławiu kolejny, trzeci już numer Biuletynu Informacyjnego Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. W numerze m.in.: apel o uwolnienie więźniów politycznych Polski i Czechosłowacji, apel do rady państwa NRD o uwolnienie i zaprzestanie represji wobec działaczy na rzecz praw człowieka i obywatela, podpisany przez przeszło 280 obywateli Czechosłowacji, Jugosławii, Polski, Węgier i Związku Sowieckiego. W numerze także przegląd czasopism wydawanych w Czechosłowacji, których tłumaczenie udostępniła redakcja Biuletynu wszystkim zainteresowanym.

30-1-88

W Polsce istnieje Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego, ma on 15 kongregacji w miejscowościach, w których jest większa ilość Żydów, a centrala mieści się w Warszawie. Związek prowadzi 8 stołówek rytualnych: w Warszawie, w Krakowie, w Łodzi, w Szczecinie, we Wrocławiu, w Legnicy, w Katowicach i w Bielsku-Białej. W stołówkach kuchnia jest koszerna, a posiłki wydawane są bezpłatnie. Produkty są sprowadzane z zagranicy. Związek wydaje „Kalendarz żydowski” w języku polskim, współuczestniczy w akcji charytatywnej American Joint Committee, polegającej na dostarczaniu podopiecznym leków zagranicznych oraz pomocy finansowej w formie bonów dolarowych dla osób najbardziej potrzebujących pomocy. Ponadto Związek organizuje w Warszawie, w synagodze im. Nożyków, comiesięczne koncerty muzyki sakralnej. W Polsce jest 7 synagog i kilka domów modlitwy oraz ponad 600 cmentarzy żydowskich. Według „Kalendarza żydowskiego” w 1987 roku w Polsce było 6 tys. Żydów, w tym 2.500 w Warszawie.

3-2-88

Zmarła w Krakowie Hanna Rudzka-Cybisowa, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

15-2-88

Dewaluacja złotego. Ustalono wymianę 380 zł za jednego dolara USA (poprzednio — 320 zł). Ostatni plan miasta Moskwy był wydany 50 lat temu. Nie ma również moskiewskiej książki telefonicznej.

26-2-88

Kopiarki za dewizy. W Ostrowie Wielkopolskim rozpoczęto produkcję kopiarek. Jest to rezultat umowy między „Metronexem” a angielską firmą „Rank Xerox”. Urządzenia te wykonywane są w dwóch typach. Mniejszy sporządza 18, a większy 25 kopii w minutę. Kopiarki składane z importowanych części będzie można kupować tylko za dewizy.

1-3-88

Rozpoczęta po 10 stycznia br. akcja zbierania podpisów pod petycją do władz czechosłowackich osiągnęła bezprecedensowe rozmiary. Pod koniec lutego ich liczba przekroczyła 300 tysięcy. Najważniejszą spośród 91 postulatów petycji jest kwestia rozdzielenia Kościoła od państwa. W Czechosłowacji zarówno Kościół katolicki, jak i inne są elementem aparatu państwowego. Państwo zatrudnia duchownych, finansuje działalność Kościoła, a przede wszystkim ją kontroluje.

11-3-88

Obywatele PRL będą wkrótce mogli oglądać bezpośrednio i niecenzurowanie programy włoskiej telewizji. Przedstawiciele PRL i Rai mają niebawem podpisać umowę, na mocy której położona niedaleko Warszawy satelitarna stacja nadawcza udostępni Polakom pierwszy program telewizji włoskiej. Zbliżony do chrześcijańskiej demokracji, program ten poświęca kilka godzin tygodniowo wypowiedziom Jana Pawła II.

12-3-88

Mec. Jan Olszewski uzyskał zgodę na widzenie z Kornelem Morawieckim. Rozmowa trwała 10 minut. Zdaniem adwokata K. Morawiecki znajduje się w dobrej kondycji psychicznej. Od chwili aresztowania nie otrzymał ułrew twierdzeniu prokuratury i służby więziennej ani jednego talonu na paczkę. Śledztwo przeciwko Kornełowi Morawieckiemu ma być zamknięte 17 marca. Akta sprawy obejmują 4 tomy, ponad 800 stron. Brak jest jednak dowodów jego winy.

ZACHÓD — EMIGRACJA

29-9-87

Zmarła w Londynie Maria Jasiukowicz, w czasie drugiej wojny światowej komendantka Sanitariatu Wojskowej Służby Kobiet okręgu Warszawskiego AK (pseudonim „Halina”). Jej mąż — Stanisław Jasiukowicz — był członkiem Krajowej Rady Ministrów w randze ministra, występował pod pseudonimem „Opolski”. Podlegał mu departamenty: finansów, rolnictwa, przemysłu i handlu oraz likwidacji skutków wojny. Wywieziony do Moskwy z tzw. szesnastka został skazany 21 czerwca 1945 roku na karę pięciu lat więzienia. Do 1946 roku przebywał na Łubiance, a o jego dalszych losach do tej pory nie wiadomo.

1-1-88

W Szwajcarii od trzech lat istnieje oddział Fundacji św. Andrzeja Boboli, który zajmuje się udzielaniem pomocy Polakom żyjącym w trudnych warunkach w Związku Sowieckim. Na koniec 1987 roku zgromadzony fundusz wynosił 14 tysięcy franków szwajcarskich. Przewodniczącym Zarządu Fundacji oddziału szwajcarskiego jest rektor Polskiej Misji Katolickiej, ks. prałat Jan Frania. Centrala Fundacji mieści się w Toronto, a jej przewodniczącym jest Kazimierz Plater.

14-2-88

Zmarł w Stony Brook, N.Y. (USA) znany germanista Roman Karst.

22-2-88

W Centre d'Etudes Polonaises na Sorbonie odbył się odczyt Pierre Daira na temat „Pourquoi nous avons besoin de la culture de l'Europe de l'Est”.

29-2-88

Zmarł w Londynie w wieku 74 lat Stanisław Witold Chmielewski, inżynier budownictwa, sekretarz Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

1-3-88

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór poetycki Mieczysława Jurkiewicza, Anny Kaplar i Jadwigi Dąbrowskiej. Ponadto odbyła się akademicka z okazji 120 rocznicy urodzin Marii Skłodowskiej-Curie.

5-3-88

W końcu br. „wygasa prawo do otrzymania odszkodowań, odnoszące się do osób, które w związku z wojną pozostawiły majątek nieruchomości za granicą. Rzecznik praw obywatelskich PRL, Ewa Łętowska, wystąpiła z inicjatywą zmiany ustawy i przedłużenia terminu. Dotyczy to przede wszystkim osób przesiedlonych z terenów wchodzących w skład ZSSR”. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Spraw Zagranicznych PRL szacują, że w latach 1980-1987 na Zachodzie pozostało około 600 tys. obywateli PRL (70 % to ludzie poniżej 35 roku życia). Wśród nich jest ponad 20 tys. inżynierów i techników, około 3 tys. lekarzy, półtora tysiąca pracowników nauki, półtora tysiąca architektów.

6-3-88

W sali Ogniska Polskiego w Londynie odbył się (pod patronatem Związku Artystów Scen Polskich za granicą i Teatru „Pro Arte”) konkurs pieśniarcki i recytatorski im. Tola Korian. Wzięło w nim udział 14 osób z Anglii i jedna z Wiednia. Jury pod przewodnictwem Tymona Terleckiego przyznało cztery nagrody. Piotrowi Andrzejewskiemu (£ 250 ufundowane przez Jana Biednego), Ninie Marciniczyk (£ 150 ufundowane przez Karolinę Borchartt), Grzegorzowi Pałce (£ 100 ufundowane przez ZASP) i Krzysztofowi Twarowskiemu (£ 80 od „Pro Arte”).

17-3-88

Ks. arcybiskup Mirosław Maruszyn, sekretarz Kongregacji Kościołów Wschodnich, wygłosił w Papieskim Instytucie Studiów Kościelnych w Rzymie odczyt na temat „Kościół kijowski między Rzymem a Bizancjum”.

21-3-88

W ciągu marca br. odbyły się w Klubie „Kontakt” i S.P.K. w Paryżu następujące imprezy: premiera nowego filmu Video-Kontakt pt. „KOR”, wieczór poświęcony Romantni, odczyt Michała Hellera, wyświetlenie filmu Marcjela Łozińskiego pt. „Świadkowie” — relacje świadków pogromu Żydów w Kielcach w 1946 roku, spotkanie ze Stefanem Starczewskim, znanym działaczem „Solidarności”.

1-4-88

W Centre du Dialogue w Paryżu w ciągu marca odbyły się następujące imprezy: prof. Tadeusz Chrzanowski mówił na temat „Polska i jej sąsiedzi”; spotkanie sprawozdawczo-dyskusyjne poświęcone Międzynarodowej Konferencji, która miała miejsce w Jerozolimie na początku lutego br. i której przedmiotem była „Historia i kultura Żydów polskich”; na jej temat mówili: Tadeusz Chrzanowski, Jakub Karpiński, Irena Lasota i Ludwik Stomma.

Listy do Redakcji

Köln, 15 marca 1988.

Drogi Panie Redaktorze!

Złośliwy chochlik buszuje ostatnio w mojej „Kronice niemieckiej” (*Kultura* nr 3/1988, str. 125). Dziennik *Frankfurter Allgemeine Zeitung* publikował w odcinkach książkę Andrzeja Szczypiorskiego — *Schöne Frau Seidenmann*, przekład *Początku* wydanego przez *Instytut Literacki*, Paryż 1986, a nie Jana Józefa Szczępańskiego. Autorem *Ronda* drukowanego obecnie w odcinkach we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* jest Kazimierz Brandys, a nie jego starszy brat, eseista historyczny Marian Brandys (żyjący w Warszawie). Za te istotne pomyłki przepraszam Czytelników i Redakcję.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Andrzej J. CHILECKI

8 lutego 1988.

Szanowny Panie Redaktorze.

W *Kulturze* za styczeń-luty 1988 ukazał się urywek z grubej powieści Igora Newerłego (Abramowa) z jego książki pt. „Leśne morze” (*Szu-chaj*, po chińsku). Książka ta została wydana w latach 50-tych w Polsce. I. Newerły napisał sporo książek, był znanym pisarzem „socjalistycznym” w PRL-u. „Leśne morze” było książką „poczytną” w PRL jako opowieść przygodowa, raczej dla młodzieży. Dla dorosłych — raczej *science fiction*. Wartka fabuła niekoniecznie rzeczywistość. Może *adventure*.

Jestem urodzona w Mandżurii, przeżyłam tam więcej niż 25 lat (zanim wybrałam się do PRL-u z konieczności). Chęć powiedzieć, że w książce Igora Newerłego nie ma nic, co przypominałoby życie w Mandżurii, czy w Charbinie. Opis tajgi mandżurskiej był opracowany na podstawie książek popularnego, mandżurskiego pisarza i tajożnika — myśliwego po tajdze N. Bajkowa. I. Newerły dobrze zna język rosyjski (mieszkał tam).

Nie ma w książce odpowiednich realiów ani atmosfery, ani też faktów. Polacy na ogół nie mieszały się z Chińczykami (sprawa raczej wstydliwa). Nie ma chińskiego imienia Aszyche. Była natomiast mała stacyjka na wschód od Charbina — Aszyche. Była dość znana. Była tam polska cukrownia a dalej na południe bardzo stary gród, średniowieczne miasto chińskie Aczeng, niektórzy twierdzą że stara nazwa Bajcezen.

Może kiedyś ukaże się książka o „Mandżurakach” z prawdziwego zdarzenia, nie żadna fikcja. Mam u siebie „Leśne morze”, pożyczam znajomym, co cierpią na noce bezsenne.

Z szacunkiem

B. JABŁONSKA

Warszawa, 15 lutego 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

W wywiadzie dla *Kultury* (nr 1-2/1988) Marian Kaleta powiedział, że zamieszczony w *Tygodniku Mazowsze* (nr 212) nasz tekst o wpadce ciężarówki ze sprzętem dla „Solidarności” z listopada 1986 jest pełen nieścisłości i w „niewielkim stopniu różni się od wersji *Trybuny Ludu*”. Przeczytaliśmy to ze zdziwieniem, bo nasza redakcja opierała się w głównej mierze na informacjach, które uzyskaliśmy — w telefonicznej rozmowie — właśnie od M. Kalety. Porównanie artykułu w *Tygodniku* i wywiadu Kalety wskazuje, że nieścisłość była jedna — podaliśmy, że wiadomość o „podejrzanej ciężarówce” przekazała do Świnoujścia obsługa promu. Wtedy jednak nie ujawniono jeszcze, że telex wysłali Szwedzi, nie wiedział również o tym M. Kaleta”.

W naszym artykule znalazły się opinie prasy szwedzkiej (cytować innych — święte prawo dziennikarza) oraz krótki własny komentarz wyrażający wątpliwość co do rozmiarów przetrutu oraz reakcji jego organizatorów na zakłócenia w Ystad (dodajmy, że wątpliwości sformułowane bardzo ostrożnie). Nie rozumiemy więc pretensji M. Kalety, a porównanie z *Trybuną Ludu* zostawiamy bez komentarza.

Wypada natomiast sprostować jeszcze jedną nieścisłość. W *Tygodniku* pisaliśmy o procesie Lennarta Järna. kierowcy ciężarówki i — tak jak w przypadku innych więźniów politycznych — domagaliśmy się jego uwolnienia.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Jan KLINCZ, FF

Warszawa, 18 lutego 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Kronice niemieckiej” w *Kulturze* nr 1-2/1988 A. J. Chilecki napisał: „Andrzej Micewski poparł na łamach hamburskiego tygodnika *Die Zeit* referendum: Jeśli zostanie odrzucone, to Polsce grozi chaos, a pokój w naszym kraju i Europie zostanie naruszony”. Chilecki, dziennikarz płytki i powierzchowny, tym razem posunął się do zwykłego kłamstwa. W *Die Zeit* z 27 listopada 1987 napisałem: „Żadnym referendum — jakkolwiek ono wypadnie — rząd nie rozwiąże problemów kraju. Referendum było pomyslane przez rząd, jako próba oparcia się o społeczeństwo przeciw konserwatystom w aparacie partyjnym i gospodarczym. Ale jednocześnie miało ono sugerować, że społeczeństwo akceptuje drastyczne podwyżki cen. Podział społeczny w Polsce jest zbyt głęboki, by można go było przewyciężyć półśrodkami”.

Tyle było o referendum. W innym miejscu pisałem o niezbędnej pomocy Zachodu i Wschodu dla Polski, sugerując zwolnienie nas na pewien czas przez Związek Radziecki z zobowiązań gospodarczych na rzecz Układu Warszawskiego. Podkreśliłem, że w takiej sytuacji w społeczeństwie polskim przewagę uzyskaliby czynnik umiarkowane. „Jeśli to wszystko nie nastąpi — konkludowałem — zagrozi Polsce chaos, groźny dla pokoju w kraju i w Europie”. Groźbę chaosu wiązałem więc z sytuacją gospodarczą i brakiem pomocy zewnętrznej, w tym ZSSR, a nie z referendum. Chilecki świadomie tekst mój sfałszował. Atakuje mnie nie po raz pierwszy. Kiedyś zreferował fałszywie moje rozmowy na wysokich szczeblach w Bonn, przy których nie towarzyszył mi nawet tłumacz. Żałuję, że Pan Redaktor nie sprawdza prawdziwości informacji i wierności cytata. Będę wdzięczny za sprostowanie.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej MICEWSKI

Givatim, 27 lutego 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

Doręczono mi właśnie list Pana z 15 bm, wraz z wycinkiem z *Życia Literackiego*. Dziękuję Panu.

Wyjaśniam, że druk nie nastąpił za moją zgodą, nie mogłem zatem przypilnować zamieszczenia uwagi, iż książka „Zatrzymany do wyjaśnienia” ukazała się w 1968 w „Bibliotece Kultury”. O losach tej książki pisałem obszernie w nr. 12/255 *Kultury* z 1968 r.

Poniżej sprawę tę przypominę w ogromnym skrócie.

Książkę pisałem od 22 maja do 20 czerwca 1957; po przepisaniu wyczyłem maszynopis *Twórczości* oraz PIW-owi, który podpisał ze mną umowę wydawniczą w dniu 27 czerwca 1957. (Załącznik 1). Powiewał nie miałem jeszcze tytułu (propozycje tytułów odnotowałem na str. II-jej umowy, w lewym rogu na dole), umowa opiewa na dzieło pt. „Opowiadania z dziejów walk KPP”.

Twórczość wydrukowała część I-szą w zeszytach październikowym, część II-gą w numerze listopadowym 1957 roku.

Dnia 30 sierpnia 1957 PIW przygotował „Uzupełnienie” do umowy z dnia 27 czerwca 1957 (załącznik 2). W „Uzupełnieniu” rzecz posiada już tytuł: „I ktoś im odpowie”. Jednocześnie podwyższone zostało honorarium.

W dniu 11 września 1957 „Uzupełnienie” przesłane zostało do mojej wiadomości (załącznik 3).

Dnia 10 października 1957 PIW przesłał mi odpis pisma z tego dnia, skierowanego do redaktora *Twórczości*: jest w nim mowa o tym, iż „zgodnie z życzeniem Redakcji oraz Autora ukaże się ona (książka) w sprzedaży księgarskiej nie wcześniej niż 1 grudnia 1957 roku”. W piśmie tym zjawia się tytuł „Zatrzymany do wyjaśnienia”, który zawdzięczam niezapomnianemu Andrzejowi Kijowskiemu.

Nigdy nie przekazywałem do druku wzmiankowanej książki żadnemu krajowemu wydawnictwu. Ohne publikacje, ogłoszone drukiem w *Twórczości* oraz przez PIW, uległy konfiskacie. Uwaga redakcji *Życia Literackiego* jakoby książkę przekazał „do druku naszej redakcji”, jest najzwyczajszym łgarstwem.

Sądzę, że powyższe wyjaśnienia wyczerpią sprawę i byłbym więcej niż rad, jeśli Pan podzieli moje zdanie.

Mam do Pana Redaktora prośbę: poinformować niektórym ludziom w Polsce wyjaśnić tę sprawę druku w *Życiu Literackim* i dlatego proszę o zamieszczenie w *Kulturze* załączonego listu.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Stanisław WYCODZKI

Załączniki:

Just to nie pierwszy wypadek gangsterstwa wydawniczego. *Życie Literackie* wykorzystał tłumaczenie „Doktora Żiwago” przez Jerzego Stempowskiego (Pawła Hostowca), podając, że był to ich własny przekład. Ostatnio ukazały się Pamiętniki młm. Józefa Becka, których rękopis był zdeponowany w Uniwersytecie w Yale. Rękopis ten został skopiowany przez dr. Skrzyplka bez wiedzy i zgody Uniwersytetu i Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, który był właścicielem rękopisu. O tym, że Wydawnictwo Literackie, które w osobie dyrektora p. Kurza podpisało z Instytutem Literackim i p. Kitę Gombrowicz umowę w sprawie wydania Dzieł Witolda Gombrowicza, umowy tej nie dotrzymało pisaliśmy już nie raz, a nawet przedkrowaliśmy w *Kulturze* tekst tej umowy. Listę tę znośna by jeszcze długo ciągnąć. Nie słusz to dobremu imieniu Polski na świecie. — REDAKCJA.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

W.L.W., Włochy; K.E.Sz., RFN; S.M., RPA; J.S. w Kraju; E.K. w Kraju:
— Z wierszy nie skorzystamy.

B.S., Francja: — Tyle już pisano o inscenizacjach sztuk Gombrowicza, czy warto więc zajmować się przedstawieniem dyplomowym Szkoły Teatralnej?

T.M., Australia: — Można oczywiście napisać opowiadanie o musze (jak świadczy znakomita *Mucha Pirandella*), ale musi ono zawierać jakiś wątek dramatyczny.

B.Z., Włochy: — Nie drukujemy aforyzmów. Co do prośby Pana przyjaciela, to zupełnie nie orientujemy się w sprawach samochodowych. Lepiej chyba nawiązać kontakt z jakąś włoską firmą samochodową.

H.R., Australia: — Pana *Wspomnienia*, sądząc po pierwszym przysłanym nam egzemplarzu, nie wnoszą nic nowego do spraw i doświadczeń wielokrotnie już opisywanych.

P.N., RFN: — Oba opowiadania wydają nam się bardzo słabe.

S.K.B., Hiszpania: — *Długopis* jest zaledwie krótką notatką, w tej formie nie nadaje się do druku.

Kolporter z Krakowa: — Dziękujemy za list z 1 marca br. Pana uwagi są bardzo słuszne. Zrobimy wszystko, by obniżyć cenę. Natomiast propozycja miniaturyzowania mniej nas przekonuje.

Zb.K., Chicago: — Listu nie zamieścimy. Opinie o płk. North są bardzo podzielone i nie wszyscy, jak Pan, uważają go za bohatera narodowego. Określenie *contras* jest powszechnie używane w prasie światowej.

A.R., Alicante: — Polemiki z artykułem J. Szretta nie zamieścimy. Nie należy przesadzać ani z antypolonizmem żydowskim, ani z dobrodziejstwami polskimi dla Żydów w okresie międzywojennym.

J.K., Pretoria: — Wysuwanie postulatu odszkodowań dla poszkodowanych reformą rolną czy upaństwowieniem przemysłu, zadekretowanych przez Manifest Lipcowy jest niepoważne. Trochę przypomina to niektórych Francuzów (coraz mniej licznych zresztą), którzy mają nadzieję, że Związek Sowiecki spłaci carskie pożyczki.

WPŁATY NA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA”

Członkowie grupy pomocy „Solidarności” w Cleveland, OH (USA) — sumę zebraną na comiesięcznych mszach św. za Ojczyznę w kościele św. Kazimierza w Cleveland — \$ 400,00	F.2.240,00
Anna Peroń, Calgary, AB (Kanada) — dochód z zabawy karnawałowej zorganizowanej 23 stycznia 1988 r. przez członków ugrupowania „Solidarność — Niepodległość”, sympatyków „Solidarności” — na „Solidarność walczącą” we Wrocławiu — \$ c. 2.100,00	F.9.177,00



Józef Masiewicz, Toronto, ON (Kanada):	
— na Fundusz Kultury, po raz 10-ty — \$ c. 52,00	F. 228,00
— na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ c. 50,00	F. 218,00



Canberra Friends of „Solidarity”, Canberra (Australia — Kanberskie Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności” na pomoc dla Regionalnego Informatora „Solidarności” (RIS) okręgu Śląsko-Dąbrowskiego (nadesłała Różena Horn) — \$ A. 250,00	F. 987,00
---	-----------

CENY OGŁOSZEŃ W „KULTURZE”

Cała strona	F. 2.300,00;
pół strony	F. 1.300,00;
1/4 strony	F. 650,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLIN-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1988.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 8591.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1988			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Mucklenuck, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabywców w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wieilingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fi h 20,00	Fi h 95,00	Fi h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. JAW 155. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crac., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 88, Royston, B.C., V0R 2V0. Tel.: (604)338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00 DM 14,00	\$ cen. 50,00 DM 80,00	\$ can. 98,00 DM 150,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
NORWEGIA: Zb. Tyszek, Toppenghaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lias, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115. 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szweda Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-6590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 39th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Galizia 60 int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 436 — JANUSZ ANDERMAN

KRAJ ŚWIATA

Opowiadania: Jakos pusto. — Płonie teatr narodowy. — Jeszcze Polska? — Zwycięs... — Trzej królowie. — Łańcuch czystych serc. — Poczucie. — Świat światów.

Str. 80.

Cena F. 50,00.

TOM 438 — MICHAŁ HELLER

MASZYNA I ŚRUBKI

Michał Heller, dobrze znany czytelnikom z artykułów i przeglądów prasy sowieckiej w *Kulturze*, współautor (z Aleksandrem Niekriczem) historii ZSSR *Utopia u władzy*, jednej z najpoczytniejszych książek w drugim obiegu wydawniczym w Kraju, przeprowadził w swojej nowej książce drobiazgową i bogato udokumentowaną analizę systemu sowieckiego. W siedemdziesiąt rocznicę Rewolucji Październikowej, u progu „nowej ery” Gorbaczowa, czytelnik znajdzie w *Maszynie i śrubkach* odpowiedź na wiele nurtujących go pytań. Czy istnieje szansa „przebudowy” systemu sowieckiego? Czy wolno mówić o definitywnym ukształtowaniu „człowieka sowieckiego”? Lektura nieodowna dla lepszego poznania naszego wschodniego sąsiada.

Str. 288.

Cena F. 120,00.

TOM 439 — JERZY KRZYŻANOWSKI

BANFF

Polak zamieszkały po wojnie w Kanadzie, dziennikarz sportowy telewizji kanadyjskiej, niegdyś żołnierz AK. Bohater powieści Krzyżanowskiego odcina się całkowicie od Polski rządzonej przez komunistów, z Krajem łączy go jedynie wspomnienia wojenne. Gwałtowny romans z młodą Polką z Warszawy staje się na krótko mostem przerzuconym między biografią emigranta i jego doświadczeniami z lat młodości. Temat nietknięty prawie w prozie polskiej, Krzyżanowski podejmuje go z sugestywną brawurą narracyjną.

Str. 160.

Cena F. 75,00.